

## Profesor opuszcza scenę.

My, Hogbenowie, jesteśmy bardzo zamknięci w sobie. Ten profesor z miasta mógłby o tym wiedzieć, ale skąd – przylazł, choć go nikt nie prosił. U nas w Kentucky wtykanie nosa w cudze sprawy nie należy do dobrego tonu. A wszystko zaczęło się od tego, jakeśmy się pozbyli młodych Haleyów za pomocą tej strzelby, cośmy ją zmajstrowali własnym przemysłem. Tyle żeśmy tak na dobrą sprawę sami właściwie nie wiedzieli, jak ona działa – no więc poszło od tego, jak Rafe Haley zaczął przez okno szopy podglądać Małego Sama. A potem chodził i opowiadał, że Mały Sam ma trzy głowy czy coś w tym rodzaju.

Nie można wierzyć w ani jedno słowo z tego co opowiadały te chłopaki Haleyów. Trzy głowy! Przecież to wbrew naturze, no nie? Każdy wie, że Mały Sam ma tylko dwie głowy i nigdy nie miał więcej.

No więc sklecieliśmy z mamą coś w rodzaju strzelby i tak żeśmy naszpikowali tych młodych Haleyów, że aż miło. Jak już mówiłem samiśmy nie mogli z mamą skapować, jak to urządzenie działa. Powszczepialiśmy do kupy kilka baterijek, cewek, kawałków drutu i różnych różności i to wystarczyło, żeby z Rafe'a zrobić sitko.

Według orzeczenia koronera młodzi Haleyowie zginęli nagłą śmiercią, a szeryf Abernathy przyszedł, popił z nami samogonu i powiedział, że spierze mnie na kwaśne jabłko. Ale co mi tam, wcale się nie przejąłem. Tyle, że jakiś cholerny reporter musiał coś wywęszyć, bo wkrótce potem zjawił się tłusty, bardzo poważny facet i zaczął zadawać pytania.

Wujek Les siedział na ganku, z kapeluszem na twarzy.

– Pan się lepiej wynosi z powrotem do tego swojego cyrku – powiedział po prostu. – Mieliśmy propozycję od samego Barnuma<sup>1</sup> i też nie przyjęliśmy.

– Jasne – powiedziałem. – Nigdy nie miałem zaufania do Phineasa. Nazwał Małego Sama potworem.

Duży, poważny mężczyzna, który się nazywał profesor Thomas Galbraith, spojrział na mnie.

– Ile ty masz lat, synu? – zapytał.

– Ja tam nie jestem pana synem – odparłem – a poza tym i tak nie wiem.

Nie wyglądasz na więcej niż na osiemnaście – rzekł – mimo swojego wzrostu. Nie mogłeś znać Barnuma.

– Jasne, że znam. I niech mi pan lepiej nie zadaje kłamu. Bo pana palnę.

– Ale ja nie mam nic wspólnego z żadnym cyrkiem – zaprotestował Galbraith. – Jestem biogenetykiem.

To nas oczywiście rozśmieszyło. A Galbraith wpadł w złość i koniecznie chciał się dowiedzieć, co w tym takiego śmiesznego.

– Takie słowo w ogóle nie istnieje – powiedziała mama. I w tym momencie biedny Mały Sam zaczął płakać, a Galbraith zrobił się biały jak gęsie skrzydło i aż się cały wstrząsnął. No i upadł na ziemię. Kiedy go podnieśliśmy, nie wiedział, co się stało.

– To Mały Sam – wyjaśniłem mu. – Mama poszła go uspokoić. O, już przestał płakać.

– To były poddźwięki – warknął profesor. – A co to jest Mały Sam, krótkofalówka?

– Mały Sam to jest Bobas – wyjaśniłem krótko. – I nie radzę wołać go po imieniu. Może nam pan powiedzieć o co panu właściwie chodzi?

Profesor wyciągnął notes i zaczął go przeglądać.

– Jestem ... jestem uczonym – powiedział. – Nasza fundacja zajmuje się badaniami nad eugeniką, słyszeliśmy już o was. Ale to wszystko brzmi nieprawdopodobnie. Jeden z naszych ludzi lansuje teorię, że mutacje naturalne mogą pozostać nie wykryte w okolicach o niskim poziomie kultury, i ... – Urwał i spojrział na wujka Lesa. – Czy pan rzeczywiście potrafi latać? – spytał.

No cóż, my nie lubimy mówić na ten temat. Dostaliśmy kiedyś od księdza porządną reprimendę. Wujek Les zalał się, pozegłował sobie nad wzgórzami i śmiertelnie wystraszył paru myśliwych polujących na niedźwiedzie. A zresztą w Biblii też nie jest powiedziane, że człowiek ma latać. Ale trzeba przyznać wujkowi Lesowi, że robi to po kryjomu, jak nikt nie widzi.

Dlatego naciągnął kapelusz jeszcze głębiej na oczy i coś tam burknął.

– Bzdury. Człowiek w żaden sposób nie może latać. A co do tych nowoczesnych urządzeń, o których się słyszy, to mówiąc między nami, one wcale nie latają. Głupie gadanie i nic więcej.

Galbraith zamrugnął i znowu zajrzał do swojego notesu.

– Ale krążą pogłoski o różnych bardzo dziwnych rzeczach w związku z waszą rodziną. Latanie to tylko jedna z nich. Ja wiem, że to jest teoretycznie niemożliwe, i wcale nie mówię o samolotach, ale...

– Zamknij jadaczkę.

– Średniowieczne czarownice używały balsamu z tojadu, żeby wywołać złudzenie latania... całkowicie zresztą subiektywne.

– Czy pan się mnie wreszcie przestanie czepiać? – powiedział wujek Les, który już się wkurzył, a to dlatego, że był speszony. A następnie podskoczył w górę, zrzucając przy tym kapelusz na podłogę, i odleciał. Po chwili zapikował w dół, złapał kapelusz i zrobił minę do profesora. Odleciał wzdłuż parowu i tyleśmy go widzieli.

Ale i ja się wkurzyłem.

– Pan nie ma prawa nas niepokoić – powiedziałem. – Wujek Les robi to samo co i tata, a to będzie nieprzyjemne. Od czasu, kiedy pojawił się u nas tamten facet z miasta, tata znikł jak kamfora. To był chyba ktoś od spisu ludności.

Galbraith nie odezwał się słowem. Miał dosyć głupią minę. Dałem mu się napić, a on zapytał o tatę.

– Ach, on tu gdzieś jest – wyjaśniłem. – Tylko, że go nie widać. Powiada, że tak woli.

<sup>1</sup> Phineas Taylor Barnum (1810 – 1891) – organizator i dyrektor największego cyrku w Stanach Zjednoczonych

- Hmm – mruknął Galbraith i znów sobie łyknął. – To ile, powiadasz, masz lat?
- Ja tam nic na ten temat nie mówiłem.
- A jak najdalej sięgasz pamięcią?
- W ogóle nie sięgam. To tylko zaśmieca głowę.
- Fantastyczna historia – powiedział Galbraith. – Nie przypuszczałem, że będę miał dla fundacji takie wiadomości.
- My nie lubimy, jak nam się ktoś wtrąca w nasze sprawy. Niech pan sobie idzie i zostawi nas w spokoju.
- Wielkie nieba! – spojrzał przez poręcz ganku i zobaczył naszą strzelbę. – A to co znów takiego?
- A, takie coś – wyjaśniłem.
- A do czego to służy?
- Do różnych rzeczy.
- O, a mogę to obejrzyć?
- Proszę bardzo – odparłem. – Dam panu nawet to urządzenie pod warunkiem, że pan się stąd wyniesie.

Podszedł i zaczął się przyglądać. Tata, który siedział sobie koło mnie, podniósł się i powiedział mi, żebym się pozbył tego cholernego jankesa, i wszedł do domu. Profesor wrócił.

- Niezwykle! – powiedział. – Mam pewne przygotowanie, jeśli chodzi o elektronikę, i wydaje mi się, że macie tu bardzo osobliwą rzecz. Jaka jest zasada jej działania?
- Jakie jest co? – spytałem. – Po prostu robi w różnych rzeczach dziury.
- Pociskami nie da się z tego strzelać. Tam, gdzie powinien być zamek, macie kilka soczewek... jak, powiadasz, działa to urządzenie?

- Nie wiem.
- A to ty je skonstruowałeś?
- Ja z mamą.

I zadał mi jeszcze bardzo dużo pytań.

– Nie wiem – powtórzyłem. – Ze strzelbą jest taka niewygodna, że trzeba ją stale ładować, więc pomyśleliśmy, że jak te różne rzeczy poszczepiamy do kupy, to już jej nie trzeba będzie ładować. I rzeczywiście nie trzeba.

- Czy mówiłeś poważnie, że mógłbyś mi to dać?
- Jak pan się od nas odczepi.
- Wiesz co – powiedział – to chyba cud, że wy, Hogbenowie, tak długo się uchowaliście.
- Mamy swoje sposoby.

– Teoria dotycząca mutacji musi być słuszna. Powinniście stać się przedmiotem studiów. To jedno z najważniejszych odkryć od czasów... – I nawijał tak dalej w kółko. Zupełnie bez sensu.

W końcu doszedłem do wniosku, że są tylko dwa sposoby na opanowanie sytuacji, a po tym, co powiedział szeryf Abernathy, nie chciałem nikogo zabijać, dopóki mu się humor nie poprawi. Po co robić szum.

- A gdybym tak się wybrał z panem do Nowego Jorku, jak pan sobie tego życzy? Zostawi pan resztę rodziny w spokoju?

Obiecał mi tak na pół, chociaż wcale nie miał na to ochoty. Ale ustąpił i pożegnał się, kiedy powiedziałem, że obudzę Małego Sama. Bardzo chciał zobaczyć Małego Sama, ale mu wytłumaczyłem, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Mały Sam i tak nie pojedzie do Nowego Jorku. Musi siedzieć w swoim pojemniku, bo inaczej by się bardzo rozchorował.

Tak czy siak, profesor był całkiem zadowolony i sobie poszedł, jak mu obiecałem, że nazajutrz rano spotkam się z nim w mieście. Na samą myśl o tym robiło mi się mdło, mówię wam. Nie rozstawałem się z rodziną na dłużej niż na jedną noc od czasów tej awantury, jaka wybuchła jeszcze w starym kraju, skąd musieliśmy się wynosić naprawdę w pośpiechu.

Pojechaliśmy wtedy do Holandii, o ile pamiętam. Mama na zawsze zachowała w sercu faceta, który nam pomógł opuścić Londyn. Na jego cześć nazwała Małego Sama. Zapomniałem już jak on się nazywał. Gwynn czy Stuart, czy Pepys – wszystko mi się muli, jak usiłuję sięgnąć pamięcią dalej niż do wojny Północy z Południem.

Tego wieczoru wszyscy się kłócili. Tata był niewidzialny, więc mama myślała, że nadużył samogonu, ale szybko zmiękła i dała mu gąsiorek. Wszyscy mi mówili, żebym pilnował własnego nosa.

- Ten profesorek jest bardzo mądry – powiedziała mama. – Wszyscy profesorowie są tacy. I nie dokucaj mu, bo oberwiesz ode mnie.
- Będę grzeczny, mamusiu – obiecałem. Tata dzielił mnie przez łeb, bardzo zresztą nie fair, bo go przecież nie widziałem.
- A to, żebyś pamiętał, co się do ciebie mówi – dodał.
- My jesteśmy prości ludzie – burczał pod nosem wujek Les. – Jeszcze nigdy nic dobrego nie wynikło z tego, jak człowiek usiłuje przeskoczyć samego siebie.

– Ale słowo daję, że ja nic takiego nie miałem na myśli – broniłem się. Uważałem tylko...

– Już ty nie kuś licha – powiedziała mama i właśnie w tej chwili usłyszeliśmy jak się dziadek poruszył na strychu. Czasami nie drgnie i przez miesiąc, ale dziś był jakoś dziwnie ożywiony.

No więc naturalnie poszliśmy na górę zobaczyć, o co mu chodzi.

Mówił o profesorze.

– To jakiś cudzoziemiec, co? Niech to wszyscy diabli. Za dobry byłem i dlatego teraz mam koło siebie kupę idiotów! Jeden Saunk, co ma trochę oleju w głowie, ale niech mnie dunder świśnie, jeśli to nie najgorszy osioł z was wszystkich.

Przestępowałem z nogi na nogę i mruczałem coś pod nosem, a to dlatego, że nie lubiłem patrzeć wprost na dziadka. Ale on nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, tylko pieklił się dalej:

– To co, wybierasz się do Nowego Jorku, tak? Do stu piorunów, już zapomniałeś, jak unikaliśmy Londynu i Amsterdamu, i Nieuw Amsterdamu ze strachu, że nas będą pytać? Zaprawdę, czy chcesz, aby cię pokazywali na jarmarkach jak małpę w klatce? Zresztą to wcale nie jest największe niebezpieczeństwo.

Dziadek jest najstarszy z nas i czasem, jak zaczyna mówić, mylą mu się wszystkie możliwe języki. Język, którego się człowiek nauczy w dzieciństwie, zostaje mu już jakoś na całe życie. Jedno, co trzeba dziadkowi przyznać, to, że kłąć potrafi jak nikt.

– Bzdura – powiedziałem. – Po prostu chciałem pomóc.

– Ty głupi smarkaczu – rzekł dziadek. – To wszystko twoja wina, żeby cię pokreśliło. Po coś zbudował to piekielne urządzenie, które wybiło całe plemię Haleyów? Gdyby nie ono, nigdy by się ten uczony tutaj nie pokazał.

– To jest profesor – wyjaśniłem. – Nazywa się Thomas Galbraith.

– Wiem. Podłączyłem się do jego myśli przez umysł Małego Sama. Niebezpieczny facet. Jak każdy uczony. Może z wyjątkiem Rogera Bacona, a i jego musiałem przekupić... ale Roger to był człowiek wyjątkowy. Posłuchaj! Żadne z was nie pojedzie do Nowego Jorku. Jak już raz opuścimy to schronienie i wezmą nas na spytki, jesteśmy zgubieni. Ta banda rozerwie nas na sztuki. Nawet twoje zwariowane loty cię nie uratują, słyszysz mnie, o Lesterze?

– Ale co mamy robić? – zapytała mama.

– Do diabła! – odezwał się tata. – Już ja załatwię tego profesorka. Wrzucę go do studni.

– Aha, żeby zepsuł całą wodę? – zaskrzeczała mama. – Tylko spróbuj!

– Co za podłe nasienie wydałem na świat! – powiedział dziadek, wściekły jak wszyscy diabli. – Czyż nie obiecywaliście szeryfowi, że nie będzie więcej zabójstw... przynajmniej przez jakiś czas? Czy słowo Hogbena już nic nie znaczy? Dwie rzeczy były od wieków dla nas święte: nasza tajemnica przed światem i honor Hogbenów. Zabijcie tylko tego Galbraitha, a odpowiecie za to przede mną!

Wszyscy zrobiliśmy się biali jak ściana. Mały Sam obudził się i zaczął piszczeć.

– Ale co robić? – zaniepokoił się wujek Les.

– Nasza tajemnica to rzecz święta – powiedział dziadek. – Róbcie, co tam które może, byleby bez zabijania. Rozważę tę sprawę.

Wydawało się, że szykuje się do snu, ale z dziadkiem to nigdy nic nie wiadomo.

Nazajutrz rzeczywiście spotkałem się w mieście z Galbraithem, owszem, ale przedtem natknąłem się na ulicy na szeryfa Abernathy'ego, który spojrzał na mnie spode łba.

– Nie radzę ci szukać guza, Saunk – powiedział. – Słuchaj dobrze, co ci mówię. – Było to bardzo krępujące.

W każdym razie zobaczyłem się z Galbraithem i powiedziałem mu, że dziadek mi nie pozwala jechać do Nowego Jorku. Profesor nie był z tego specjalnie zadowolony, ale widział, że nic nie poradzi.

Jego pokój w hotelu wypełniały różne naukowe aparaty, trochę to w sumie było przerażające. Miał tę naszą strzelbę pod ręką, ale nie widziałem, żeby coś w niej zmienił. Zaczął mnie przekonywać.

– Szkoda słów – powiedziałem. – Nie opuszczamy wzgórz. Wczoraj gadałem głupstwa, i tyle.

– Posłuchaj, Saunk. Rozpytywałem o was, Hogbenów, tu w okolicy, ale niewiele się dowiedziałem. Tutejsi ludzie trzymają język za zębami. Ale i tak to, co by ewentualnie powiedzieli, potwierdziłoby jedynie fakty. Wiem, że nasza teoria jest słuszna. Ty i twoja rodzina jesteście mutantami i powinniście zostać poddani badaniom.

– My nie jesteśmy żadnymi mutantami – odparłem. – Uczeni zawsze nam przyczepiają jakieś przezwisko. Roger Bacon nazywał nas homunkulusami, ale... tylko, że...

– Co takiego?! – wykrzyknął Galbraith. – Kto taki, powiedziałaś?

– Hm... to znaczy... to jest taki dzierżawca z sąsiedniego okręgu – wyjaśniłem pospiesznie, ale widać było, że profesor tego nie kupił. Zaczął przechadzać się po pokoju.

– To nie ma najmniejszego sensu – rzekł wreszcie. – Jeżeli nie pojedziesz ze mną do Nowego Jorku, to spowoduję, że fundacja przyśle tu komisję. Trzeba przeprowadzić nad wami studia dla chwały nauki i dobra ludzkości.

– Rany – jęknąłem. – Już ja wiem, co z tego wyniknie. Wystawicie nas na pośmiewisko. Mały Sam by tego nie przeżył. Musi pan nas zostawić w spokoju.

– Zostawić was w spokoju? Skoro wy potraficie zbudować aparat w tym rodzaju? – Wskazał na strzelbę. – A może mi powiesz, jak to działa? – zainteresował się nagle.

– Już panu mówiłem, że nie wiem. Po prostu jakoś to sklecieliśmy. Niech pan posłucha, profesorze: jak ludzie zaczną przyłazić i nam się przyglądać, mogą być kłopoty. I to spore. Tak mówi dziadek.

Galbraith pociągnął się za nos.

– No może... o gdybyś mi tak wobec tego odpowiedział na kilka pytań, Saunk?

– A nie będzie komisji?

– Zobaczymy.

– Nie, proszę pana, ja nie będę...

Galbraith zaczerpnął tchu.

– Jeżeli powiesz mi to, co chciałbym wiedzieć, nie zdradzę, gdzie jesteście.

– A ja myślałem, że ta pańska... jak jej tam... fundacja wie, gdzie pan przebywa?

– Jasne, że wiedzą – odparł Galbraith. – ale nie wiedzą o was.

To podsunęło mi pewną myśl. Oczywiście mógłbym go bardzo łatwo zabić, ale wiem, że dziadek by mnie za to zniszczył całkowicie, a poza tym był przecież jeszcze szeryf. Więc powiedziałem "A niech tam" i skinąłem głową.

O rany, ale co to były za pytania! W głowie mi się od nich kręciło. A profesor był coraz bardziej podniecony.

– W jakim wieku jest twój dziadek?

– A bo ja wiem.

– Homunkulusy... hmm... Wspomniałeś, że był kiedyś górnikiem.

– Nie, górnikiem był tata dziadka. Wydobywali cynę, jeszcze w Anglii. Tylko że dziadem mówi, że to się wtedy nazywała Brytania. To było w czasie takiej wielkiej zarazy, która tam panowała. I ludzie musieli wzywać doktorów... Drudów? Drunów?

– Druidów?

– Aha. Druidzi byli wtedy doktorami, mówi dziadek. W każdym razie górnicy w całej Kornwalii zaczęli wymierać, więc pozamykano kopalnie.

– A co to była za zaraza?

Powiedziałem mu tyle, ile zapamiętałem z tego, co mówił dziadek. Profesor bardzo się podniecił i zaczął coś mówić chyba o promieniowaniu radioaktywnym, o ile mogłem się zorientować. Jakieś straszne bzdury.

– Sztuczne mutacje wywołane przez radioaktywność?! – wykrzyknął i zrobił się czerwony na twarzy. – Twój dziadek urodził się mutantem! Powstał nowy układ chromosomów i genów. O, Boże, przecież wy możecie być superludźmi!

– A skąd. Jesteśmy po prostu Hogbenami. Nic więcej.

– Mutacja dominująca, oczywiście, dominująca. Czy wszyscy w rodzinie byli jacyś... no... dziwni?

– No wie pan!

– To znaczy, czy wszyscy potrafili latać?

– Ja to jeszcze nie potrafię. Ale owszem, myślę, że jesteśmy trochę dziwacznicy. Dziadek to jest jednak mądry. Zawsze nam mówił, żebyśmy siedzieli cicho i nie rzucali się w oczy.

– Maskowanie ochronne – powiedział Galbraith. – Wtopione w surową obyczajowość ludową odchylenia od normy łatwiej dają się maskować. W cywilizacji nowoczesnej byłoby was widać jak na dłoni. Tu w tej zapadłej dziurze jesteście praktycznie niewidoczni.

– Tylko tata – powiedziałem.

– O, Boże! – westchnął profesor. – Ukrywać takie niewiarygodne naturalne możliwości... Czy wy przynajmniej wiecie, do czego bylibyście zdolni? – I nagle jego podniecenie wzrosło jeszcze bardziej i muszę powiedzieć, że wyraz oczu Galbraitha wcale mi się nie spodobał.

– Coś wspaniałego – powtórzył. – To tak, jakby się natknąć na lampę Aladyna.

– Chciałbym bardzo, żeby pan nas zostawił w spokoju – powiedziałem. – Razem ze swoją komisją.

– Zapomnij o komisji. Postanowiłem, że przez jakiś czas będę się tą sprawą zajmował sam. Pod warunkiem, że mogę liczyć na twoją współpracę. To znaczy na pomoc. Możesz mi to obiecać?

– Nie – odparłem.

– No to przyślę z Nowego Jorku komisję – oświadczył z tryumfem.

Przemyślałem sprawę.

– Dobrze – powiedziałem w końcu. – Co pan chce, żebyśmy zrobili?

– Jeszcze nie wiem – odpowiedział wolno. – Nie ogarnąłem jeszcze umysłem wszystkich możliwości.

Ale był gotów ogarnąć. Widziałem to. Po jego oczach.

Stałem przy oknie i wyglądałem na ulicę. Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. Uświadomiłem sobie, że nie należy zbyt ufać profesorowi. Podsunąłem się nieznacznie do tej naszej strzelby i dokonałem w niej kilku niewielkich zmian.

Wiedziałem, co chcę zrobić, ale gdyby mnie profesor zapytał, dlaczego wygiąłem ten drut czy tamten wichajster, nie potrafiłbym odpowiedzieć. Nie mam żadnego wykształcenia. Wiedziałem tylko, że teraz to urządzenie będzie robiło to co ja chcę.

Profesor coś pisał w swoim małym notatniku. Podniósł wzrok i zobaczył mnie.

– Co ty tam robisz? – chciał wiedzieć.

– Coś tu jest chyba nie w porządku – powiedziałem. – Musiał pan majstrować przy baterijkach. Niech no pan teraz spróbuje.

– Tutaj? – zapytał wystraszony. – Nie będę potem płacił za szkody. To urządzenie musi zostać wypróbowane w specjalnych warunkach, z zachowaniem środków ostrożności.

– Widzi pan ten kurek na dachu? Wskazałem palcem. – Jak pan w niego wyceluje, nie będzie żadnej szkody. Może pan stanąć tu przy oknie i spróbować.

– A to... to nie jest niebezpieczne? – Widziałem, że jest strasznie napalony, żeby wypróbować urządzenie. Zacerpnął tchu, podszedł do okna i przytknął kolbę do policzka.

Cofnąłem się. Wolałem, żeby mnie szeryf nie zobaczył. Siedział właśnie na ławce przed składem z paszą po drugiej stronie ulicy.

Stało się dokładnie tak, jak przewidziałem. Galbraith pociągnął za spust, celując w kurek na dachu, a z lufy zaczęły wylatywać świetliste koła. Rozległ się przeraźliwy hałas. Galbraith padł na wznak i zrobiło się straszliwe zamieszanie: w całym mieście ludzie zaczęli wrzeszczeć.

Pomyślałem, że nie zawadzi, jak na chwilę stanę się niewidzialny. Więc się stałem.

Kiedy wpadł szeryf Abernathy, Galbraith właśnie oglądał strzelbę. Szeryf jest człowiek twardy, więc miał w pogotowiu pistolet i kajdanki i bardzo szybko zaczął wykłinać profesora.

– Widziałem pana! – wrzeszczał. – Wy, ludzie z miasta, myślicie, że tutaj możecie sobie na wszystko pozwolić. No to wiecie, że tutaj jest inaczej!

– Saunk! – zawołał profesor rozglądając się dokoła, ale oczywiście nie mógł mnie zobaczyć.

Wybuchła kłótnia. Szeryf Abernathy widział, jak Galbraith strzela, a przecież nie jest głupi. Wywłókł profesora na ulicę i wtedy ja sobie grzecznie nadszedłem. Ludzie latali dokoła jak szaleni. Większość trzymała się za twarze.

Profesor cały czas jęczał, że nic nie rozumie,

– Widziałem pana – mówił Abernathy. – Wycelował pan z tego swojego interesu przez okno i od tej chwili wszystkich w mieście rozboleły zęby. Niech mi pan tylko nie mówi, że pan nic nie rozumie!

Szeryf jest bystry. Zna nas, Hogbenów, już wystarczająco długo, żeby się nie dziwić, kiedy dzieje się coś niezwykłego. Wiedział też, że Galbraith jest uczonym. No więc wybuchło wielkie zamieszanie i jak ludzie usłyszeli, co się stało, chcieli normalnie Galbraitha zlinczować.

Ale Abernathy go zabrał. Przez jakiś czas włóczyłem się po mieście. Widziałem, jak pastor, zakłopotany, ogląda okna kościoła. Nie mógł zrozumieć, dlaczego witraże są gorące. Mógłbym mu to wytłumaczyć. W witrażach jest złoto; używają go do uzyskiwania pewnego rodzaju czerwieni.

Wreszcie udałem się do więzienia. A że byłem w dalszym ciągu niewidzialny, więc zacząłem podsłuchiwać co Galbraith mówi do szeryfa.

– To sprawka Saunka Hogbena – upierał się profesor. – Mówię panu, że to on zmajstrował coś przy projektorze.

– Ale ja widziałem pana – nie ustępował Abernathy. – To pan zrobił. Auu! – Złapał się za szczękę. – Ale radzę panu przestać, i to szybko! Ten tłum tam na zewnątrz nie żartuje. Połowa ludzi w mieście cierpi na ból zębów.

To znaczy, że połowa ludzi w mieście miała złote plomby.

I wtedy Galbraith powiedział coś, co mnie specjalnie nie zdziwiło.

– Ja tu sprowadzę komisję z Nowego Jorku, zadzwonię dziś wieczór do fundacji, oni za mnie poręczą.

Chciał nas wszystkich wyprowadzić w pole; czułem, że o to mu chodzi.

– Albo pan wyleczy z bólu zębów i mnie, i wszystkich innych, albo otworzę drzwi i wpuszczę ten cały tłum, żeby pana zlinczował! – pieklił się szeryf. A potem wyszedł, żeby sobie przyłożyć do policzka woreczek z lodem.

Wymknąłem się i znów zrobiłem się widzialny. Nadchodząc specjalnie hałasowałem, żeby mnie Galbraith usłyszał. Cały czas stałem z głupią miną czekając, aż mnie przestanie kłąć.

– Chyba coś musiało mi się pomylić – powiedziałem. – Ale jak trochę pomajstruję...

– Dość tego twojego majstrowania! – przerwał. – Zaczekaj chwilę. Co ty takiego powiedziałaś? Że jak pomajstrujesz, to wyleczysz... z czego ty tych ludzi wyleczysz?

– Ja miałem na myśli tę strzelbę – powiedziałem. – Wydaje mi się, że wiem, gdzie popełniłem błąd. Ona jest w tej chwili chyba nastawiona na złoto i całe złoto w mieście teraz promieniuje czy nagrzewa się, czy jeszcze coś tam innego.

– Indukowana selektywna promieniotwórczość – mruknął Galbraith, co właściwie nic nie znaczyło. – Posłuchaj, czy ten tłum tam na zewnątrz... czy oni tu często dokonują aktów linczu?

– Nie częściej niż raz, dwa razy do roku – powiedziałem. – Ale w tym roku już dwa lincze mieliśmy, więc wyczerpaliśmy limit. Chyba byłoby dobrze, gdybym mimo to zabrał pana do nas. Bez trudu możemy pana ukryć.

– Rzeczywiście lepiej coś zróbcie – powiedział – bo jeśli nie, to sprowadzę tę komisję z Nowego Jorku. Nie byłibyście chyba tym zachwyceni, co?

Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak łgał i nawet mu powieka nie drgnęła.

– Ma pan to jak w banku – zapewniłem go. – Mogę tak podregulować nasze urządzenie, że natychmiast odetnie promieniowanie. Tylko bym nie chciał, żeby ludzie kojarzyli to, co się dzieje, z nami, Hogbenami. My jesteśmy skromni. My nie lubimy robić wokół siebie szumu. Niech pan posłucha: pójdę do hotelu i podreguluję strzelbę, a pan będzie musiał tylko zebrać tych wszystkich ludzi, których bolą zęby, w jednym miejscu i pociągnąć za spust.

– Dobrze, ale...

Bał się, że wynikną z tego jeszcze większe kłopoty. Musiałem go namawiać. A że zebrany na zewnątrz tłum darł się jak opętany, nie było to specjalnie trudne. Wreszcie poszedłem, ale wróciłem, tyle, że niewidzialny, i przysłuchiwałem się temu, co Galbraith mówił do szeryfa.

Ustalili, że każdy, kogo bolą zęby, stawi się w ratuszu. A potem Abernathy miał przyprowadzić profesora, z tą strzelbą naturalnie, i mieli ją wypróbować.

– Ale czy to urządzenie wyleczy wszystkich z bólu zębów? – chciał wiedzieć szeryf. – Na pewno?

– Ja... ja jestem pewien, że tak.

Abernathy pochwycił nutę wahania w jego głosie.

– Lepiej niech pan to najpierw na mnie wypróbuje. Po prostu, żeby się upewnić. Nie ufam panu.

Wyglądało na to, że nikt nikomu nie ufa.

Powędrowałem z powrotem do hotelu i przestawiłem strzelbę. I wtedy właśnie wpadłem w tarapaty. Moja niewidzialność zaczęła już prześwitywać. Takie są właśnie kłopoty wynikające z tego, że się nie jest całkiem dorosłym.

Jak będę o kilkaset lat starszy, będę mógł pozostawać niewidzialny tak długo, jak zechcę. Ale jeszcze nie opanowałem tej sztuki na dobre. Chodziło oto, że potrzebna mi była pomoc, bo musiałem coś zrobić, a nie mogłem tego zrobić na oczach innych.

Wlazłem na dach i zawołałem Małego Sama. Jak tylko się podłączyłem do jego świadomości, spowodowałem, że nawiązał kontakt z tatą i wujkiem Lesem. Po chwili sfrunął z nieba wujek Les, ale ciężko mu to szło, bo dźwigał tatę. Tata kłął jak wszyscy diabli, bo po drodze ścigał ich jastrząb.

– Nikt nas nie widział – powiedział wujek Les. – Tak mi się w każdym razie wydaje.

– Tu, w mieście, ludzie mają głowy zaprzątnięte własnymi kłopotami – zapewniłem go. – Potrzebna mi jest pomoc. Ten profesor wezwie tę swoją komisję i zacznie badania nad nami, niezależnie od jego obietnic.

– W tej sytuacji niewiele da się zrobić – powiedział tata. – Nie możemy zabić tego faceta. Dziadek nie kazał.

I wtedy wyłuszczyłem im swój pomysł. Tata będąc niewidzialny mógł się tego podjąć z łatwością. Zrobiliśmy sobie na dachu takie małe miejsce, przez które wszystko było widać, i zajrzeliśmy do pokoju Galbraitha.

I w samą porę. Szeryf stał z wyciągniętym pistoletem i czekał, a profesor, błąd jak ściana, mierzył ze strzelby

w Abernathy'ego. Wypaliła bez kopnięcia. Galbraith pociągnął za spust, wyskoczyło czerwone kółko światła, i to wszystko. Tyle, że szeryf otworzył usta i przelknął.

– A jednak pan nie oszukiwał! Przestało mnie boleć!

Galbraith, zlany potem, robił dobrą minę do złej gry.

– Mówiłem, że to urządzenie jest niezawodne – powiedział. – Naturalnie. Mówiłem.

– Idziemy do ratusza. Wszyscy czekają. Lepiej niech pan i tamtych wyleczy, bo może być z panem źle.

Wyszli. Tata wymknął się za nimi, a wujek Les złapał mnie i pofrunęliśmy ich śladem, nisko nad dachami, tak żeby nas nikt nie zobaczył. Po chwili zatrzymaliśmy się przed jednym z okien ratusza, skąd mogliśmy widzieć, co się dzieje wewnątrz.

Od czasów tamtej wielkiej zarazy w Londynie nie widziałem tyle nieszczęścia naraz. Ratusz był pełen ludzi, a wszystkich bolały zęby – jeden jęk i wrzask. W pewnej chwili wszedł Abernathy prowadząc ze sobą profesora ze strzelbą i na ich widok krzyki jeszcze się wzmogły.

Galbraith oparł strzelbę na podium, celując w publiczność, a w tym czasie szeryf wyciągnął pistolet i założył mowę. Kazał się wszystkim zamknąć, to pozbęda się bólu zębów.

Taty naturalnie nie widziałem, ale wiedziałem, że stoi na podium. Coś dziwnego zaczęło się dziać ze strzelbą. Nikt oprócz mnie tego nie zauważył, a ja nie spuszczałem jej z oka. Tata – oczywiście niewidzialny – dokonał kilku zmian. Powiedziałem mu, co ma robić, ale on sam wiedział nie gorzej ode mnie, więc już po chwili nasze urządzenie było ustawione tak, jak sobie tego życzyliśmy.

To, co się zaczęło dziać zaraz potem, było wstrząsające. Galbraith wycelował w tłum i pociągnął za spust – wyleciały świetliste koła, tym razem żółte. Powiedziałem tacie, że ma tak ustawić zasięg rażenia strzelby, żeby nikt poza ratuszem nie został uszkodzony. Ale wewnątrz...

Co do bólu zębów, to sprawa rzeczywiście została załatwiona. Trudno, żeby kogoś bolała złota plomba, jak jej nie ma.

Nasze urządzenie było teraz ustawione w ten sposób, że działało na wszystko co nieżywe. Tata wyregulował zasięg akurat dobrze. Nagle poszły wszystkie krzesła i część żyrandola. Publika, zbита w gromadę, też nieźle oberwała: Jaffe'owi Kulasowi wyleciało szklane oko. Ci, co mieli sztuczne zęby, też je potracili. A zarazem wszystkich jakby trochę przystrzygło. No i zostali bez ubrania. Buty przecież nie są żywe, tak samo spodnie, koszule czy sukienki. W okamgnieniu wszyscy stali goli, jak ich Pan Bóg stworzył. Ale, do licha, przecież pozbyli się bólu zębów, no nie?

W godzinę później spotkaliśmy się w domu wszyscy z wyjątkiem wujka Lesa, kiedy nagle otworzyły się drzwi i wpadł wujek, ciągnąc za sobą potykającego się profesora. Galbraith był wykończony – padł na krzesło zaspany, niespokojnie oglądając się na drzwi.

– Zabawna rzecz się stała – powiedział wujek Les. – Lecę sobie za miastem, a tu patrzę: profesor ucieka co sił w nogach

przed wielkim tłumem. Niektórzy z tych ludzi byli pozawijani w prześcieradła, ale tylko niektórzy. No to go wzięłem i przyniosłem tutaj, tak, jak sobie tego życzył. – Wujek Les mrugnął do mnie.

– Oooh! – jęknął Galbraith. – Aaach! Czy są już blisko?

Mama podeszła do drzwi.

– Widzę dużo latarek, wspinają się pod górę – powiedziała. – Nie wygląda to dobrze.

Profesor spojrział na mnie spode łba.

– Powiedziałeś, że możesz mnie ukryć! Ukryj mnie szybko! To wszystko twoja wina.

– Bzdura – odparłem.

– Ukryj mnie albo... – wrzasnął – ...albo sprowadzę tę komisję!

– Zgoda. Ale jeżeli ukryjemy pana w bezpiecznym miejscu, to czy zapomni pan o tej swojej komisji i zostawi nas

w spokoju?

Profesor obiecał.

– Chwileczkę. – Poszedłem na strych zobaczyć się z dziadkiem.

Akurat nie spał.

– No i co teraz zrobimy z tym fantem, dziadku? – spytałem.

Przez chwilę słuchał Małego Sama.

– Ten łotr kłamie – powiedział mi szybko. – I tak nie bacząc na dane słowo zamierza tu sprowadzić tę swoją zakichaną komisję.

– To co? Mamy go ukryć?

– Tak – odpowiedział dziadek. – Hogbenowie dali słowo, więc nie będzie więcej zabijania. A ukrycie zbiega przed ścigającymi to chyba czyn godny, nie sądzisz?

Niewykluczone, że mrugnął przy tych słowach. Z dziadkiem nigdy nie wiadomo. No to zszedłem na dół po drabinie.

Galbraith stał przy drzwiach i obserwował zbliżające się latarki.

Złapał mnie za rękę.

– Saunk! Jeśli mnie nie ukryjesz...

– Ukryjemy pana – zapewniłem go. Proszę za mną. – Wzięliśmy go do piwnicy...

Kiedy wpadł do nas tłum z szeryfem Abernathym na czele, udaliśmy głupich. Pozwoliliśmy im przeszukać dom. Mały Sam i dziadek stali się na chwilę niewidzialni, więc nikt ich nie zauważył. No, a profesor znikł naturalnie jak kamfora. Ukryliśmy go dobrze, tak jakśmy mu obiecali.

To było kilka lat temu. Profesor ma się znakomicie. Tyle, że to nie on prowadzi badania nad nami. Czasami wyjmujemy butelkę, w którą go nabiliśmy, i wtedy to my prowadzimy badania nad nim.

A to cholernie mała butelka!

## Stos kłopotów.

Nazywaliśmy Lemuela Kulasem, bo miał trzy nogi. Kiedy dorósł, co przypadło mniej więcej w okresie wojny Północy z Południem, wołał raczej tę trzecią nogę trzymać za sobą w spodniach, tak żeby jej nie było widać i żeby ludzie nie gadali. Oczywiście w ten sposób przypominał trochę wielbłąda jednogarnbego, ale ostatecznie Lemuel nigdy nie był próżny. Całe szczęście, że miał w tej nodze dwa kolana, boby dostał kurczu.

Nie widzieliśmy Lemuela jakieś sześćdziesiąt lat. Żył w południowej części gór, a my, reszta, na północy Kentucky. I myślę, że nigdy nie wpadlibyśmy w te wielkie tarapaty, gdyby Lemuel nie był taki piekielnie niezdarny. A przez jakiś czas wyglądało, że będą to kłopoty nie lada. Bo my, Hogbenowie, zanim się przenieśliśmy do Piperville, i tak mieliśmy tego dość: ludzie bez przerwy do nas zaglądali i wsadzali swoje trzy grosze usiłując się dowiedzieć, dlaczego w promieniu wielu mil tak szczekają psy. Doszło nawet do tego, że w ogóle nie mogliśmy latać. Wreszcie dziadek powiedział, żebyśmy zaryzykowali i przenieśli się do Lemuela na południe.

Nienawidzę przeprowadzek. Od tej podróży do Plymouth Rock zbierało mi się na wymioty. Wołałem latać. No, ale ostatecznie dziadek był szefem, nie ja.

Kazał nam wynająć ciężarówkę i załadować na nią cały dobytek. Największy kłopot mieliśmy z Bobasem; nie waży wprawdzie więcej jak trzysta funtów, ale pojemnik, w którym go trzymamy, jest dość pękaty. Bo z dziadkiem nie było żadnych problemów: wsadziliśmy go po prostu w stary jutowy worek i wepchnęliśmy pod siedzenie. Cała robota spadła na mnie. Tata dobrał się do samogonu i był zalany w trupa. Skakał na czubku głowy i podśpiewywał piosenkę „Świat stanął dęba”.

A wujek nie chciał wyjść. Zagrzebał się w szopie na kukurydzy i powiedział, że na jakieś dziesięć lat zapada w sen zimowy. No więc go zostawiliśmy.

– Bez przerwy tylko podróżujecie – narzekał. – Nie możecie usiedzieć na miejscu. Nie minie pięćset lat, a wy już w drogę i lato w lato byście się tylko włóczyli. Wynocha.

No, tośmy się wynieśli.

A znów Lemuel, ten, którego nazywaliśmy Kulasem, to był facet jedyny w całej rodzinie. Z tego, co słyszałem, wybuchła wielka draka, jak tylko przyjechalśmy do Kentucky, jako, że wszyscy mieli obowiązek zakasać rękawy i pomagać przy budowie domu – wszyscy, z wyjątkiem jednego Lemuela. O nie, co to, to nie on. Lemuel był kompletnie bezradny. Odleciał na południe. Co roku czy co dwa lata budził się na trochę i wtedy słyszeliśmy, jak myśli, ale przeważnie to po prostu siedział.

Postanowiliśmy przez jakiś czas pobyc z nim.

No i pobyliśmy.

Lemuel mieszkał w starym młynie wodnym w górach nad miasteczkiem zwanym Piperville. Ten młyn to była już właściwie rudera. Zastaliśmy wujka na ganku. Siedział w fotelu, ale ten fotel już się dawno rozleciał, tyle że Lem nie zadał sobie nawet trudu, żeby się obudzić i go zreperować. No więc siedział tak sobie wtulony we własną brodę i troszkę nawet oddychał. Miał miły sen. Więc go nie budziliśmy. Wtaszczyliśmy tylko Bobasa do środka, a dziadek z tatą zaczęli wnosić butelki samogonu.

I tak się właśnie osiedliliśmy. Początkowo nie czuliśmy się tam dobrze. Lemuel nie był nawet na tyle zaradny, żeby mieć w domu jakieś zapasy. Budził się po prostu od czasu do czasu, żeby zahipnotyzować gdzieś w lesie szopa i ten szop przyłaził na żądanie, zupełnie ogłupiały, gotów do zjedzenia. Lemuel musiał się odżywiać głównie szopami; bo one mają bardzo zręczne łapy, zupełnie jak ręce. I niech ja skisnę, jeśli ten niezaradny wujek Lem nie potrafi tak zahipnotyzować szopa, żeby sam rozpałił ogień i sam się ugotował. Jednego tylko nie wiem do dziś: jak on je obdzierał ze skóry. Może po prostu wypluwał futro. Są ludzie za leniwi na wszystko.

A jak mu się zachciało pić, to zwyczajnie puszczał sobie nad głowę mały deszczyk i otwierał usta. Wstyd.

Ale i tak nikt nie zwracał uwagi na Lemuela. Mama była bardzo zajęta. Tata naturalnie wymknął się gdzieś z butelką samogonu, no a cała robota spadła na mnie. Nie było tego zresztą wiele. Najgorszy kłopot polegał na tym, że potrzebna nam była jakaś energia. Bobas w tym swoim pojemniku żre prąd jak lichy, a tata ciągnie energię elektryczną dosłownie jak smok. Gdyby Lemuel utrzymał wodę w strumieniu, nie byłoby problemu, ale właśnie: to był cały Lemuel! Pozwolił, żeby strumień wysechł. Została z niego dosłownie małańka strużka, nic więcej.

Z pomocą mamy zbudowałem więc w kurniku takie specjalne urządzenie i od tej pory mieliśmy już prądu w bród.

Kłopoty zaczęły się pewnego dnia, kiedy drogą nadszedł jakiś chudy kurdupel i nie mógł się nadziwić, że mama robi pranie na podwórku. Ja się snułem w pobliżu, ciekaw, co z tego wyniknie.

– Ładny dzień – zagadnęła mama. – Może pan się czegoś napije?

Powiedział, że i owszem, może, więc mu podałem cały czerpak samogonu. Wypił, zatkało go na chwilę, a potem powiedział, że nie, dziękuje, nie chce więcej, a potem powiedział, że nie, dziękuje, nie chce więcej ani teraz, ani już nigdy. Powiedział, że poderznąć sobie gardło jest taniej, a skutek ten sam.

– Przyjechaliście dopiero co? – zagadnął.

Mama powiedziała, że tak i że Lemuel jest naszym krewnym. Facet spojrział na Lemuela, który siedział na ganku z zamkniętymi oczami, i zapytał:

– A to on żyje?

– Jasne, że żyje – odparła mama. – Żyje i dobrze się ma, jak to mówią.

– A myśmy myśleli, że on już dawno umarł – rzekł mężczyzna. – Dlatego nigdy nie ściągaliśmy od niego podatku. Ale właśnie, wyście też powinni zapłacić podatek, skoro się wprowadziliście. Ile was jest?

– Będzie ze sześcioro – powiedziała mama.

- Wszyscy dorosli?
- Jest tata i Saunk, i Bobas...
- Ile on ma?

– Bobas będzie miał teraz ze czterysta lat, prawda, mamó? – zapytałem, ale mama dała mi tylko w łeb i powiedziała, żebym siedział cicho. Mężczyzna pokazał na mnie i wyjaśnił, że on pytał, ile ja mam lat. Piekło i sztuczna noga! A skąd ja mam wiedzieć? Straciłem rachubę mniej więcej w czasach Cromwella. W końcu facet orzekł, że mamy płacić pogłównie wszyscy, z wyjątkiem Bobasa.

– To zresztą i tak nie ma znaczenia – powiedział zapisując coś w małej książeczce. – I tak w tym mieście trzeba głosować, jak się należy. Piperville ma tylko jednego szefa, nazywa się Eli Gandy. Razem dwadzieścia dolarów.

Mama kazała mi przynieść jakieś pieniądze, więc poszedłem szukać. Dziadek nie miał nic poza czymś, co powiedział, że nazywa się denar i że jest jego maskotka; twierdził, że rąbnął go jednemu facetowi imieniem Juliusz z Galii. Tata był zalany w trupa. Bobas miał trzy dolary. Przeszukałem kieszenie Lemuelowi, ale nie znalazłem w nich nic, poza starym gniazdem wilgi z dwoma jajeczkami w środku.

Kiedy powiedziałem o tym mamie, podrapała się w głowę, więc ją uspokoiłem:

– Jutro coś się zrobi. Przyjmie pan złoto, prawda?

Mama dała mi kuksańca. Mężczyzna popatrzył na nas dziwnie i powiedział, że oczywiście weźmie złoto. A potem odszedł przez las. Po drodze minął szopa, który niósł wiązkę chrustu na rozpałkę, z czego wywnioskowałem, że Lemuel zgłodniał. Mężczyzna przyspieszył kroku.

Rozejrzałem się za jakimś starym żelastwem, które mógłbym zamienić w złoto.

Następnego dnia odstawiono nas do więzienia.

Naturalnie wiedzieliśmy o tym wcześniej, ale niewiele mogliśmy w tej sprawie zrobić. Zawsze uważaliśmy, że nie należy się wychylać, żeby nie zwracać na siebie zbytnej uwagi. I tym razem dziadek też nam to przykazał. Poszliśmy więc na strych, wszyscy poza Bobasem i Lemuelem, który się w ogóle nie ruszał, i ja cały czas gapilem się na wiszącą w rogu pajęczynę, żeby nie musieć patrzeć na dziadka – zawsze mnie bolały od tego oczy.

– A to śmierdzące pacholki – powiedział dziadek. – Najlepiej będzie jak pójdziemy do tego ich pudła. Czasy Inkwizycji się skończyły. Będziemy tam zupełnie bezpieczni.

– A czy nie moglibyśmy jakoś schować tego naszego urządzenia? – spytałem.

Mama dała mi w łeb za to, że się odzywam przy starszych.

– To się na nic nie zda – powiedziała. – Już tu byli rano z Piperville na przespiegi i je widzieli.

Na to odezwał się dziadek:

– A czy wykopaliscie pod domem dół? To dobrze. Schowajcie tam mnie i Bobasa. A wy, reszta... – I tu przeszedł na starodawny język. – Szkoda, żebyśmy po tylu latach zostali odkryci przez tych ciemnych tępaków. Byłoby lepiej poderznąć im gardła. Nie, Saunk, ja tak tylko żartowałem. Nie możemy zwracać na siebie uwagi. Znajdziemy jakieś wyjście.

No i tak właśnie było. Wszystkich nas wynieśli, a wyjątkiem dziadka i Bobasa, których do tego czasu zdążyliśmy już schować w jamie pod domem. Wywieźli nas do Piperville i wsadzili do paki. Lemuel nawet się nie obudził. Zawlekli go za piętę.

Co do taty to był cały zalany. Bo tata zna taką jedną sztuczkę. Może pić samogon, a potem, tak jak ja to rozumiem, alkohol dostaje mu się do krwi i zamienia w cukier czy coś w tym rodzaju. Nic, tylko czary. Próbowali mi to kiedyś wytłumaczyć, ale nie ma w tym sensu za grosz. Wódka idzie przeciw do żołądka – jak może iść do głowy i zmieniać się w cukier? kompletna bzdura. Albo czary, tak czy siak. Ale co ja chciałem powiedzieć... Chciałem powiedzieć, że tata przyuczył takich swoich przyjaciół, Enzymy – to chyba cudzoziemcy, przynajmniej sądząc z imienia – i oni mu zmieniają cukier z powrotem na alkohol i dzięki temu tata może być pijany, jak długo zechce. Ale i tak woli świeży samogon jak ma pod ręką. Jeśli chodzi o mnie, to nie przepadam za tymi czarodziejskimi sztuczkami – robię się nerwowy.

Zaprowadzili mnie do pokoju, w którym już byli jacyś ludzie, i kazali usiąść na krzesle. Zaczęli mi zadawać pytania. Udawałem głupiego. Mówiłem, że nic nie wiem.

– To niemożliwe! – powiedział jeden z nich. – Takie wiejskie ciemniaki nie mogły tego zbudować same. W każdym razie bez wątpienia mają u siebie w kurniku stos atomowy!

Też coś!

W dalszym ciągu udawałem głupiego. Po chwili zabrali mnie z powrotem do mojej celi. Były tam pluskwy. Ale wypuściłem z oka coś w rodzaju promienia i wytłukłem je ku wielkiemu zdziwieniu małego obdartusa o różowych bokobrodach, który sypiał na górnej pryczy, a który akurat nie spał, co zauważyłem, niestety, jak już było za późno.

– Tułałem się swego czasu po różnych dziwnych więzieniach – powiedział mały obdartus gwałtownie mrugając – i miewałem różnych niezwykłych towarzyszy niedoli, ale jeszcze nigdy nie spotkałem takiego, którego bym podejrzewał o to, że jest diabłem. Nazywam się Armbruster, Śmierdziel Armbruster, i siedzę za włóczęgostwo. A o cóż ciebie oskarżają, przyjacielu? Kupowałeś dusze po zbyt wygórowanych cenach?

Powiedziałem, że miło mi go poznać i że podziwiam jego język. Musiał być wysoko kształcony.

– Panie Armbruster, ja naprawdę nie mam pojęcia, za co tu siedzę. Po prostu mnie wywieźli – z tatą, z mamą i z Lemuelem. Ale Lemuel śpi, a tata jest pijany.

– Chciałbym być pijany – zwierzył mi się pan Armbruster. – Nie dziwiłbym się wtedy tak bardzo widząc, jak się unosisz na wysokości dwóch stóp nad ziemią.

Zmieszałem się trochę. Nikt nie lubi, żeby go na czymś takim złapano. Ale to wszystko przez to, że jestem taki roztrzepany. Poczuję się naprawdę głupio i przeprosiłem go.

– Nic nie szkodzi – powiedział pan Armbruster, przewracając się na bok i drapiąc po bokach. – Spodziewałem się tego od

lat. Biorąc jedno z drugim, miałem w sumie przyjemne życie. A zwiariować w taki sposób jest po prostu cudownie. Dlaczego, mówiliś, was aresztowali?

– Powiedzieli, że mamy stos atomowy – wyjaśniłem. – A ja mogę dać głowę, że nie mamy. Mamy za to stos drzewa. Wiem, bo sam je rąbałem. A atomów nie rąbałem nigdy.

– Pamiętałbyś, gdybyś rąbał, no nie? – powiedział pan Armbruster. – To pewnie jakaś polityczna sztuczka. Do wyborów został już tylko tydzień. Tworzy się partia reform i Gandy chce ją zniszczyć, zanim powstanie.

– Powinniśmy się zbierać do domu – wtrąciłem.

– A gdzie ty mieszkasz?

Kiedy mu powiedziałem, przemyślał sprawę.

– Tak się zastanawiam. Mieszkacie nad rzeką, prawda, to znaczy nad strumieniem? Wielkiego niedźwiedzia?

– To nie jest nawet strumień – odparłem.

Pan Armbruster roześmiał się.

– To Gandy nazwał go Rzeką Wielkiego Niedźwiedzia. Jeszcze zanim została zbudowana Tama Gandy’ego, tam poniżej tego miejsca, gdzie wy mieszkacie. W tym strumieniu przez pięćdziesiąt lat nie było wody, ale stary Gandy dostał na to wielkie kredyty – sam już nawet nie wiem ile – chyba z dziesięć lat temu. I przez to, że strumyk nazwał rzeką, doprowadził do zbudowania tamy.

– Ale po co mu to było? – spytałem.

– Czy ty sobie zdajesz sprawę, ile lewych pieniędzy można mieć ze zbudowania tamy? – odparł pan Armbruster. – Ale Gandy i tak wygra wybory. Jak do faceta należy prasa, to stać go na własny program wyborczy. Oho, ktoś idzie.

Przyszedł jakiś mężczyzna z kluczami i zabrał pana Armbrustera. Po dłuższej chwili przyszedł ktoś inny i zabrał mnie. Zaprowadzili mnie do jakiegoś pokoju, pełnego światła. Był tam już pan Armbruster, mama tata i Lemuel, i kilku potężnych facetów ze spluwami. I był też mały, chudy, pomarszczony człeczyna, łysy i z oczkami węża, i wszyscy robili to, co im kazał. Nazywali go panem Gandym.

– Ten chłopak to jest zwykły wiejski ciemniak – powiedział pan Armbruster, kiedy wszedłem. – Jeżeli on wpadł w tarapaty, to tylko przez przypadek.

Powiedzieli mu żeby siedział cicho, i dali raz w łeb. Więc siedział cicho. Wtedy pan Gandy usiadł w rogu pokoju i skinął głową, a wygląd miał wredny. I złe spojrzenie.

– Posłuchaj, chłopcze – odezwał się do mnie. – Kogo ty kryjesz? Kto zbudował ten stos atomowy w waszym kurniku? Radzę ci powiedzieć prawdę, bo może cię spotkać przykreść.

Ale ja się po prostu na niego gapiłem, więc ktoś mi dał w łeb. Śmieszne. Jeszcze nikt nie zrobił w ten sposób krzywdy Hogbenowi. Pamiętam, jak tacy jedni Adamsowie, co to się z nami wadzili, złapali mnie kiedyś i natłukli po głowie: byli tak wykończeni, że nie mieli siły nawet pisać, jak ich wrzuciłem do cysterny.

Pan Armbruster zaczął wydawać różne odgłosy.

– Panie Gandy – powiedział wreszcie – ja wiem, że gdyby pan odkrył, kto zbudował ten stos atomowy, to byłaby wielka sprawa, ale przecież pan i tak wygra te wybory. A zresztą może to wcale nie jest stos atomowy?

– Ja wiem, kto go zbudował – powiedział pan Gandy. – To uczeni zaprzańcy. Albo zbiegli hitlerowscy zbrodniarze wojenni. I mam zamiar ich ująć!

– Aha – rzekł pan Armbruster. Już rozumiem. Taka historia odbiłaby się echem w całym kraju, prawda? Mógłby pan kandydować na stanowisko gubernatora albo do senatu, albo... przedstawić nawet własny program wyborczy.

– Co ten chłopak panu powiedział? – spytał pan Gandy. Ale pan Armbruster odparł, że nic.

Wtedy zaczęli okładać Lemuela.

To było dość męczące. Nikt nie jest w stanie obudzić Lemuela, jak ma ochotę się zdrzemnąć, a jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś miał na to większą ochotę niż on wtedy. Na jakiś czas dali mu więc spokój, bo go uznali za zmarłego. I trudno się dziwić. Bo Lemuel jest tak piekielnie leniwy, że jak mocno zaśnie, to mu się nawet nie chce oddychać.

Tata robił jakieś kombinacje z tymi swoimi przyjaciółmi Enzymami i osiągnął znaczny stan upojenia alkoholowego. Co oberwał – to jakby go połaskotali. Za każdym razem, jak mu przyleli gumowym szlauchem, zaczynał głupio chichotać. Aż mi było wstyd.

W każdym razie nikt nie próbował lać mamy. Ktokolwiek zbliżył się do niej na tyle, żeby ją uderzyć, robił się zaraz biały jak gęsie jajo, oblewał się potem i trząsł. Zналиśmy kiedyś takiego jednego profesora, co twierdził, że mama potrafi wysyłać wąską wiązkę poddźwiękową. To był łgarz. po prostu wydawała dźwięki, których nikt nie słyszał, i kierowała je tam, gdzie chciała. Po co zaraz takie wielkie słowa! Sprawa jest prosta jak w mordę strzelił. Sam to potrafię.

Pan Gandy zarządził, żeby nas zabrali z powrotem tam, gdzie byliśmy, to on jeszcze potem się z nami zobaczy. No więc wywekli Lemuela, a my wszyscy wróciliśmy do swoich cel. Pan Armbruster miał na głowie śliwę wielkości kaczego jaja. Leżał na pryczy i jęczał, a ja siadłem sobie w kącie, patrzyłem na jego głowę i strzelałem z oczu takim specjalnym światłem, tylko, że nikt tego światła nie mógł zobaczyć. I ono działało jak... zresztą, ja tam nie jestem kształcony. No, po prostu działało jak kataplazma. Po chwili guz się schował i pan Armbruster przestał jęczeć.

– Grozi ci poważne niebezpieczeństwo, Saunk – powiedział. Zdążyłem już zdradzić mu swoje imię. – Gandy ma wielkie ambicje. I zupełnie otumaniał ludzi z Piperville. A chciałby otumanić cały stan czy nawet cały naród. Dąży do tego, żeby odegrać ważną rolę polityczną. I dobra historia w prasie by mu to załatwiła. A poza tym zapewniłaby mu zwycięstwo w przyszłotygodniowych wyborach. On zresztą nie potrzebuje żadnych gwarancji. I tak ma to w kieszeni. Czy wy rzeczywiście macie stos atomowy?

Spojrzałem na niego tylko.

– Gandy właściwie nie ma co do tego wątpliwości – podjął. Posłał tam fizyków, którzy mu powiedzieli, że wygląda im to

na uran dwieście trzydzieści pięć z grafitowym tłumieniem. Saunk, słyszałem, jak to mówili. Dla własnego dobra nikogo nie osłaniaj. Dadzą ci wykrywacza prawdy – pentatol sodowy albo skopolaminę.

– Niech się pan lepiej prześpi – poradziłem mu, ponieważ w środku, w głowie, słyszałem, jak mnie woła dziadek.

Zamknąłem oczy i zacząłem nad słuchiwać. Nie była to łatwa sprawa, bo cały czas włączał się tata. O rany, ale był zapruty!

– Może się napijesz? – powiedział bardzo wesolutki, tyle, że bez mówienia, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

– Bądź przeklęty, wszawy stworze – skarcił go dziadek, znacznie mniej wesoły. Zabieraj stąd swój tępy umysł. Saunk!

– Tak jest, dziadku – odezwałem się bezgłośnie.

– Musimy ułożyć plan...

– Saunk, może byś się napił? – wtrącił tata.

– Tata, zamknij się, proszę cię bardzo – podregulowałem tatę. – Miej trochę szacunku dla starszych. To znaczy dla dziadka.

A poza tym, jak mogę się napić, skoro jesteś daleko, w innej celi.

– Ale mam rurkę – wyjaśnił tata. – Mogę ci zrobić... jak to się nazywa... transfuzję. O, właśnie, teleportację. Zrobię zwarcie pomiędzy moim i twoim krwiobiegiem i przepompuję alkohol z moich żył do twoich. O, patrz, tak się to robi – I wyświetlił mi jak gdyby taki obrazek w głowie. Sprawa była dość prosta. To znaczy dla Hogbena.

Wpadłem we wściekłość.

– Tata – powiedziałem. – Nie zmuszaj swego kochającego syna, żeby cię znieważał bardziej, niż to jest normalne, ty stara zapijaczona mordo. Wiem, że nie masz żadnej szkoły. Po prostu wydziobujesz te wszystkie trudne słowa komuś prosto z głowy.

– Chlapij sobie – powiedział tata, a następnie wrzasnął. Słyszałem, jak dziadek chichocze.

– Kradniesz mądrości z umysłów innych ludzi, he? – rzekł. – Ja też to potrafię. Właśnie wyhodowałem błyskawicznie we własnej krwi wirusa migreny i w drodze teleportacji przeniosłem go do twojej głowy, ty łachmyto przeklęty. Niech cię morowe powietrze, hultaju jeden! Daj mi posłuch, Saunk. Twój szubrawy rodzic nie będzie nas chwilowo niepokoił.

– Dobrze, dziadku – odparłem. – Jesteś gotów?

– Tak.

– A Bobas?

– Też. Ale działać musisz ty. To twoje zadanie, Saunk. Kłopot polega na tym, jak mu tam, stosie atomowym.

– A więc, to jest właśnie to.

– Jak mogłem się spodziewać, że ktokolwiek się na tym pozna? Mój własny dziad mnie wtajemniczył, jak się to robi, te stosi istniały w jego czasach. Prawdę powiedziawszy, to właśnie przez takie rzeczy my Hogbenowie, zostaliśmy mutantami. Zaraz, sam muszę się podłączyć do jakiegoś mózgu, żeby to wyjaśnić. W tym mieście, w którym ty jesteś, Saunk, są tacy ludzie, co znają potrzebne mi słowa, zaraz, chwileczkę, zobaczymy.

Dziadek przeleciał kilka mózgów, po czym podjął:

– W czasach mojego dziada ludzie zaczęli rozczepiać atom. Powstało... hm... promieniowanie wtórne. Wywarło ono wpływ na geny i chromosomy niektórych ludzi – stąd mutacja dominująca u nas, Hogbenów. Tak więc jesteśmy mutantami.

– To właśnie o tym mówił Roger Bacon, tak? – spytałem.

– Tak. Ale on był życzliwy i siedział cicho. Gdyby ludzie w tamtych czasach poznali się na naszych zdolnościach to by nas niechybnie spalili. Nawet dzisiaj byłoby niebezpiecznie się ujawniać. Ostatecznie... wiesz, co planujemy ostatecznie, Saunk?

– Tak, dziadku – odparłem, ponieważ wiedziałem.

– Tu jest pies pogrzebany. Wygląda na to, że ludzie znów rozczepili atom. Dlatego poznali ten stos. Musimy go zniszczyć. Zwracanie na siebie uwagi nie leży w naszym interesie. Tyle, że potrzebna jest nam energia. Niewiele, ale jednak. Stos atomowy był najprostszym sposobem na jej uzyskanie, ale nie możemy go teraz używać. A oto, Saunk, co musisz zrobić, żeby zapewnić Bobasowi i mnie dostateczną ilość energii.

I powiedział mi, co zrobić.

No to ja poszedłem i spełniłem jego polecenie.

Kiedy trochę poruszę oczami, widzę nieraz naprawdę ładne rzeczy. Na przykład takie pręty w oknie. Rozpadają się na tycie kawałeczki, które zasuwały wkoło jak zwariowane. Podobno te kawałeczki nazywają się atomy. Rany, ale one zabawnie wyglądają: pchają się jeden przez drugiego, jakby się spieszyły na niedzielne nabożeństwo. Oczywiście można je łatwo przestawiać jak klocki. Skupiasz wzrok, bardzo mocno, aż ci coś wyłazi: jeszcze więcej tych malutkich facecików wyłazi ci z oczu i wszystkie razem się mieszają, i to jest bardzo zabawne. Za pierwszym razem się pomyliłem i te pręty w oknach zamieniłem w złoto. Musiałem zgubić jeden atom. Ale później się poprawiłem i zamieniłem je w nic. Wylazłem i z powrotem zamieniłem je w żelazo. Ale najpierw musiałem się upewnić, że pan Armbruster śpi. Nic prostszego.

Znajdowaliśmy się na wysokości siedmiu pięter ponad ulicą, w wielkim budynku, który służył częściowo za ratusz, a częściowo za więzienie. Była noc, więc nikt mnie nie zauważył. Odleciałem. Raz śmignęła koło mnie sowa; pewnie myślała, że nie widzę po ciemku, więc na nią naplułem. I jeszcze jej przyłożyłem.

Najpierw odnalazłem ten stos atomowy. Był obstawiony strażnikami, a każdy trzymał światło. Ale ja zawisłem w powietrzu, tak, żeby mnie nie widzieli, i zabrałem się do roboty. Najpierw rozgrzałem całe urządzenie, aż to, co pan Armbruster nazwał grafitem, rozpadło się w pył i rozwiało. Złatwienie reszty było już całkiem bezpieczne – dwieście trzydzieści pięć, powiadacie, tak? – zamieniłem więc wszystko w ołów. Bardzo kruchy. Tak strasznie kruchy, że się rozsypał i zniknął. Jeszcze chwila – i po stosie nie zostało dosłownie śladu.

Potem poleciałem w górę strumienia. Woda prawie wyschła i dziadek powiedział, że to mu nie wystarczy. Poleciałem więc wysoko w góry, ale nie miałem szczęścia. Dziadek zaczął coś do mnie mówić. Bobas płacze – powiada. Nie powinienem chyba niszczyć tego stosu, dopóki się nie upewnię, że zdobędę skądś energię.

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko zrobić deszcz.

Jest na to kilka sposobów, ale ja zamroziłem chmurę. Musiałem sięść i szybko zbudować specjalne urządzenie, a następnie znów lecieć wysoko, tam, gdzie są chmury; zabrało mi to sporo czasu, ale wkrótce nadeszła burza i zaraz potem lunęło. Szukałem więc przez chwilę, aż wreszcie znalazłem miejsce, w którym całe dno strumienia się zapadło. Musiały być pod spodem jakieś grotty. Zacząłem szybko te dziury zatykać. Nic dziwnego, że tak długo nie było w strumieniu wody. Ale poradziłem sobie i z tym.

Dziadek domagał się jednak stałego zasilania, więc zacząłem węszyć dokoła, aż znalazłem duże źródło. Otworzyłem je. Przez ten czas zrobiła się niezmiernie ulewa. Wróciłem, żeby się zobaczyć z dziadkiem.

Ci ludzie, co pilnowali stosu atomowego, poszli już sobie chyba do domu. Dziadek powiedział, że się strasznie zdenerwowali, jak Bobas zaczął płakać. Powsadzali palce w uszy i – w nogi z krzykiem. Obejrzałem dokładnie koło młyńskie, jak mi dziadek kazał, i dokonałem kilku napraw. Niewiele było trzeba. Sto lat temu zupełnie nieźle to robili, no i drewno się świetnie wysuszyło. Podziwiałem to koło, jak się obracało w miarę spiętrzania się wody w strumieniu. W strumieniu – w jakim strumieniu! To już była rzeka.

Ale dziadek powiedział, że powinienem zobaczyć jak była budowana Via Appia.

Urządziłem jego i Bobasa wygodnie i poleciałem do Piperville. Zaczynało już świtać, a nie chciałem, żeby mnie kto zobaczył, jak latam. Tym razem naplułem na gołębia.

A w ratuszu wybuchła cała awantura. Wyglądało na to, że mama, tata i Lemuel znikli jak kamfora. Ludzie biegali bardzo zdenerwowani i panował ogólny bałagan. Ale ja wiedziałem co się stało. Mama przemówiła do mnie, naturalnie w mojej głowie, i powiedziała mi, że bym przyszedł do celi na samym końcu budynku, bo ta cela jest bardzo przestronna. Byli tam wszyscy. Niewidzialni oczywiście.

Zapomniałem powiedzieć, że i ja się stałem niewidzialny zaraz potem, jak wśliznąłem się do środka, zobaczyłem, że pan Armbuster śpi i że jest takie zamieszanie.

– Dziadek mi powiedział, co się dzieje – wyjaśniła mama. – Pomyślałam sobie, że lepiej będzie, jak się na jakiś czas usuniemy. Leje porządnie, co?

– Jasne. Ale dlaczego wszyscy są tacy podnieceni?

– Nie wiedzą, co się z nami stało – odparła mama. – Jak tylko się uspokoi, pójdziemy do domu. Mam nadzieję, że wszystko załatwiłeś.

– Zrobiłem, co mi kazał dziadek – powiedziałem i zaraz na korytarzu rozległy się straszne wrzaski. Okazało się, że do budynku wparował stary, tłusty szop z wiązką dREW. Szedł sobie spokojnie, aż się zatrzymał przed kratami naszej celi. Usiadł przed drzwiami i zaczął układać patyki na ognisko. Po jego nieprzytomnym spojrzeniu od razu poznałem, że Lemuel musiał go zahipnotyzować.

Na zewnątrz zbierali się tłumnie ludzie. Nas oczywiście nie mogli widzieć – obserwowali tego starego szopa. I ja też go obserwowałem, bo byłem ciekaw, jak Lemuel te bydlaki obdziera ze skóry. Owszem, widywałem już jak rozpalają ogień – do tego Lemuel potrafił je zmusić – ale jakoś nigdy do tej pory nie byłem świadkiem, jak się obdzierają ze skóry. A właśnie chciałem zobaczyć.

Ale zanim szop zaczął swój program na dobre, przyszedł policjant, wsadził go do worka i zabrał. I znów się nie dowiedziałem. Tymczasem zrobiło się już widno. Cały czas dochodziły skądś wrzaski, a raz usłyszałem, jak ktoś głośno zawołał znajomym głosem.

– Mamo – powiedziałem – to mi wygląda na pana Armbustera. Chyba pójdę zobaczyć, co wyrabiają z tym biednym starowiną.

– Czas na nas, trzeba wracać do domu – odparła mama. – Musimy odkopać dziadka i Bobasa. Mówisz, że koło się obraca?

– Tak, mamy teraz prądu elektrycznego pod dostatkiem.

Mama sięgnęła ręką, namacała tatę i porządnie go palnęła.

– Wstawaj – powiedziała.

– Może byś sobie chlapnęła – odparł tata.

Ale mama go dobudziła i powiedziała, że idziemy do domu. Nie było jednak takiego, co by dobudził Lemuela. W końcu mama i tata wzięli go na spółkę i wyrzucili przez okno; oczywiście przedtem zrobiłem porządek z prętami, tak żebyśmy się mogli wydostać. Pozostaliśmy niewidzialni, a to z powodu tłumy, jaki się kłębił na dole. Padało w dalszym ciągu, ale mama powiedziała, że nie są z cukru ani z soli i że bym szedł z nimi, bo mi wygarbuje skórę.

– Dobrze, mamusi – powiedziałem, ale nie miałem zamiaru z nimi iść. Zostałem z tyłu. Chciałem się przekonać, co robią panu Armbrusterowi.

Trzymali go w tym dużym pokoju, gdzie wszystkie światła były zapalone. Pan Gandy stał koło okna i miał bardzo podłą minę. Podwinęli panu Armbrusterowi rękaw i zamierzali mu właśnie wpakować w skórę coś w rodzaju szklanej igły. Tego już było za wiele! W jednej chwili stałem się z powrotem widzialny.

– Nie radzę wam tego robić – powiedziałem.

– To chłopak Hogbenów! – ktoś wrzasnął. – Łapać go!

Złapali mnie. Pozwoliłem im. Już po chwili siedziałem na krześle z podwiniętym rękawem, a pan Gandy spoglądał na mnie z wilczym uśmiechem.

– Dajcie mu wykrywacza prawdy – zarządził. – Nie ma sensu zadawać teraz temu obwiesiowi pytań.

Zamroczone pan Armbruster powtarzał w kółko:

– Nie wiem, co się stało z Saunkiem! Ale nawet gdybym wiedział, to i tak bym wam nie powiedział...

Dali mu w łeb.

Pan Gandy przysunął twarz do mojej twarzy.

– Teraz dowiemy się prawdy o tym stosie atomowym – rzekł. – Jeden mały zastrzyk i odpowiesz na nasze pytania.

Zrozumiano?

No więc wbili mi igłę w rękę i wstrzyknęli, co mieli wstrzyknąć. Poczulem łaskotanie.

A potem zaczęli pytać. Powiedziałem, że nic nie wiem. Pan Gandy kazał mi dać drugi zastrzyk.

Jeszcze nigdy nic mnie tak nie łaskotało.

W tym momencie ktoś wpadł do pokoju z krzykiem:

– Tama zerwana! Tama Gandego! Zalało połowę farm w południowej części doliny!

Pan Gandy zerwał się i wrzasnął:

– Zwariowałeś! – zwrócił się przy tym do wszystkich. – To niemożliwe. Od stu lat w Rzece Wielkiego Niedźwiedzia nie było wody!

A potem zebrani się skupili i zaczęli szeptać. Coś o wyborach. I o wielkim tłumie na dole.

– Musi ich pan uspokoić – powiedział ktoś do pana Gandy’ego. – Tam jest straszne wrzenie. Wszystkie plony poszły na marne...

– Ja ich uspokoję – rzekł pan Gandy. – Nie ma żadnych dowodów. I zaledwie tydzień do wyborów!

Wpadł z pokoju, a reszta wybiegła za nim. Wstałem z krzesła i zacząłem się drapać. To, co we mnie wpompowali, piekielnie mnie mrowiło. Byłem wściekły na pana Gandy’ego.

– Szybko! – ocknął się pan Armbruster. – Teraz się wymkniemy. Najlepsza okazja.

Wymknęliśmy się tylnym wejściem. Było to bardzo proste. Okrążyliśmy budynek i przed frontem zobaczyliśmy stojący na deszczu olbrzymi tłum. Na stopniach budynku stał pan Gandy, złośliwy jak zawsze, twarzą w twarz z wielkim, krzepkim facetem, który się zamierzał kamieniem.

– Każda tama ma swoją wytrzymałość – mówił pan Gandy, ale wielki facet wrzeszczał i wymachiwał mu nad głową kamieniem.

– Już ja potrafię odróżnić dobry beton od złego! – pieklił się. – A to jest sam piasek. Ta tama nie wytrzymałaby i galona wody, gdyby ją spiętrzyć!

Pan Gandy potrząsnął głową.

– Oburzające! Jestem tak samo wstrząśnięty jak i wy. Zawieraliśmy kontrakty w dobrej wierze. Jeżeli Przedsiębiorstwo Budowlane Ajax użyło złych materiałów, to ich podamy do sądu.

W tym momencie swędzenie tak mi dopiekło, że postanowiłem coś z tym zrobić. No i zrobiłem.

Krzepki facet cofnął się o krok i wymierzył palec w pana Gandy’ego.

– Wie pan, co mówią? Mówią, że to pan jest właścicielem Przedsiębiorstwa Budowlanego Ajax. Prawda to?

Pan Gandy otworzył usta i zaraz potem je zamknął. Wzdrygnął się lekko.

– Prawda – odparł. – Owszem, jestem.

Trzeba było słyszeć ten ryk, jaki się wydobyl z tłumy.

Dużego faceta zatkało.

– Sam pan przyznaje? To może pan też przyzna, że pan wiedział, że tama jest nic niewarta, co? Ile pan na tym zarobił?

– Jedenaście tysięcy dolarów – rzekł Gandy. Netto, już po opłaceniu szeryfa, burmistrza i...

Ale w tym momencie tłum wtargnął wyżej na stopnie i już więcej nie było słyhać pana Gandy’ego.

– No, no – powiedział pan Armbruster. – Teraz to już widziałem wszystko. Rozumiesz, co to znaczy, Saunk? Gandy zwariował. Nie może być inaczej. Partia reform wygra wybory, wyrzucą wszystkich oszustów i ja znów będę miał słodkie życie w Piperville. Bo na zimę zawsze przenoszę się na południe. Jakimś dziwnym trafem znalazłem w kieszeni parę groszy. Napij się ze mną, Saunk?

– Nie, dziękuję – odparłem. – Mama się będzie o mnie niepokoiła. Nic już panu nie grozi, panie Armbruster?

– Później tak. Ale na razie jeszcze przez jakiś czas nie. O, prowadzą pana Gandy’ego do więzienia, widzisz?

Prawdopodobnie ze względu na jego bezpieczeństwo. Muszę to uczcić, Saunk. A ty na pewno nie...? Saunk! Gdzie jesteś?

Ale ja już byłem niewidzialny.

No i tak się to skończyło. Przestało mnie już swędzić, więc poleciałem do domu pomóc im jeszcze przy tym prądzie elektrycznym z koła wodnego. Po jakimś czasie powódź się uspokoiła, ale myśmy od tej pory już mieli stały poziom wody w strumieniu dzięki temu, co zrobiłem w górnym biegu. I zaczęliśmy spokojne, osiadłe życie, takie, jakie my, Hogbenowie, najbardziej lubimy. I takie jest zresztą najbezpieczniejsze dla nas.

Dziadek powiedział, że była to powódź nie lada. Przypominała mu ona coś takiego, o czym mu opowiadał jego dziadek. Wygląda na to, że kiedy żył dziadek dziadka, mieli nie tylko stosy atomowe, ale jeszcze wiele innych rzeczy i że bardzo szybko wymknęło im się to wszystko z rąk i zrobiła się prawdziwa powódź. Dziadek dziadka musiał się pośpiesznie wynosić z kraju, o którym zresztą od tamtej pory słuch wszelki zaginął – jeśli się nie mylę, to chyba wszyscy na Atlantydzie potopili się na śmierć. Ale to byli sami cudzoziemcy.

Pana Gandy’ego zamknęli w więzieniu. Nikt się nigdy nie dowiedział, co go skłoniło do takiego wyznania; może wyrzuty sumienia? Nie sądzę, żeby to miało coś wspólnego ze mną. To mało prawdopodobne. Chociaż...

Pamiętacie numer taty z tym zwarem na odległość i przepompowaniem samogonu z jego żył do moich? No więc muszę przyznać, że mnie dość zmęczyło to swędzenie, zwłaszcza tam gdzie nie mogłem się podrapać, i sam zastosowałem tę sztuczkę. Świństwo, które mi wstrzyknęli, tak paskudnie swędziało, że wziąłem i ciut–ciut skręciłem przestrzeń dokoła siebie, i przepompowałem to wszystko prosto do krwi pana Gandy’ego, tak jak tam stał na tych stopniach. Zaraz potem przestało mnie swędzić, a za to musiało nieźle zacząć swędzić jego. Dobrze mu tak.

Ciekawe, czy mogło go zaswędzić do tego stopnia, żeby aż powiedział prawdę?

## Do zobaczenia.

Stary Yancey to był chyba najgorszy łajdak na świecie. Nigdy nie widziałem takiego drugiego faceta – żeby był taki zawzięty, głupi, szpetny, no i jeszcze do tego nadzwyczaj podły. To co mu się przytrafiło, przypomina mi pewną historię, którą opowiadał nam raz jeden gość, już zresztą dość dawno temu. Zapomniałem dokładnie, kto to był – nazywał się Ludwik, a może zresztą Tamerlan – w każdym razie powiedział kiedyś, że chciałby, żeby cały świat miał tylko jedną głowę, boby ją mógł ściąć za jednym zamachem.

Cały kłopot z Yanceyem polegał na tym, że ubzdurał sobie, iż wszyscy są przeciw niemu – i niech mnie, jeśli nie miał racji. Wynikły z tego nieliczne kłopoty, nawet dla Hogbenów.

Yancey ta był naprawdę kawał śmierdziela. Cała rodzina Tarbellów była głupia, ale nawet oni nim pogardzali. Mieszkał w małej, jednoizbowej chałupinie, z tyłu za ich obejściem, i nie pozwalał się tam nikomu zbliżyć, chyba tylko po to, żeby mu przez wyciętą w drzwiach dziurę w kształcie półksiężycy wsunął jakieś żarcie.

Będzie może z dziesięć lat, jak robili u nas nowe pomiary czy coś w tym rodzaju i przez dziwne prawne sztuczki wyszło na to, że Yancey musi udowodnić, że ta jego ziemia należy mu się prawem zasiedzenia. Wystarczyło, żeby pomieszkał tam przez rok. Ale właśnie wtedy Yancey pokłócił się z żoną, wyprowadził się i powiedział, że jeśli o niego chodzi, to mu nie zależy, ziemia może przejść na własność rządu i że on pokaże całej rodzinie. Wiedział, że żona jest bardzo za tym swoim zagonem rzepy i że się boi, żeby jej tego nie zabrali.

Okazało się jednak, że tej ziemi nikt nie chciał. Cała była w górki i dolki i usiana kamieniami, ale żona Yanceya i tak się o nią martwiła i błagała go, żeby wrócił, on był jednak za podły, żeby to dla niej zrobić.

Yanceyowi Tarbellowi nie mogło być specjalnie wygodnie w tej małej chałupinie, ale on był równie głupi, jak podły. Po jakimś czasie pani Tarbell umarła od uderzenia kamieniem, którym cisnęła pod górę, w ten jego szalas, ale kamień odbił się i trafił ją w głowę. Zostało więc tylko ośmiu młodych Tarbellów i Yancey. Ale on się mimo to nie przeprowadził.

I mógłby sobie tam siedzieć, ażeby całkiem szczezł i przeniósł się do wieczności, gdyby nie to, że Tarbellowie rozpoczęli z nami wojnę. Znosiliśmy to, jak długo się dało, głównie dlatego, że i tak nam nie mogli nic zrobić. Ale wujek Les, który nas od czasu do czasu odwiedzał, zdenerwował się i powiedział, że ma już tego dość: za każdym razem, jak usłyszysz strzały zza krzaków, musi podfruwać na dwie – trzy mile w górę jak przepiórka. Wprawdzie dziury w jego skórze zasklepiały się bardzo szybko, ale narzekał, że kręci mu się w głowie i za każdym razem wraca zamroczony, bo na tej wysokości powietrze jest rozrzedzone.

I tak to trwało, przynajmniej przez jakiś czas, i nikomu nic się złego nie działo, co najwyraźniej irytowało ośmiu młodych Tarbellów, więc pewnej nocy wtargnęli do nas całą bandą ze swoimi rewolwerami. Ale myśmy nie chcieli draki.

Wujek Lem – który jest bliźniakiem wujka Lesa, tyle, że się urodzili w całkiem sporym odstępnie czasu jeden po drugim – zdążył się gdzieś zadziuplować na sen zimowy, więc jego to nie dotyczyło. Ale Bobas, niech go Bóg ma w swojej opiece, jest nieporęczny do przenoszenia: ma czterysta lat i wyrósł duży jak na swój wiek – waży chyba ze trzysta funtów.

Mogliśmy się niby pochować czy nawet przenieść się na troszkę w dolinę do Piperville, no, ale przecież mieliśmy na strychu dziadka, a ja to się jeszcze bardzo przywiązałem do naszego profesorka, którego trzymaliśmy w butelce. Nie chciałem go zostawiać, bałem się, że butelka może się stłuc w czasie awantury, gdyby młodzi Tarbellowie za bardzo sobie popili.

A profesorek jest bystrzak – chociaż właściwie to nigdy nie miał za wiele zdrowego rozsądku. Mówił o nas zawsze, że jesteśmy mutantami, obojętne zresztą, co za jedni, no i bez przerwy nawijał o takich swoich znajomych, co się nazywają chromosomy. Te chromosomy kojarzyły się z promieniowaniem twardym i miały z nim małe, które były albo dominującymi mutacjami, albo Hogbenami, ale mnie się to zawsze myliło z Roundheag, jeszcze w czasach, kiedy żyliśmy w starym kraju. Oczywiście nie mam na myśli prawdziwego starego kraju, bo ten zatonął.

No więc, ponieważ dziadek kazał nam nie rzucać się w oczy, poczekaliśmy, aż tych ośmiu Tarbellów wtargnie do środka, i zaraz wszyscy, nie wyłączając Bobasa, staliśmy się niewidzialni. I patrzyliśmy, kiedy się uspokoi, tyle że się nie uspokoiło.

Najpierw było tratowanie i niszczenie wszystkiego dookoła, a potem Tarbellowie całą bandą zbiegli do piwnicy. I źle się stało, bo nas zaskoczyli. Bobas zrobił się niewidzialny, no i oczywiście pojemnik, w którym go trzymaliśmy, też, tak jak powiedziałem, ale ten pojemnik nie mógł się poruszać tak szybko jak my.

Jeden z ósemki Tarbellów wpadł na niego i rozwalil sobie goleń. Ależ kłął! Aż wstyd było słuchać takiemu młodemu chłopakowi jak ja, tyle, że dziadek w przeklinaniu mógł zakasować dosłownie każdego, więc i tak się nic nowego nie nauczyłem.

No i kiedy ten chłopak tak się miotał i przeklinał, patrzeć – aż tu nagle jego strzelba na wiewiórki wzięła i wypaliła. Musiała mieć podpiłowany spust. To obudziło Bobasa, który się przestraszył i wrzasnął. Był to najstraszliwszy wrzask, jaki Bobas kiedykolwiek z siebie wydał, a przecież już nieraz widziałem, jak dorośli mężczyźni bledli i zaczynali dygotać, kiedy Bobas wydaje z siebie poddźwięki. Macie pojęcie!

Tak czy siak, siedmiu spośród ósemki młodych Tarbellów padło trupem, wszyscy na kupę, i nawet nie zdążyli kwiknąć. Ten ósmy wchodził właśnie na schody do piwnicy, ale jak to zobaczył, zaczął się trząść jak galareta i – w nogi. Ale tak był skołowany, że chyba sam nie wiedział, dokąd ucieka. Zanim się zorientował, znalazł się na strychu, gdzie wpadł prosto na dziadka.

No i stała się głupia rzecz: dziadek tak był zajęty wydawaniem nam poleceń, że zupełnie zapomniał zrobić się niewidzialny. Wystarczyło, że ten ósmy Tarbell raz spojrzął na dziadka i już było po nim. Z miejsca padł na ziemię martwy jak skunks. Zupełnie nie rozumiem dlaczego, chociaż muszę przyznać, że dziadek nie wyglądał wtedy najlepiej. Był chory.

– Nic się dziadkowi nie stało? – spytałem otrzepując go. Dziadek skłął mnie.

– Do stu piorunów! – powiedział wściekły. – Cóż za podłe nasienie wydałem na świat! Połóż mnie z powrotem, ty jeloście

skończony! – No więc położyłem go z powrotem na jutowym worku, a dziadek przewrócił się tylko parę razy z boku na bok i zamknął oczy. A zaraz potem oświadczył, że ma zamiar uciąć sobie drzemkę i żeby go nie budzić pod żadnym pozorem, chyba że na sądny dzień. I wiem, że nie żartował.

Sami więc musieliśmy główkować, co dalej. Mama powiedziała, że to nie nasza wina i że nie pozostaje nam nic innego, jak zwalić wszystkich ośmiu Tarbellów na kupę i odwieźć na taczce do domu, co też zrobiłem. Po drodze było mi trochę głupio, no bo nie wiedziałem, jak mam grzecznie nadmienić Yanceyowi o tym, co się stało. Zwłaszcza, że mama mi przykazała, żebym go zawiadomił delikatnie. – Nawet tchórz ma jakieś uczucia – powiedziała.

No to ja zostawiłem taczkę pełną młodych Tarbellów za krzakiem, a sam ruszyłem pod górkę, tam gdzie Yancey wygrzewał się na słońcu czytając książkę. Ale w dalszym ciągu nie wygłówkowałem, co mam powiedzieć. Po prostu wlokłem się noga za nogą pogwizdując „Yankee Doodle”. Przez chwilę Yancey nie zwracał na mnie w ogóle uwagi.

Yancey to mały, podły niechluj z brodą. I nie ma więcej jak pięć stóp wzrostu. A brodę miał Yancey poplamioną sokiem tytoniowym, ale skrzywdziłbym go podejrzywając, że to tylko z niechlujstwa. Słyszałem, że specjalnie pluł sobie w brodę, żeby wabić muchy, które później łapał i obrywał im skrzydła.

Nie patrząc nawet w moją stronę podniósł kamień i cisnął, tak, że kamień przeleciał mi koło głowy.

– Zamknij się i wynocha – powiedział.

– Jak pan sobie życzy, panie Yancey – odpowiedziałem z wielką ulgą i zawróciłem. Ale w tym momencie uświadomiłem sobie, że mama pewnie by mi wlała, gdybym nie wypełnił jej polecenia, więc podszedłem po cichu, stanąłem za plecami Yanceya i spojrzałem mu przez ramię, żeby zobaczyć, co też takiego czyta. Wyglądało mi to na książkę. A potem przesunąłem się jeszcze kawaleczek, tak, że go miałem pod wiatr.

Yancey zaczął rechotać w brodę.

– Ale ładny obrazek, panie Yancey – powiedziałem.

Stary niesamowicie chichotał, musiało go fest rozbawić.

– No nie?! – rzekł waląc się pięścią w swój chudy, stary tyłek. – No, no, no! Od samego patrzenia kręci mi się w głowie.

Nie była to jednak książka, tylko pismo – jedno z tych, które sprzedają w miasteczku – otwarte na jakiejś ilustracji. Ale facet umiał rysować. Nie tak dobrze jak taki jeden artysta, którego kiedyś znałem jeszcze w Anglii. Było mu Crookshank czy Crookback, czy coś w tym rodzaju – chyba, że się mylę.

W każdym razie to, co oglądał teraz Yancey, to był naprawdę obrazek jak trzeba. Przedstawiał kupę facetów, bardzo do siebie podobnych, wychodzących z takiej dużej maszyny, co to już na pierwszy rzut oka było widać, że nie ma prawa działać. A te wszystkie facety – jak dwie krople wody. No i było tam jeszcze takie czerwone stworzenie z wylupiastymi oczami, które cabas za jedną dziewczynę, zupełnie nie wiem po co. I wszystko fajnie odrobione.

– Chciałbym, żeby coś takiego było możliwe – powiedział Yancey.

– Nic prostszego – odparłem. – Tylko, że to urządzenie jest do kitu. Wystarczy miska i trochę żelastwa.

– Hm?

– O, to tutaj – wyjaśniłem mu. – To urządzenie, co to wygląda, jakby jednego faceta przerabiał na całą kupę facetów. Ono jest wadliwie zbudowane.

– Ty byś pewnie to zrobił lepiej, co? – warknął Yancey, wściekły.

– Myśmy to kiedyś robili – powiedziałem. – Zapomniałem już, o co tacie wtedy chodziło, ale wiem, że miał mały dług wdzięczności wobec takiego faceta, co się nazywał Kadmos. Kadmos potrzebował od zaraz bardzo dużo wojowników, więc go tata rozszczępił na cały oddział żołnierzy. Wielka rzecz. Sam mógłbym to zrobić.

– O czy ty bredzisz? – spytał Yancey. – Patrzysz nie na to, co trzeba. Ja mam na myśli tego czerwonego stwora. Widzisz, do czego on się przymierza? Wygląda na to, że ma zamiar odgryźć głowę tej ślicznotce. Zobacz, jakie ma kły. Chciałbym być takim stworem jak on. Odgryzłbym głowę niejednemu.

– Ale założę się, że nikomu ze swoich bliskich – powiedziałem widząc okazję do łagodnego powiadomienia go, co się stało.

– Nieladnie się zakładać – pouczył mnie Yancey. – Płać zawsze długi, nie bój się nikogo i nie zakładaj się. Hazard to grzech. Ja tam nigdy się nie zakładałem i zawsze oddawałem długi – przerwał, poskrobał się w brodę i westchnął. –

Z wyjątkiem jednego – dodał marszcząc brwi.

– A co to był za dług?

– A, byłem coś winien jednemu facetowi, tylko, że go nigdy później nie mogłem znaleźć. Będzie z jakie trzydzieści lat temu. Musiałem sobie popić i wsiadłem do pociągu. No i chyba tam kogoś obrobiłem, bo miałem potem taką harmonię pieniędzy, że konia bym zadławił, jak bym mu to wsadził w pysk. Ale jak się zastanowię, to nigdy czegoś takiego nie próbowałem. A wy trzymacie konie?

– Nie, proszę pana – odpowiedziałem. – Ale mówiliśmy o kimś z pana bliskich.

– Zamknij się – burknął Yancey. – To były czasy. – Obliznął wąsy. – Słyszałeś kiedy o takim mieście Nowy Jork? To musi być w jakimś obcym kraju. Nie da się zrozumieć ani słowa z ich mowy. W każdym razie tam się natknąłem na tego faceta. Nieraz sobie myślałem, żeby go tak znów spotkać. Uczciwy człowiek jak ja nie umrze spokojnie, dopóki nie spłaci tego, co jest winien innym.

– A czy pana chłopcy byli komuś coś winni? – spytałem.

Spojrzał na mnie zezem, klepnął się po chudej nodze i kiwnął głową.

– O, już wiem – powiedział. – Nie jesteś ty przypadkiem od Hogbenów?

– Tak, owszem. Jestem Saunk Hogben.

– Właśnie, słyszałem o was, Hogbenach. Wszyscy czarownicy jak jeden mąż, co?

– Nie, proszę pana.

– Co słyszałem, to słyszałem. Cała okolica szumi. Czarownicy, i już. Wynos się stąd, tylko szybko!

– Już idę – powiedziałem. – Wpadłem, żeby panu powiedzieć, że się tak nieszczęśliwie składa, że pan nie mógłby już pożreć swoich własnych dzieci, tak jak ten czerwony stwór z tego obrazka.

– Nie ma takiego silnego, co by mi zabronił!

– Może i nie ma – powiedziałem – ale oni wszyscy przenieśli się do wieczności.

Usłyszawszy to stary Yancey zaczął chichotać. Kiedy wreszcie złapał oddech, rzekł:

– Do wieczności? To nie oni. Te padalce mogły pójść tylko na wieczne zatracenie, tam gdzie ich miejsce. Jak to się stało?

– Można powiedzieć, że mieli wypadek – wyjaśniłem. – Bobas zabił siedmiu, a dziadek załatwił tego ósmego, i to samą mową. Nikt nie miał na myśli nic złego.

– Bo też i nic złego się nie stało – rzekł Yancey i znów zachichotał.

– Mama mówiła, żeby pana przeprosić, no i co z nimi zrobić, bo ja muszę zabrać taczkę z powrotem do domu.

– A rób z nimi co chcesz. Ja tam ich nie potrzebuję. Chętnie się pozbędę takiego strupa na głowie – powiedział Yancey. No to ja się zakręciłem w miejscu, żeby iść do domu, ale wtedy stary wrzasnął na mnie i oświadczył, że się rozmyślił. Powiedział, żebym ich zwał tam, gdzie są. Na ile się zorientowałem, co nie było łatwe, bo Yancey cały czas chichotał, to chciał ich po prostu jeszcze kopnąć.

No więc zrobiłem jak mi kazał, i poszedłem do domu. A tam przy stole, gdzie dziada z babą brakowało – ryba razem z fasolą i resztkami zupy – powiedziałem mamie co i jak. Mama usmażyła też trochę placków kukurydzianych. Były bardzo dobre. Rozsiadłem się, no bo uważałem, że należy mi się odpoczynek, i tak sobie myślę, czując w środku miłe ciepło: jak też może czuć się fasola w moim brzuchu. Ale fasola nie ma chyba żadnych uczuć.

Upłynęło nie więcej jak pół godziny, kiedy na podwórku rozdarła się świnia, jakby ją ktoś kopnął, i usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Był to Yancey. Jak tylko wszedł, wyciągnął chustkę z kieszeni spodni i zaczął pochlipywać. Popatrzyłem na mamę zdziwiony. Nie mogłem jej nic powiedzieć.

Tata i wujek Les popijali sobie w kącie samogon i ciut – ciut chichotali. Widać było po kołysaniu stołu, przy którym siedzieli, że jest im dobrze. Stół nie dotykał do żadnego z nich, tylko podskakiwał próbując nadepnąć na nogę najpierw tacie, a potem wujkowi Lesowi. oni to oczywiście robili w myślach, usiłując zaskoczyć jeden drugiego.

Wobec tego mama zdecydowała się zaprosić Yanceya, żeby na chwilę usiadł, i poczęstowała go fasolą. Ale on tylko pochlipywał.

– Co się stało, sąsiedzie? – zapytała mama bardzo grzecznie.

– No chyba – odparł siakając nosem. – Jestem już naprawdę stary.

– Jasne, że pan jest stary – zgodziła się z nim mama. – Może nie tak jak Saunk, ale wygląda pan naprawdę piekielnie staro.

– Co? – powiedział Yancey spoglądając na nią. – Saunk? Saunk nie ma więcej jak siedemnaście lat, mimo swojego wzrostu.

Mama była troszkę speszona.

– A co ja powiedziałam? Saunk? – szybko zaczęła nadrabiać miną. – Miałam na myśli dziadka Saunka. On też ma na imię Saunk. – Nieprawda; nawet sam dziadek nie pamiętał jak ma na imię, tak to było dawno. W czasach młodości używał różnych imion, jak Eliasz, i tak dalej. A zresztą wcale nie jestem pewien, czy na Atlantydzie, skąd dziadek pochodzi, mieli w ogóle jakieś imiona. Chyba tylko numery. Czy coś w tym guście. A zresztą to nie ma żadnego znaczenia.

No, ale stary Yancey cały czas tylko pochlipywał i jęczał, i stękał, że niby to myśmy zabili tych jego ośmiu chłopaków i że został sam jak palec na świecie. A jeszcze pół godziny temu nie zależało mu nawet tyle co brudu za paznokciem, więc mu to przypomniałem. Ale on powiedział, że wtedy do niego nie dotarło, co ja mówię, i żebym się zamknął.

– Powinienem mieć większą rodzinę – powiedział. – Było jeszcze dwóch chłopców, Zeb i Robbie, ale ich kiedyś zastrzeliłem. Denerwowało mnie, że patrzyli na mnie złym okiem. Ale chodzi o to, że wy, Hogbenowie, nie mieliście prawa zabijać mi synów.

– Myśmy też i nie mieli zamiaru ich zabijać – wyjaśniła mama – to był do pewnego stopnia wypadek. I chętnie panu w ten czy inny sposób wynagrodzimy straty.

– Na to właśnie liczę – powiedział stary Yancey. – Po tym, co zrobiliście, przynajmniej tyle mogę się od was spodziewać. Nie ma żadnego znaczenia, czy to rzeczywiście Bobas zabił moich chłopców, jak mówi Saunk, a zresztą on jest łgarz, ja tam uważam, że wy wszyscy Hogbenowie jesteście za to odpowiedzialni. Ale możemy uznać rachunek za wyrównany, jak mi zrobicie pewną małą uprzejmość. Sąsiedzi nie powinni chować do siebie urazy.

– Każdą, jaką pan wymieni – odpowiedziała mama – o ile jest ona w naszej mocy.

– To drobiazg – rzekł Yancey. – Chodzi mi o to, żebyście mnie zamienili w tłum, ale na krótko.

– Hej, pan słucha Medei? – wtrącił się tata, który był na tyle pijany, że nie wiedział co mówi. – Pan jej nie wierzy. To co zrobiła Peliasowi, to brzydki kawał. Pelias wcale po ścięciu nie ożył, nie zrobił się od tego młody, tak jak mu obiecywała.

– Co takiego? – zainteresował się Yancey. Wyciągnął z kieszeni to stare pismo, które otworzyło się akurat na tamtym obrazku. – O, proszę – powiedział. – Saunk mówi, że potraficie to zrobić. Zresztą przecież wszyscy w okolicy wiedzą, że wy, Hogbenowie, jesteście czarownikami. Saunk twierdzi, że zrobiliście to kiedyś z takim facetem, co się nazywał Mossy.

– On ma na myśli Kadmosa – wyjaśniłem.

Yancey pomachał pismem. Miał w oku jakiś dziwny błysk.

– O, tutaj to widać – powiedział dziwnie napalony. – Facet wchodzi do tego urzędnika i wychodzi bez przerwy, całymi tuzinami. Czary. Już ja was, Hogbenowie, znam. Możecie wyprowadzić w pole tych z miasta, ale nie mnie. Wszyscy jak jeden mąż jesteście czarownikami.

– Nie jesteśmy – odpowiedział tata z kąta. – Już teraz nie.

- Owszem, jesteście – obstawał przy swoim Yancey. – Słyszałem o was różności. A nawet widziałem, jak on – pokazał wprost na wujka Lesa – latał w powietrzu. Jeśli to nie są czary, to co to jest?
- Nie wie pan, poważnie? – spytałem. – To proste. Wystarczy tylko wziąć trochę...
- Ale mama powiedziała, że mam być cicho.
- Saunk mówił, że wy to potraficie – upierał się Yancey. – A ja sobie siedziałem i studiowałem to pismo i przyszedł mi do głowy fajny pomysł. To chyba logiczne: każdy wie, że czarownik może być jednocześnie w dwóch miejscach. A jak może być w dwóch, to dlaczego nie w trzech, no nie?
- Trzy jest równie dobre jak dwa – odezwała się mama. – Tylko, że w tym nie ma żadnych czarów. To nauka, o której pan słyszał. Ludzie takie rzeczy wymyślają z głowy. Żaden wrodzony dar.
- No więc dobrze – zgodził się Yancey odkładając pismo. – Dwa, trzy czy cała banda. Tak czy siak, ile może być ludzi na świecie?
- Dwa miliardy dwieście pięćdziesiąt milionów dziewięćset pięćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset dziewiętnastu. – powiedziałem.
- No to...
- Chwileczkę – przerwałem mu. Teraz już jest dwa miliardy dwieście pięćdziesiąt milionów dziewięćset pięćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset dwudziestu. O, jaki słodki dzidzius.
- Chłopiec czy dziewczynka? – spytała mama.
- Chłopiec – odpowiedziałem.
- No to dlaczego nie możecie tak zrobić, żebym był naraz w dwóch miliardach i tak dalej miejsc? Choćby i na pół minuty. Nie jestem taki pazerny. A zresztą to w zupełności wystarczy.
- Wystarczy, żeby co? – spytała mama.
- Yancey spojrział na mnie chytrze.
- Mam taki problem – powiedział. Potrzebuję znaleźć jednego faceta. Kłopot polega na tym, że nie wiem, czy go jeszcze teraz znajdę. To już taki kawał czasu. Ale jakoś muszę, tak czy inaczej. Nie spocząłbym spokojnie w grobie, gdybym nie popłacił wszystkich swoich długów, a od trzydziestu lat jestem temu facetowi coś winien. Kamieniem mi to leży na sercu.
- To ładnie z pańskiej strony, sąsiedzie – powiedziała mama.
- Yancey smarknął i wytarł nos w rękaw.
- Nie będzie to łatwe – powiedział. – Może ciut – ciut za długo z tym zwlekałem. Chodzi o to, że zamierzałem posłać moich ośmiu chłopaków, żeby się za nim rozejrzeli, dlatego tak się zdenerwowałem przez tych podłych padalców. Kto to widział, żeby tak się dać zatłuc bez uprzedzenia! Jak ja teraz znajdę tego faceta?
- Mama miała zatroskaną minę; podsunęła Yanceyowi kubek.
- Brrr! – parsknął. Smakuje jak sam ogień piekielny. Brrr! – Pociągnął jeszcze raz, nabrał trochę powietrza i spojrział na mamę spode łba. – Jeśli ktoś planuje ściąć drzewo i sąsiad zepsuje mu piłę, to po mojemu ten sąsiad powinien mu pożyczyć swoją, no nie?
- Jasne – odparła mama. – Tylko, że my nie mamy ośmiu chłopaków, żeby panu pożyczyć.
- Ale macie coś lepszego – powiedział Yancey. – Cholerną czarną magię. Tyle macie. Ja tam nie mówię ani tak, ani nie na ten temat, to już wasza sprawa. Ale skoroście mi wytłukli tych moich nicponi i skoro nie mogę załatwić swojej sprawy tak, jak chciałem – to chyba powinniście się poczuwać do tego, żeby mi w jakiś sposób pomóc. Bo dopóki nie odnajdę tego faceta i nie oddam mu tego, co mu jestem winien, to nie będę miał spokoju. No, powiedzcie sami, czy to nie jest święta prawda, że możecie mnie rozszcześcić na całą wiązkę takich jak ja?
- Myślę, że chyba możemy – powiedziała mama.
- A czy to nie jest święta prawda, że możecie tak zrobić, żebym taki każdy jeden ja przemieszczał się z wielką szybkością z miejsca na miejsce i mógł spojrzeć w oczy każdemu człowiekowi na calutkim świecie?
- To proste – powiedziałem.
- Gdybym mógł to zrobić – rzekł Yancey – to bym bez trudu znalazł tego faceta i oddał mu to, co mu się należy. – Pociągnął nosem. – Zawsze byłem uczciwy. I bałbym się umierać, gdybym nie spłacił wszystkich swoich długów. Niech mnie diabli, jeśli chciałbym smażyć się w piekle przez całą wieczność, tak jak to z pewnością czeka was, grzesznych Hogbenów.
- Bzdura – powiedziała mama. – Możemy wam pomóc, sąsiedzie, skoro tym jesteście rozsierdzeni. Tak, tak, zrobimy jak, jak chcecie.
- Yancey cały się rozpromienił.
- Obiecujecie? – spytał. – I dacie mi swoje słowo, i przysięgnięcie na honor?
- Mama miała trochę głupią minę, ale Yancey znów wyciągnął chustkę, więc się załamała i złożyła uroczystą przysięgę. Yancey z miejsca poweselał.
- Jak długo będą trwały te czary? – zapytał.
- W tym nie ma żadnych czarów – odparłem. – Tak jak panu mówiłem: potrzebna będzie tylko miednica i trochę żelastwa. To nie potrwa długo.
- Zaraz przyjdę – rzekł Yancey z chichotem i wybiegł konając ze śmiechu. Idąc przez podwórze chciał kopnąć kurczę, ale nie trafił, więc znów się zaśmiał. Widać było, że jest w dobrym humorze.
- Wiesz co, idź lepiej i zrób to urządzenie, niech będzie gotowe – powiedziała mama. – No, ruszaj się.
- Dobrze, mamusi – odparłem, ale siedziałem jeszcze chwilę zamyślony. Mama złapała za miotłę
- Wiesz, mam...  
– No?  
– A, nic – powiedziałem i uchyliłem się przed miotłą. Wyszedłem na dwór, usiłując wyglówkować, co też mnie gryzie. Bo

coś mnie gryzło, tylko nie potrafiłbym powiedzieć co. Jakbym czuł opory przed zrobieniem tego urządzenia, co nie miało wielkiego sensu, skoro właściwie wszystko było w porządku.

No więc poszedłem jednak za drewnitnię i zabrałem się do roboty. Zabawiłem tam może z dziesięć minut, ale mi się specjalnie nie spieszyło. Wróciłem do domu z gotowym urządzeniem i powiedziałem, że już skończyłem. Tata kazał mi się zamknąć.

Usiadłem i tak sobie patrzyłem na to moje urządzenie, ale w dalszym ciągu czułem ciężar na sercu. Tak czy siak, musiało to mieć coś wspólnego z Yanceyem. Wreszcie zauważyłem, że zostawił to swoje pismo, więc je wziąłem i zacząłem czytać podpis pod obrazkiem usiłując skapować o co chodzi. Niech mnie licho, jeśli coś z tego rozumiałem.

To było o jakichś tam stukniętych frajerach, którzy potrafili latać. Nie ma w tym ostatecznie żadnych czarów, usiłowałem tylko dojść do tego, czy facet, który to pisał, udaje głupiego, czy jest głupi. Uważam, że ludzie i tak są wystarczająco głupi sami z siebie, nie potrzebują jeszcze udawać.

Tak czy inaczej, poważne rzeczy należy traktować poważnie, a z tego, co mi kiedyś mówił nasz profesorek, wynika, że jest niesamowicie dużo ludzi, którzy wierzą w naukę i traktują ją cholernie serio. Zawsze przy tej okazji oczy mu płonęły jakimś świętym blaskiem. Jedyne, co mogę o tej całej historii powiedzieć dobrego, to że nie było w niej żadnych dziewczyn. Jeśli chodzi o dziewczyny, to zawsze jakoś czuję się głupio.

Ponieważ nic nie wygłótkowałem, zszedłem na dół pobawić się z Bobasem. Ostatnio zrobił się trochę za duży do tego swojego pojemnika. Ucieszył się, jak mnie zobaczył. Mrugnął do mnie wszystkimi czterema oczami, jednym po drugim. Naprawdę miło.

Ale przez cały czas to pismo nie dawało mi spokoju. Tak jakby mnie coś w środku świerzyło – to samo czuli ludzie przed tym wielkim pożarem Londynu, dawno temu. Jakaś taka choroba ich ogarnęła.

To mi przypomniało o jednej rzeczy, co mi kiedyś mówił dziadek – że miał taką samą trzęsionkę tuż przedtem, nim zatonęła Atlantyda. Oczywiście, że dziadek trochę potrafi patrzeć w przyszłość, co wcale nie jest takie znów dobre, bo przecież stale się wszystko zmienia. Ja jeszcze tego nie potrafię. Jeszcze jestem za młody. Ale miałem jakieś przeczucie, że coś złego wisi w powietrzu, tyle, że to się dotychczas nie stało.

Tak mnie to nurtowało, że prawie postanowiłem obudzić dziadka. Ale mniej więcej w tym samym momencie usłyszałem na górze ciężkie stąpanie, więc poszedłem do kuchni i zastałem tam Yanceya, który właśnie raczył się samogonem. Jak tylko spojrzałem na tego starego durnia, od nowa ogarnęło mnie to uczucie.

Yancey powiedział „Brrr” i chciał wiedzieć, czy jesteśmy gotowi. No więc pokazałem na to urządzenie, które dopiero co zrobiłem. I powiedziałem, że to jest właśnie to, i co on o tym sądzi?

– Takie byle co? – zdziwił się. – A nie wezwiecie na pomoc Kusego?

– Nie ma potrzeby – powiedział wujek Les. – Do takiego nędznego padalca jak ty?

Yancey był wyraźnie zadowolony.

– Tak, zgadza się, jestem podły jak padalec, i do tego jeszcze jadowity. Jak to urządzenie działa?

– Zwyczajnie – odparłem. – Po prostu rozszczepi pana na wielu Yanceyów, i tyle.

Tata siedział cicho, ale potem musiał się podłączyć do głowy jakiegoś profesora, bo zaczął strasznie głupio gadać. No bo tata sam nie zna takich długich słów.

Mnie tam zresztą też na takich słowach nie zależy – one tylko zaciemniają to, co jest proste jak wypatroszenie pstrąga.

– Każdy ludzki organizm – powiedział tata popisując się jak głupi – jest maszyną elektromagnetyczną wydzielającą pewną określoną radiację zarówno z mózgu, jak i z ciała. Przez odwrócenie biegunowości każdy egzemplarz ciebie, Yancey, będzie automatycznie przyciągany przez istniejącą już ludzką jednostkę na zasadzie przyciągania się przeciwieństw. Ale najpierw musisz wejść w to urządzenie Saunka i twoje ciało zostanie sprowadzone...

– Stop! – wrzasnął Yancey.

Ale tata ciągnął dalej, dumny jak paw.

– ...do podstawowej matrycy elektronicznej, która może się powielić w nieskończoność, tak samo jak czcionka drukarska odbija miliony identycznych egzemplarzy siebie w odwróconej postaci – negatyw zamiast pozytywu. A ponieważ przestrzeń nie odgrywa roli, jeśli chodzi o fale elektroniczne, to każdy taki egzemplarz ciebie zostanie natychmiast przyciągnięty przez miejsce zajmowane w przestrzeni przez jakąś inną osobę na świecie. – Tata truł dalej, aż myślałem, że nie wytrzymam. – Ale że dwa przedmioty nie mogą zajmować jednocześnie tej samej czasoprzestrzeni, nastąpi automatyczne przemieszczenie przestrzenne i każdy Yancey zostanie odrzucony na odległość mniej więcej dwóch stóp od każdej ludzkiej istoty.

– Zapomniałeś narysować pentagramu – powiedział Yancey rozglądając się dość nerwowo. – To są najokropniejsze piekielne czary, o jakich kiedykolwiek z życia słyszałem. Zdawało mi się, że miałeś nie wzywać Kusego?

Nie wiem, może to dlatego, że już wtedy Yancey sam wyglądał wypisz – wymaluj jak Kusy, w każdym razie nie mogłem już dłużej wytrzymać z tym dziwnym uczuciem w środku. I obudziłem dziadka. Zrobiłem to oczywiście w myślach, trochę z pomocą Bobasa, tak że nikt tego nie zauważył. Ale zaraz na strychu usłyszeliśmy jakiś ruch – dziadek obrócił się parę razy z boku na bok i obudził, no i natychmiast zaczął kłąć jak wszyscy diabli.

Cała rodzina to słyszała, wszyscy, z wyjątkiem Yanceya. Tata przestał się popisywać i się wyłączył.

– Durnie! – powiedział dziadek, wściekły – Obwiesie! CERTES, wiedziałem – nic dziwnego, że miałem złe sny. Saunk, maczałeś w tym palce. Czy ty nie masz za grosz zdrowego rozsądku? Nie rozumiesz, co ten nędzny śmok kombinuje, śmierdziel jeden? Przywołuję cię do porządku. Opamiętaj się, Saunk, albowiem w przeciwnym razie wiek męski zaskoczy cię nieprzygotowanym. – I dodał coś jeszcze w sanskrycie. Dziadek żyje już tak długo, że czasem, jak zaczyna mówić, to mu się wszystko miesza.

– Dziadku – pomyślała mama – a co takiego zrobił Saunk?

– Nie Saunk, tylko wy wszyscy! – ryknął dziadek. – Nie potraficie skojarzyć skutku z przyczyną? Saunk, pomyśl no tylko o tamtym obrazku w tamtym plugawym szmatławcu Yanceya. Skąd niby ta nagła zmiana uczuć, skoro wiadomo, że w tym śmierzdielu nie ma więcej godności niż w kobiecie lekkich obyczajów? Czy ty chcesz, żeby świat się wyludnił przed czasem? Spytaj no tylko Yanceya, co tam ma w kieszeni spodni, ty głupku!

– Panie Yancey – zwróciłem się do niego. – Co pan takiego ma w kieszeni spodni?

– Hm? – mruknął sięgając do kieszeni i wyciągając stamtąd wielki zardzewiały klucz francuski. – O to ci chodzi? Znalazłem go za szopą. – Yancey miał naprawdę chytrą minę.

– A co pan zamierza z tym zrobić? – zapytała mama bardzo szybko.

Yancey obrzucił nas wszystkich złośliwym spojrzeniem.

– Nic w tym złego, mogę wam powiedzieć. Mam zamiar dzielić każdego cholernego zjadacza chleba na tym bożym świecie prze łeb, a wyście mi obiecali w tym pomóc.

– Boże, zmiłuj się nad nami! – jęknęła mama.

– A tak, szanowna pani – zachichotał Yancey. – Jak mnie już zaczarujecie, to się znajdę jednocześnie we wszystkich miejscach, w których są ludzie. Stanę dokładnie za każdziutkim człowiekiem na całym świecie i będę go mógł porządnie palnąć. Jak inaczej zdobędę pewność, że wyrównałem rachunek? Jeden z tych ludzi musi być przecież facetem, którego szukam, i w ten sposób dostanie to, co jestem mu winien od trzydziestu lat.

– Jakim facetem? – spytałem. – Tym, którego pan spotkał kiedyś w Nowym Jorku? Mnie się wydawało, że pan jest mu winien jakieś pieniądze.

– Ja tam nigdy nic takiego nie mówiłem – warknął Yancey. – Dług to dług. Czy chodzi o pieniądze, czy o palnięcie w łeb. Nikt mi nie będzie bezkarnie włożył w kukurydzę, nawet jeśli to było trzydzieści lat temu.

– A to on włożył ci w kukurydzę? – spytał tata. – I nic więcej?

– Aha. Byłem wtedy trochę pod gazem, ale pamiętam, że zszedłem schodami w dół, pod ziemię, a tam dosłownie: pociąg za pociągiem.

– Byłeś pijany.

– Jasne, musiałem być – przyznał Yancey. – Przecież pod ziemią nie mają prawa jeździć żadne pociągi! Ale tego faceta, co mi włożył w kukurydzę, widziałem jasno jak w mordę strzelił. Do dziś to czuję. Myślałem, że się wścieknę ze złości. Ale taki był tłok, że się nie mogłem ruszyć, nawet mu się dobrze nie przyjrzałem. Zanim walnąłem kijem, już mi zniknął z oczu. Do dziś nie wiem, jak wygląda. To mogła być nawet baba, ale co to ma do rzeczy. Ja i tak nie zamknę oczu, dopóki nie wyrównam rachunku z każdym, kto mi kiedykolwiek nadepnął na odcisk. A nadepnął mi prawie każdy, kogo w życiu spotkałem.

Ależ go krew zalewała tego Yanceya Tarbella. Nie zwlekając ani chwili ciągnął dalej:

– Skoro nie mogę się dowiedzieć, kto mi włożył w kukurydzę, to sobie kombinuję tak: dla pewności muszę przywalić każdziutkiemu człowiekowi, czy to będzie mężczyzna, kobieta, czy dziecko.

– Tylko wolnego – powiedziałem. – Trzydzieści lat temu żadnego z tych, co dziś są dziećmi, nie mogło być na świecie, i pan bardzo dobrze o tym wie.

– Co za różnica – uciał Yancey. – Bo jak się tak zastanawiałem, przyszła mi do głowy straszna myśl: a jeśli ten facet wziął i umarł? Trzydzieści lat to kawał czasu. Więc wykombinowałem, że jeśli nawet wziął i umarł, to jest szansa, że zdążył się jeszcze ożenić i mieć dzieci. Jak nie wyrównam rachunku z nim, to wyrównam z jego dziećmi. Grzechy ojca... tak stoi w Piśmie świętym. Jak dzielę przez łeb każdego na świecie, to się nie mogę wiele pomylić, no nie?

– Nie zdzieli pan w każdym razie żadnego z Hogbenów – powiedziała mama. – Nikt z nas nie był w Nowym Jorku od niepamiętnych czasów. To znaczy nigdyśmy tam nie byli. Tak że nas może pan z tego wyłączyć. A co by pan powiedział na to, żeby tak znowu być młodym czy coś w tym rodzaju? Możemy to panu załatwić, jeśli pan tylko poniecha tego niegodziwego pomysłu.

– Nic z tego – uparł się Yancey. – Przysięgliście na Biblię, że mi pomożecie.

– My nie mamy obowiązku dotrzymywać takiej obietnicy – powiedziała mama, ale w tym momencie zabrzmiał ze strychu głos dziadka:

– Słowo Hogbena jest święte – przypomniał nam. – Ono nas wiąże. Musimy dotrzymać obietnicy danej temu cymbałowi. Ale jak już ją spełnimy, jesteście wolni.

– Ano właśnie – powiedziałem, jak gdyby przyszła mi nagle do głowy jakaś myśl. – W takim razie, panie Yancey, jak dokładnie brzmiała nasza obietnica?

Machnął w moją stronę kluczem francuskim.

Że mam być rozszczępiony na tyłu Yanceyów, ilu jest ludzi na świecie, i że mam się znaleźć koło każdego z tych ludzi. Daliście mi słowo, że mi w tym pomożecie i nie próbuje się wykręcać.

– Ja tam się od niczego nie wykręcam – powiedziałem. – Musimy tylko sobie wyjaśnić, tak żeby pan był zadowolony i nie miał pretensji. Ale jeszcze jedno. Pan musi być tego samego wzrostu co każda z tych osób, które pan odwiedzi.

– Hm?

– Mogę to bez trudu załatwić. W momencie, kiedy pan wejdzie do tego urządzenia, po całym świecie rozejdzie się dwa miliardy dwieście pięćdziesiąt milionów dziewięćset pięćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset dwudziestu Yanceyów. Przypuśćmy, że jeden z nich znajdzie się oko w oko z olbrzymem na jakieś siedem stóp wysokim. To by chyba nie było miłe, co?

– Chcę mieć osiem stóp wzrostu – powiedział Yancey.

– Przepraszam bardzo. Ten Yancey, który odwiedzi tak wysokiego faceta, sam musi być dokładnie taki wysoki. Ale ten, który przyjdzie do niemowlaka długiego tylko na dwie stopy, musi mieć dwie stopy wzrostu. Co uczciwość, to uczciwość. Albo pan się na to zgadza, albo wszystko odwołujemy. I jeszcze jedno: będzie pan miał tyle siły co ten facet, z którym się pan

zmierzy.

– A jak będzie z moim powrotem? – zapytał.

– Nasza w tym głowa – odparłem. Dam panu pięć sekund. To chyba wystarczy, żeby machnąć żabką?

– Trochę przykrótko.

– Jak będzie dłużej, to ktoś może panu oddać.

– Chyba że tak – rzekł Yancey i zbladł pod warstwą brudu. – Pięć sekund to świat.

– Czyli jeśli tego dopełnimy, to będzie pan zadowolony? Nie będzie pan miał pretensji?

Yancey zamachnął się kluczem francuskim i roześmiał.

– Pasuje mi to jak ulał – powiedział. – Porozwalam im lby elegancko. He, he, he.

– No to niech pan tu wchodzi – poleciłem mu. – Zaraz, chwileczkę – dodałem. – Najpierw sam spróbuję, czy urządzenie działa.

Wziąłem szczapkę ze stojącej koło pieca skrzyni na opał i mrugnąłem na Yanceya.

– Pan się przygotowuje. Jak tylko wrócę, pan wchodzi nogami o tu.

Mama chciała coś powiedzieć, ale ni z tego ni z owego dziadek zaczął chichotać na strychu. Pewnie znów spojrzął w przyszłość.

Wszedłem do tego mojego urządzenia, które zadziało jak ta lala. Zanim zdążyłem mrugnąć okiem, zostałem podzielony na dwa miliardy dwieście pięćdziesiąt milionów dziewięćset pięćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt Saunków Hogbenów.

Brakowało jednego, bo naturalnie wyłączyłem z tego Yanceya, no i oczywiście Hogbenowie nie są objęci żadnym spisem ludności. Patrzyłem więc w oczy wszystkim ludziom na całej kuli ziemskiej, z wyjątkiem rodziny Hogbenów i samego Yanceya. Idiotyczne uczucie.

Nigdy nie przypuszczałem, że na świecie jest tyle twarzy! I to wszelkiej możliwej maści. Jedne z bakami, inne bez, jedno ubrane, inne gołe jak święty turecki, jedne cholernie duże, inne całkiem małe – połowę z nich widziałem w świetle dziennym, a połowę w nocy. Dosłownie zakręciło mi się w głowie.

Przez moment wydało mi się, że poznaję niektórych ludzi z Piperville, nie wyłączając szeryfa, ale pomieszał mi się z jedną panią w koralach, która trzymała w zamknięciu jakieś stworzenie podobne do kangura, a ona z kolei zamieniła się w piekielnie wystrojonego mężczyznę, przemawiającego w jakimś dużym pokoju.

Rany, ależ kręciło mi się w głowie.

Wziąłem się jednak w garść i najwyższa była pora, bo mniej więcej w tym czasie wszyscy ludzie na świecie zaczęli mnie zauważać. Jasne, że musiało to wyglądać tak, jakbym się wyłonił znikąd, każdemu przed nosem, i to zupełnie nagle... a zresztą czy kiedykolwiek staliście twarzą w twarz jednocześnie z dwoma miliardami dwustu pięćdziesięciu milionami dziewięćset dziewięćdziesiątoma ludźmi? To jest coś potwornego. Zupełnie zapomniałem, co miałem załatwić. I tylko słyszałem głos dziadka, który mi mówił żebym się pospieszył.

No więc wcisnąłem tę szczapkę, którą trzymałem – tylko że teraz to już były dwa miliardy dwieście pięćdziesiąt milionów dziewięćset pięćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt szczapek – w taką samą mniej więcej liczbę rąk i puściłem. Niektórzy też wypuścili swoje szczapki, ale większość trzymała. A potem usiłowałem sobie przypomnieć mowę, którą miałem do nich pałać, w tym sensie, żeby pierwsi zdziesiąt Yanceya, zanim on zdąży zamachnąć żabką.

Ale byłem na to zbyt speszony. Dziwne. Jak się tak na mnie ci wszyscy ludzie gapili, zrobiłem się taki nieśmiały, że zapomniałem języka w gębie. A co gorsze dziadek darł się, że została mi już tylko jedna sekunda, więc i tak nie zdążyłbym z tą mową. W tej jednej sekundzie mogłem tylko czmychnąć z powrotem do naszej kuchni, gdzie już czekał Yancey, gotowy ze swoim kluczem. A ja nikogo nie ostrzegłem. Jedyne, co zrobiłem, to dałem każdemu mały kawałek jakiegoś starego drewna na opał.

Rany, ależ oni się gapili! Czuję się, jakbym był zupełnie nagi. Oczy dosłownie wylazły im na wierzch. Właśnie w momencie, kiedy po brzegach zacząłem się robić cienki jak opłatek... ja... ja naprawdę nie wiem, co na mnie naszło. Może to dlatego, że poczułem się taki okropnie nieśmiały. Może nie powinienem był tego robić, ale...

Zrobiłem!

I nagle – znalazłem się z powrotem w kuchni. Dziadek na strychu dosłownie zarykiwał się ze śmiechu. Starszy pan musiał mieć dziwne poczucie humoru. Ale nie miałem wtedy dla niego czasu, bo Yancey śmignął tylko koło mnie wskakując w to moje urządzenie. No i rozpląnął się w powietrzu tak samo jak ja. Rozszczępiony na tyłu Yanceyów, ile było ludzi na świecie, stanął oko w oko z każdym z nich.

Mama, tata i wujek Les patrzyli na mnie naprawdę surowo. Przeszłowałem z nogi na nogę.

– Załatwiłem sprawę – powiedziałem. – Facet, który jest na tyle podły, żeby wyróżnić w głowę malutkie dziecko, na zasługuje na nic... – urwałem i spojrzałem na urządzenie – ...lepszego, niż go spotkało – zakończyłem, ponieważ Yancey wystrzelił nagle przed nami jak z procy i muszę powiedzieć, że nigdy nie widziałem bardziej poturbowanego padalca. Rany!

Wyglądało na to, że prawie każdy na całym bożym świecie dzielił pana Yanceya w łeb. Nie miał nawet szansy zamachnąć się tym swoim francuzem. Cały świat był szybszy.

Tak jest, szanowni państwo. Pan Yancey był w oplakany stanie.

Ale wrzeszczeć to mógł. Słysząc go było chyba na milę. Darł się, że został oszukany. Domagał się, żeby mu dać jeszcze jedną szansę, tylko, że tym razem weźmie ze sobą rewolwer i nóż sprężynowy. Ale mama miała już tego dość. Złapała go za kołnierz i potrząsnęła nim tak, że mu zęby zagrzechotały.

– I taki będzie nam tu cytować Pismo święte! – powiedziała wściekła. – Ty mały, zasuszony, jadowity gadzie! Pismo święte powiada oko za oko, no nie? Myśmy słowa dotrzymali i nikt nie powie, że jest inaczej.

– Święta prawda, certes – rozbrzmiało ze strychu, gdzie siedział dziadek.

– Idź lepiej do domu i przyłóż sobie arniki – powiedziała mama, potrząsając Yanceyem jeszcze mocniej. – I nie pokazuj mi się tu więcej, bo cię poszczujemy Bobasem.

– Ale ja nie spłaciłem długu! – wrzeszczał Yancey.

– I chyba pan już nigdy nie spłaci – powiedziałem. – Po prostu życia panu nie starczy, panie Yancey, żeby się z każdym człowiekiem na świecie policzyć.

Po trochu, po trochu, wszystko to razem zaczęło Yanceya wkurzać. Zrobił się czerwony jak barszcz z buraków, wydał z siebie jakiś kwiczący odgłos i zaczął kłać. Wujek Les sięgnął po pogrzebacz, ale nie było potrzeby.

– Cały cholerny świat mnie krzywdzi! – zaskrzeczał Yancey i złapał się za głowę. – Zostałem zaskoczony! Dlaczego do diabła oni uderzyli mnie pierwsi? Jest coś dziwnego w...

– Ciiicho! – powiedziałem uświadamiając sobie nagle, że wcale nie jest jeszcze po kłopotach, tak jak to sobie wyobrażałem. – Posłuchajcie, czy ktoś coś słyszy od strony miasteczka?

Nawet Yancey się zamknął, kiedy nadsluchiwalismy.

– Nic nie słyszę – powiedziała mama.

– Saunk ma rację – włączył się dziadek. – Tu jest pies pogrzebany.

I wtedy pojęli wszyscy – to znaczy wszyscy z wyjątkiem Yanceya. No bo mniej więcej w tym czasie w Peperville powinno być już niezłe zamieszanie. Nie zapominajcie, że ja i Yancey odwiedziliśmy cały świat, do którego się zalicza i Peperville, a ludzie nie przyjmują takich rzeczy spokojnie. Powinno przynajmniej być słyhać jakąś wrzawę.

– Co tak stoicie bez słowa jak niemi?! – odezwał się Yancey. – Zamiast mi pomóc wyrównać moje rachunki.

Ale ja nie zwracałem na niego najmniejszej uwagi. Usiadłem i zacząłem badać moje urządzenie. Już po minucie wiedziałem, w którym miejscu popełniłem błąd. Myślę, że dziadek zorientował się równie szybko jak ja. Trzeba było słyszeć jak się zarykiwał ze śmiechu. Mam nadzieję, że wyszło mu to na zdrowie. Czasami ma naprawdę specyficzne poczucie humoru.

– Ja się pomyliłem w tym urządzeniu, mamó – powiedziałem. – Dlatego w Piperville jest tak cicho.

– Do kaduka – rzekł dziadek nie przestając się śmiać. Saunk powinien się chyba gdzieś schować. Raz, dwa, trzy, baba jaga patrzy...

– Zrobiłeś coś, czego nie powinienes był zrobić, Saunk – zwróciła mi uwagę mama.

– Trzy po trzy, para piętnaście! – wrzasnął Yancey. – Ja się domagam swoich praw! Chcę wiedzieć, co takiego zrobił Saunk, że każdy jeden człowiek na świecie zdzielił mnie w łeb! Musiał coś zrobić. Nie miałem nawet czasu, żeby...

– Panie Yancey – powiedziała mama – niech pan zostawi chłopca w spokoju. Wywiązałismy się z obietnicy, i to wystarczy. Niech pan się stąd zabiera i ochłonie, zanim pan powie coś takiego, czego pan pożałuje.

Tata mrugnął na wujka Lesa i zanim Yancey zdążył mamie odpyskować, stół ugiął nogi, jakby miał w nich kolana, i odchylił się za jego plecami bardzo cichutko. Wtedy tata powiedział do wujka Lesa: „A teraz razem, puszczamy” – stół wyprostował nogi i Yancey wyleciał przez drzwi jak z katapulty.

Jedyna cośmy jeszcze usłyszeli, to wrzaski za każdym razem, kiedy uderzał o ziemię spadając z górki. Tak przebył mniej więcej pół drogi do Peperville, jak się później przekonałem. W miasteczku pierwsza rzecz zaczął walić ludzi po głowach swoim kluczem. Widocznie doszedł do wniosku, że i w ten zmundny sposób oplaca mu się spróbować.

Wsadzili go na jakiś czas do więzienia, żeby ochłonął, i chyba mu to rzeczywiście pomogło, bo prosto stamtąd wrócił do swojej chałupiny. Podobno nic nie robi, tylko siedzi i cały czas coś mamrocze pod nosem – kombinuje, jakby tu się porachować z całym światem. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek wpadł na właściwy pomysł.

W tym czasie jednak nie interesowałem się nim specjalnie. Miałem swoje własne kłopoty. Jak tylko tata i wujek Les ustawili stół na miejscu, mama dobrała się do mnie od nowa.

– Saunk, powiedz mi, co to było? – zażądała. – Siedząc w tym urządzeniu musiałeś coś spsocić. Pamiętaj, synu, że jesteś Hogbenem. Musisz się zachowywać przyzwoicie, kiedy cały świat na ciebie patrzy. Mam nadzieję, że nie zhańbiłeś nas wobec całego rodzaju ludzkiego, co, Saunk, przyznaj na się.

Dziadek znów się roześmiał.

– Nie, jeszcze nie – powiedział. I wtedy usłyszałem w suterenie, jak Bobas zabulgotał, i wiedziałem, że on to też widzi. Dziwne. Z Bobasem to nigdy tak naprawdę nie wiadomo. Ale wydaje mi się, że i on potrafi trochę patrzeć w przyszłość.

– Po prostu popełniłem niewielki błąd, mamusiu – powiedziałem. – Każdemu może się zdarzyć. Chyba to urządzenie rozszczepiło mnie na wielu Saunków, tak jak to miało być, ale jednocześnie wysłało mnie w przyszły tydzień. Dlatego w Piperville nie ma jeszcze żadnej draki.

– Mój Boże! – zawołała mama. Jaki ty jesteś, synku, roztrzepany.

– Przepraszam, mamusiu. Kłopot polega na tym, że zbyt wiele ludzi w Piperville mnie zna. Powinienem się raczej wynieść do lasu i poszukać sobie jakiejś dziupli. W każdym razie w przyszłym tygodniu.

– Saunk – powiedziała mama – ty coś kombinujesz. Prędzej czy później dojdę do tego co, więc lepiej przyznaj się sam.

Gadanie – wiedziałem, że ma rację, więc jej powiedziałem i równie mogę powiedzieć wam. A zresztą i tak byście się połapali – w przyszłym tygodniu. Z tego tylko widać, że ostrożności nigdy nie za wiele. Bo tego dnia w przyszłym tygodniu wszyscy na całym świecie będą bardzo zdziwieni, jak się nagle zjawię przed nimi znikąd, wręczę każdemu kawał drewna, cofnę się troszkę i plunę im między oczy.

Mam nadzieję, że w tych dwóch miliardach dwustu pięćdziesięciu milionach dziewięciuset pięćdziesięciu dziewięciu tysiącach dziewięciuset dziewiętnastu mieszczą się już wszyscy ludzie na świecie.

W s z y s c y.

To będzie chyba tak gdzieś w przyszłym tygodniu.

Do zobaczenia.



## Zimna wojna. Rozdział 1. Ostatni z rodu Pughów.

Myślę, że już zawsze od tej pory ból głowy będzie mi się kojarzył z Pughiem Juniorem. To chyba najbardziej odrażający gówniarz, jakiego w życiu widziałem. Zbudowany jak młody goryl. Tłusta, ciastowata gęba, złośliwe spojrzenie, a oczy tak blisko osadzone, że można by je wydłubać oba naraz, jednym palcem. Ale jego tata i tak był o nim bardzo wysokiego mniemania. Może to i nic dziwnego, wzięwszy pod uwagę, że mały Pugh to wykapany tata.

– Ostatni z rodu Pughów – mawiał stary wypinając pierś i z zachwytem patrząc na młodego goryla. – Najwspanialszy chłopak pod słońcem.

Czasem robiło mi się zimno, jak patrzyłem na tych dwóch. Z rozrzewnieniem wspominam te cudowne czasy, kiedy ich nie znałem. Możecie mi wierzyć, ale mało brakowało, żeby ci dwaj Pughowie, ojciec i syn, podbili świat.

Bo my, Hogbenowie, jesteśmy ludzie skromni. Nie zadzieramy nosa i pędzimy spokojne życie w naszej dolinie, gdzie nikt się do nas nie zbliża nieproszony. Nasi sąsiedzi i ludzie z miasteczka już się do nas przyzwyczaili. Wiedzą przede wszystkim, że nie wchodzimy nikomu w paradę. Więc mają dla nas wyrozumienie.

Jeśli tata się upije, jak na przykład w ubiegłym tygodniu, i nadleci nagle nad sam środek Main Street w swoich czerwonych gatkach, większość ludzi udaje, że tego nie widzi, żeby nie krępować mamy. Wiedzą przecież, że gdyby był trzeźwy, chodzilby normalnie po ziemi jak Pan Bóg przykazał.

Tym razem tata się zalał z powodu Małego Sama, naszego Bobasa, którego trzymamy w pojemniku w piwnicy, a który zaczął ząbkować. Po raz pierwszy od czasu wojny Północy z Południem. Już myśleliśmy, że ma to z głowy, ale z Małym Samem nigdy nie wiadomo. Był bardzo niespokojny.

Profesor, którego trzymamy w butelce, powiedział nam kiedyś, że Mały Sam wydaje z siebie coś tam poddźwiękowego, kiedy płacze, ale on tak zawsze gada. To nic nie znaczy. Po prostu te wrzaski grają człowiekowi na nerwach i tyle. Tata tego nie wytrzymuje. Tym razem Bobas obudził nawet dziadka na strychu, a dziadek przecież nie drgnął od Bożego Narodzenia. Pierwsza rzecz, kiedy tylko otworzył oczy, rzucił się na tatę jak wściekły pies:

– Widzę cię, ty trąbo jerychońska! – wrzasnął. – Znów latasz, tak? Żałosny widok! Bacz, abym ci nie urządził przymusowego lądowania! – Zaraz potem rozległ się daleki łomot.

– Zwaliłeś mnie z wysokości dobrych dziesięciu stóp! – wrzasnął tata hen z głębi doliny. – To nie fair. Mogłem coś zniszczyć!

– Zniszczysz nas wszystkich przez swoją pijacką nieuwagę – powiedział dziadek. – Latać na oczach sąsiadów! Za mniejsze rzeczy palili ludzi na stosie! Chcesz, żeby ludzkość się o nas dowiedziała? A teraz zamknij się, muszę się zająć Bobasem.

Jeden dziadek potrafi uspokoić Bobasa, jak już nikt nie może sobie z nim poradzić. Tym razem zaśpiewał mu taką jedną piosenkę w sanskrycie i już po chwili chrapali unisono.

Ja byłem akurat zajęty majstrowaniem dla mamy takiego specjalnego urządzenia, żeby mogła zakwasić trochę śmietanki na placki. Nie bardzo miałem z czego to sklecić, nie było nic poza starymi sankami i kawałkami drutu, ale też i niewiele potrzebowiałem. Próbowałem właśnie skierować koniec drutu na północny wschód, kiedy mignęły mi w lesie kraciaste portki.

Był to wujek Lem. Słyszałem, jak myśli.

– To nie ja! – mówił całkiem głośno w swojej głowie. – Zajmij się swoją robotą, Saunk! Jestem dalej niż o milę od ciebie. Twój wujek Lem to przyzwoity starszy pan i nigdy nie kłamie. Czy sądzisz, Saunkie, że ja bym cię oszukał?

– Jasne, że byś mnie oszukał – odpowiedziałem mu w myśli. – Gdybyś tylko mógł. Powiedz, co ty kombinujesz, wujku Lem?

W tym momencie wujek zwolnił trochę i zataczając szerokie koła zaczął się zniżać.

– A, tak mi przyszło do głowy, że twoja mama może by chciała trochę musu jagodowego – pomyślał kopiąc nonszalancko kamień. – Gdyby ktoś pytał, to powiedz, że mnie nie widziałeś. Bo to prawda, nie widzisz mnie przecież.

– Wujku Lem – pomyślałem całkiem głośno. – Dałem mamie harcerskie słowo honoru, że cię samego nigdzie nie puszcę, po tym jak nam ostatnim razem uciekłeś...

– No, no, no, mój chłopcze – pomyślał szybko wujek Lem. – Co było, to było.

– Przyjacielowi się nie odmawia, wujku – przypomniałem mu, kończąc okręcać płożę drutem. – Poczekaj chwilkę, aż się ta śmietanka zsiądzie, i wtedy pójdziemy razem, gdziekolwiek się wybierasz.

Mignęły mi znów wśród krzaków jego portki w kratkę i po chwili z uśmiechem winowajcy pojawił się wujek Lem. Wujek jest mały i tłusty. Wiem, że chce jak najlepiej, ale prawie każdy może go namówić do prawie wszystkiego. Dlatego nie spuszczamy go z oka.

– Jak ty to robisz? – spytał patrząc na dzbanek ze śmietanką. – Poganiasz te małe stworzonka, żeby zasuwały prędkiej?

– Wujku Lem! – powiedziałem. – Nie udawaj głupiego. To by było okrucieństwo w stosunku do tych poczciwych zwierzątek – a na to bym sobie nigdy nie pozwolił. Te małeństwa i tak dostatecznie ciężko pracują, żeby zakwasić zwykłe mleko. To takie kruszynki, że mi ich naprawdę żal. Trudno je nawet zobaczyć, jeśli się nie robi zeza. Tata mówi, że to enzymy. Ale ja nie wierzę. Są za małe.

– Że małe to fakt – przyznał wujek Lem. – No więc jak zamierzasz z tego wybrnąć?

– O, to tutaj urządzenie – powiedziałem – powiedziałem z pewną dumą – wyśle ten mamimy dzbanek w przyszły tydzień. W taką pogodę śmietana nie potrzebuje na skwaszenie więcej jak dwa dni, ale ja dam jej dużo czasu. Jak ją ściągnę z powrotem, będzie kwaśna raz – dwa – trzy. – Postawiłem dzbanek na sankach.

– Nigdy nie widziałem takiego zmyślnego brzdąca – powiedział wujek Lem. Podszedł do mnie i wygiął drut na krzyż. – Lepiej zrób to w ten sposób, ze względu na burzę, która będzie we wtorek. No, dobra, możesz wysłać śmietanę.

No to ją wysłałem. Kiedy wróciła, była taka zsiadła, że mysz mogłaby po niej spacerować. Po dzbanku łąził szerszeń z przyszłego tygodnia; rozduśliłem go. Ale to był błąd. Wiedziałem to od chwili, kiedy dotknąłem dzbanka. Cholerny wujek Lem.

Z powrotem skoczył w krzaki piszcząc z radości.

– A jednak cię tym razem oszukałem, ty mały śmierdzielu! – wrzasnął. – No, zobaczymy jak sobie poradzisz z wyciąganiem palca ze środka przyszłego tygodnia!

A to wszystko przez opóźnienie. Powinienem być wiedzieć. Kiedy wujek Lem skrzyżował ten drut, wcale nie miał na myśli burzy. Straciłem prawie dziesięć minut na to, żeby się uwolnić, a wszystko przez taką jedną, co się nazywa Inercja i co zawsze wsadzi swoje trzy grosze, jeśli człowiek nieostrożnie igra z czasem. Sam niewiele z tego rozumiem. Jeszcze nie mam swoich lat. Wujek Lem twierdzi, że zdążył już zapomnieć więcej niż ja się kiedykolwiek w życiu nauczę.

Z tego wszystkiego straciłem go niemal z oczu. Nie miałem się nawet czasu przebrać w kupne ubranie, a po tym, jak wujek był odpalony, wiedziałem, że się wybiera w jakieś eleganckie miejsce.

Ale i on był zdenerwowany. Bez przerwy natykałem się na resztki jego niespokojnych myśli, które wisały na gałązkach krzaków jak małe strzępki chmur. Niewiele mogłem z nich zrozumieć, bo zanim do nich dojrzałem, rozplywały się w powietrzu, ale jedno jest pewne: wujek Lem zrobił coś, czego nie powinien robić. Było to chyba jasne dla każdego. No więc te myśli szły mniej więcej tak:

– Szkoda, szkoda, szkoda... bodaj bym nigdy tego nie zrobił... Boże, zmiłuj się... jakby się dziadek dowiedział... ach, ci wstrętni Pughowie, jak mogłem być taki głupi? Szkoda, szkoda, szkoda... biedny stary pocziwina, nigdy nikomu nie zrobiłem nic złego, no i teraz patrzcie... Ten Saunk to sobie za dużo wyobraża, trzeba mu dać nauczkę. Och, szkoda, szkoda... a zresztą co się przejmować, głowa do góry, wszystko będzie dobrze. Zasługujesz na to, pocziwy Lemuelu. Dziadek nigdy się nie dowie.

Po chwili mignęły mi jego kraciaste portki wśród krzaków, ale dogoniłem go dopiero, jak zszedł ze wzgórza i przemierzywszy podmiejskie tereny piknikowe znalazł się na stacji kolejowej i hiszpańskim dublonem, który ukradł tacie z jego skrzynki żeglarskiej, stuknął w okienka kasy.

Nie zdziwiłem się wcale, kiedy usłyszałem, że prosi bilet do State Center. Pozwoliłem mu myśleć, że go nie dogoniłem. Jakiś czas kłócił się okropnie z kasjerem, ale na koniec wsadził rękę do kieszeni i wyjął srebrną dolarówkę. Facet się uspokoił.

Pociąg już sapał dojeżdżając do stacji, kiedy wujek Lem wyskoczył zza rogu. Nie miałem wiele czasu, ale jakoś zdążyłem – w ostatniej chwili. Kilka jardów musiałem nawet podfrunąć, ale chyba nikt tego nie zauważył.

Dawno temu, jak byłem jeszcze małym brzdącem, w Londynie, gdzie wtedy mieszkaliśmy, wybuchała wielka epidemia i my Hogbenowie, musieliśmy się wynosić. Pamiętam wielki zgielek w mieście, ale jak teraz patrzę wstecz, wydaje mi się on niczym w porównaniu ze zgiełkiem, jaki panował na stacji State Center, kiedy zajechał nasz pociąg. No cóż, czasy się zmieniały.

Gwizdki gwizdały, klaksony trąbiły, radia wyły jak diabli – mógłbym przysiąc, że każdy wynalazek z ostatnich dwustu lat jest głośniejszy od wszystkiego, co było dotychczas. Rozboleła mnie głowa i dopiero musiałem sobie odpowiednio ustawić to, co tata nazwał poziomem odporności na decybele; no cóż, popisował się wtedy jak zwykle.

Wujek Lem nie wiedział, że jestem w pobliżu. Uważałem, żeby myśleć naprawdę cicho, ale wujek tak był zajęty swoimi zmartwieniami, że dosłownie na nic nie zwracał uwagi. Poszedłem więc za nim przez zgromadzony na stacji tłum i potem na szeroką i bardzo ruchliwą ulicę. Co za ulga zostawić wreszcie za sobą te wszystkie pociągi.

Nie mogę nawet pomyśleć, co się tam dzieje wewnątrz tych kotłów – jak te stworzonka, tak maleńkie, że ich prawie nie widać, w nieustannej gonitwie, rozparzone biedactwa i podniecone, stukają się bez przerwy głowami. Żałosna sprawa.

Oczywiście myślenie o tym, co się dzieje wewnątrz mijających nas samochodów, nic nie pomaga.

Wujek Lem dobrze wiedział, dokąd zmierza. Ruszył ulicą tak szybko, że nieraz miałem pokusę kawałek podfrunąć. Cały czas się zastanawiałem, czy nie powinienem się porozumieć z rodziną na wypadek, gdyby stało się coś takiego, z czym bym sobie sam nie dał rady, ale dosłownie, co się ruszyłem, to gdzieś utknąłem. Mama miała być po południu na jakimś zabraniu parafialnym, a ostatnim razem jak się nagle do niej odezwałem i to wypadło samemu wielebnemu Jonesowi nad uchem, dała mi w łeb. On się jeszcze do nas nie przyzwyczał.

Tata zalał się w trupa. Nie było sensu go nawet próbować budzić. A ja umierałem ze strachu, że jak zawołam na dziadka, to obudzę Bobasa.

Wujek Lem przemknął tuż koło mnie, ale mignęły mi tylko jego kraciaste nogi. I on był w głębi serca zaniepokojony. Zobaczył w bocznej uliczce tłum zebranych wokół dużej ciężarówki. Ludzie gapili się na mężczyznę, który stał na wierzchu i wymachiwał oburącz napelnionymi czymś butelkami.

Najwyraźniej wygłaszał jakąś mowę na temat bólu głowy. Słyszałem go aż zza rogu ulicy. Do skrzyni ciężarówka przyczepione były po obu stronach transparenty głoszące: „PUGHA EKSTRAKT NOWY – IDEALNY NA BÓL GŁOWY”.

– Oj, szkoda, szkoda! – myślał wujek Lem. – O, niech ja skisnę, co ja teraz zrobię?! W życiu nie podejrzewałem, że ktokolwiek mógłby się ożenić z Lily Lou Mutz. Oj, co za szkoda!

No cóż, wszyscy byliśmy zdziwieni, kiedy z jakie dziesięć lat temu Lily Lou Mutz znalazła amatora; tak myślę. Ale co to miało wspólnego z wujkiem Lemem – nie miałem zielonego pojęcia. Lily Lou to było chyba najszeptniejsze stworzenie płci żeńskiej, jakie kiedykolwiek chodziło po ziemi. A zresztą „najszeptniejsze” to jeszcze nie to słowo; biedactwo.

Dziadek powiedział kiedyś, że przypominała mu takie znajome siostry – Gorgony się nazywały. Pocziwe było nawet stworzenie z tej Lily Lou. Ze swoją urodą niejedno musiała wycierpieć od ludzi z miasteczka – to znaczy od hołoty.

Mieszkała samotnie na wzgórzu, w nędznej chałupinie, i musiała mieć już pod czterdziestkę, kiedy jeden facet, co mieszkał po drugiej stronie rzeki, poprosił ją pewnego dnia o rękę wprawiając całe sąsiedztwo w osłupienie. Nigdy go nie widziałem na

oczy, ale mówią, że on nie był mister universum.

Kiedy się nad tym zastanawiałem, patrząc wtedy na tę ciężarówkę, doszedłem do wniosku, że facet nazywał się Pugh..

## Rozdział 2. Miły starszy pan.

W pewnym momencie zauważyłem, że wujek Lem zobaczył kogoś pod latarnią na skraju tłumu i podreptał w tamtą stronę. Tak na moje oko stał tam stary goryl z małym gorylem i gapili się na faceta w ciężarówce sprzedającego na dwie ręce płyn w butelkach.

– Chodźcie, bierzcie! – darł się. – Każdy po swoją butelkę Niezawodnego Leku na Ból Głowy, póki jeszcze jest!

– Cześć, Pugh, jestem – powiedział wujek Lem do dużego goryla. – Cześć, Junior – dodał zaraz potem, spoglądając na młodego. Widziałem, jak się wstrząsnął nieznacznie.

I trudno się dziwić. Dwóch ohydniejszych przedstawicieli rodzaju ludzkiego nie widziałem w życiu. Gdyby nie mieli takich ciastowatych gąb albo gdyby byli chociaż ciut – ciut szczuplejsi, może by mi tak nie przypominali dwóch tłustych ślimaków: dorosłego i młodego. Ojciec był wystrojony odświętnie, ze złotą dewizką na brzuchu, i z tego, jak dumnie stąpał, można by sądzić, że się nigdy dobrze nie obejrzał w lustrze.

– Się masz, Lem – powiedział od niechcenia. – Przychodzisz w samą porę. No, Junior, powiedz panu Lemowi Hogbenowi dzień dobry. Wiele mu zawdzięczasz, synu. – I roześmiał się paskudnie.

Junior nie zwrócił na niego uwagi. Oczki jak paciorki utkwiał w tłumie po drugiej stronie ulicy. Wyglądał na jakieś siedem lat, a był złośliwy jak wszyscy diabli.

– Czy mogę to zrobić teraz, tato? – zaskrzeczał. – Mogę dać im teraz, co im się należy? Co, tato? – Sądząc z tonu, jakim to mówił, przestraszyłem się, że ma pod ręką odbezpieczony karabin maszynowy. Spluwy wprawdzie nie widziałem, ale gdyby spojrze nie mogło zabijać, Pugh Junior skosiłby cały tłum za jednym zamachem.

– Dzielnny malec, co Lem? – powiedział tata Pugh z wyraźnym zachwytem. – Muszę ci powiedzieć, że jestem naprawdę dumny z tego chłopaka. Szkoda, że jego kochany dziadek nie może tego zobaczyć. Pughowie to stary wspaniały ród. Nie ma takiego drugiego. Jedyne moje zmartwienie to to, że Junior jest ostatni. Rozumiesz, dlaczego chciałem się z tobą zobaczyć, Lem.

Wujek Lem znów się wzdrygnął.

– Aha – powiedział – rozumiem. Ale tracisz tylko czas, Pugh. Ja tego nie zrobię.

Młody Pugh obrócił się na pięcie.

– Tata, mogę mu teraz dołożyć? – zaskrzeczał, bardzo ożywiony. – Mogę, tato? Teraz, tato, co?

– Zamknij się, synku – powiedział duży Pugh i dzielił małego przez łeb. A łapy miał jak bochny. Naprawdę był zbudowany jak goryl. Widząc te jego potężne ręce zwisające z pochylonych ramion, można by sądzić, że chłopak przeleci na drugą stronę ulicy, ale ten mały też miał krzepę nie lada. Zachwiał się tylko ciut – ciut, potrząsnął głową i zrobił się czerwony na gębę. A następnie wrzasnął głośno i chrapliwie:

– Ostrzegałem cię, tata! Ostatnim razem, jak mnie zasunąłeś, to cię ostrzegałem! Zobaczysz, teraz ty oberwiesz.

Nabrał powietrza, jego małe oczka zrobiły się takie błyszczące i wylupiaste, że mało mu się nie spotkały pośrodku nosa, a ciastowata gęba jeszcze bardziej poczerwieniała.

– Okay, Junior – powiedział tata Pugh dość pospiesznie. – Tamci są gotowi. Szkoda twoich sił na mnie, synku. Zostaw to dla tych ludzi,

Przez cały ten czas stałem na skraju tłumu słuchając i nie spuszczać wujka Lema z oka. Ale w pewnej chwili ktoś mnie potrząsnął za ramię i odezwał się bardzo grzecznie cienkim głosem:

– Przepraszam, ale czy mogę o coś zapytać?

Spojrzałem. Był to mały, chudy człeczyzna o życzliwym wyrazie twarzy. W ręku trzymał notes.

– Nie mam nic przeciwko temu – odparłem, też bardzo uprzejmie. – Proszę niech pan pyta.

– Ciekaw jestem po prostu, jak się czujesz, nic więcej – powiedział chudy człowieczek trzymając ołówek nad papierem, w każdej chwili gotów notować.

– Dziękuję, świetnie – odpowiedziałem. – To ładnie z pana strony, że pan pyta. Mam nadzieję, że i pan się czuje dobrze.

Potrząsnął głową, jak gdyby z lekka zamroczony.

– W tym sęk – rzekł – że zupełnie tego nie rozumiem, ale czuję się świetnie.

– Dlaczegoż by nie? Taki piękny dzień.

– Wszyscy się tu świetnie czują – ciągnął dalej, jakbym się w ogóle nie odzywał. – Poza normalnymi wyjątkami, wszyscy w tym tłumie są po prostu przeciętnie dobrego zdrowia. Ale w ciągu pięciu minut, a może nawet mniej, tak to oceniam... – spojrzał na zegarek.

Właśnie w tym momencie ktoś walnął mnie w głowę rozpalonym do czerwoności młotem kowalskim.

Wiadomo, że Hogbenowi nie można nic zrobić waląc go w głowę. Trzeba być głupcem, żeby w ogóle próbować. Kolana leciutko się pode mną ugięły, ale trwało to zaledwie kilka sekund i już po chwili się rozglądałem, kto mnie dzielił.

Ale nigdzie w pobliżu nie było żywego ducha. Tylko jęki i stękania dochodzące z tłumu. Ludzie łapali się za głowy i zataczając się, wsparci jeden o drugiego, walili ulicą do ciężarówki, gdzie mężczyzna wydawał butelki z lekiem na ból głowy tak szybko, jak tylko nadązał inkasować banknoty dolarowe.

Chudy człeczyzna o życzliwej twarzy przewracał oczami jak kaczka w czasie gradobicia.

– O, moja głowa! – jęczał. – Co ja ci powiedziałem! O, moja głowa! – A potem, grzebiąc w kieszeni, podreptał w stronę ciężarówki.

Rodzina zawsze uważała mnie za głupka, ale trzeba byłoby nie mieć za grosz rozumu, żeby się nie zorientować, że dzieje się tu coś bardzo dziwnego. A ja naprawdę nie jestem głupoł, obojętne, co mama o mnie mówi. Obróciłem się na pięcie i rozejrzałem za Pughem Juniorem.

No i właśnie: stał sobie spokojnie, mały padalec z tłustą gębą, czerwoną jak pomidor, cały nadęty i tylko łyskał swoimi złośliwymi oczkami w stronę ludzi.

– Zły urok – pomyślałem sobie, całkowicie spokojny. – Nigdy bym nie uwierzył, ale to najprawdziwszy zły urok. Tylko, że jak do licha...

I wtedy przypomniałem sobie Lily Lou Mutz i to, co wujek Lem myślał do siebie. I zaczęło mi się przejaśniać...

Ludzie dostawali szału, żeby się docisnąć do leku od bólu głowy i musiałem się do wujka Lema dosłownie przedzierać. A był chyba najwyższy czas, żeby mu pospieszyć z pomocą, biorąc pod uwagę jego miękkie serce i słabą głowę.

– Nie, szanowny panie – mówił właśnie bardzo stanowczo. – Ja tego nie zrobię. Pod żadnym pozorem.

– Wujku Lem – powiedziałem.

Założę się, że podskoczył o jakiś jard w górę.

– Saunk! – zapiszczał. Zacerwienił się i uśmiechnął zupełnie zbaraniały, a potem wpadł w złość, ale jednocześnie widziałem, że na mój widok odczuł ulgę. – Mówiłem ci, żebyś za mną nie chodził!

– A mama mi przykazała, żebym wujka nie spuszczał z oka – odparłem. – Obiecałem to mamie, a my, Hogbenowie, zawsze dotrzymujemy słowa. Co tu się dzieje, wujku Lem?

– Och, Saunk, wszystko się popieprzyło! – jęknął wujek. – Ja, człowiek o złotym sercu, o mały włos bym zginął. Poznaj pana Eda Pugh, Saunk. On chce mnie zabić.

– Ależ Lem – odezwał się Ed Pugh – wiesz dobrze, że tak wcale nie jest. Po prostu dochodzę swoich praw, i to wszystko. Miło mi cię poznać młody człowieku. Jak się domyślam, jeszcze jeden z rodu Hogbenów? Być może przekonasz swego wujka...

– Przepraszam, że panu przerwę, panie Pugh – odezwałem się, naprawdę grzecznie. – Ale może by mi pan coś wyjaśnił. Bo ja nic z tego nie rozumiem.

Pugh odchrząknął i wypiął pierś. Widać było, że jest to temat, na który lubi mówić. Że czuje się wtedy ważny.

– Nie wiem, czy znałeś moją drogą żonę nieboszczkę, Lily Lou Mutz – zaczął. – A to jest nasz mały, Junior. Bardzo udany chłopak. Wielka szkoda, że nie mogliśmy mieć jeszcze z ośmiu czy dziesięciu takich jak on. – Westchnął głęboko. – No cóż, takie jest życie. Zamierzałem ożenić się młodo i mieć liczne potomstwo, jako że jestem ostatnim przedstawicielem starego rodu. Ale nie pozwolę mu wygasnąć. – Tu posłał złośliwe spojrzenie pod adresem wujka Lema. Wujek zakwilił płacziwie.

– Ja tego nie zrobię – powiedział. – Nie możesz mnie do tego zmusić.

– Jeszcze zobaczymy – rzekł Ed Pugh z pogroźką w głosie. – Być może twój krewny okaże się rozsądniejszy. Wiedz, że odgrywam w tym stanie poważną rolę i że moje słowo jest święte.

– Tata – zapiszczał w tym momencie Junior. – Tata, im już odpuszcza. Czy mogę tym razem dać im podwójnego, tata? Założę się, że jakbym poszedł na całość, to bym paru załatwił na dobre, tata... Hej, tata...

Ed Pugh zrobił taki ruch, jakby zamierzał znów zdzielić małego padalca, ale najwyraźniej się rozmyślił.

– Nie przeszkadzaj starszemu, synku – powiedział. – Tatuś jest zajęty. Pilnuj swoich spraw i siedź cicho. – Spojrzał ponad jęczącym tłumem. – Zajmij no się jeszcze trochę tymi tam, co stoją za ciężarówką. Jakoś za wolno kupują. Ale nie dawaj im podwójnego, Junior. Musisz oszczędzać swoją energię. Ty jeszcze rośniesz.

I znowu odwrócił się do mnie.

– Junior jest utalentowanym dzieckiem – rzekł bardzo dumny. – Jak zresztą widzisz. Odziedziczył to po swojej ukochanej matce nieboszczce, Lily Lou. Mówiłem ci już o niej. Tak jak powiedziałem, miałem nadzieję ożenić się młodo, ale wyszło inaczej. Nie było mi do żeniaczki aż dopiero w sile wieku.

Znów wypiął pierś jak ropucha i spojrzał z dumą w dół. Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś był tak z siebie zadowolony.

– Nigdy nie spotkałem kobiety, która by na mnie spojrzała... to znaczy nigdy nie spotkałem odpowiedniej kobiety – poprawił się – aż do momentu, kiedy zobaczyłem Lily Lou Mutz.

– Rozumiem, co pan ma na myśli – powiedziałem grzecznie. I rzeczywiście zrozumiałem. Bo musiał długo szukać, żeby znaleźć kogoś, kto byłby sam na tyle brzydki, żeby spojrzeć na niego dwa razy. Nawet Lily Lou, biedactwo, musiała się długo zastanawiać, zanim powiedziała tak.

– I tutaj właśnie – podjął Ed Pugh – dochodzimy do twojego wujka Lema. Wygląda na to, że bardzo dawno temu rzucił na Lily Lou jakiś urok.

– Ja? Nigdy! – zaprotestował piskliwie wujek Lem. – A zresztą, skąd mogłem wiedzieć, że wyjdzie za mąż i przekaże to swojemu dziecku? Kto w ogóle mógł przypuszczać, że Lily Lou kiedykolwiek...

– No więc rzucił na nią urok – nie przerywał sobie Ed Pugh. – Ale ona powiedziała mi o tym dopiero na łożu śmierci, rok temu. Bóg mi świadkiem, że dostałaby ode mnie, gdybym wiedział, że mnie przez całe życie oszukiwała, a to Lemuel rzucił na nią urok i z kolei ona przekazała tę zdolność w dziedzictwie naszemu malcowi.

– Ja to zrobiłem tylko dla jej dobra, żeby ją chronić – powiedział wujek Lem dość szybko. – Ty wiesz, Saunk, że mówię prawdę. Biedna Lily Lou była tak koszmarnie brzydka, że ludzie, nie mogąc się nieraz powstrzymać ciskali w nią grudami ziemi. Całkiem machinalnie. I trudno mieć do nich pretensję. Sam czasem ledwie mogłem nad sobą zapanować.

– Biedna Lily Lou, było mi jej naprawdę żal. Nie wiesz nawet, jak długo zwalczałem w sobie dobre odruchy, Saunk. Ale w końcu zawsze przez moje złote serce władują się w tarapaty. Pewnego dnia zrobiło mi się tej biedaczki tak żal, że obdarzyłem ją mocą czarodziejską. Każdy by tak postąpił na moim miejscu.

– A jak to zrobiłeś? – zapytałem, rzeczywiście zaciekawiony; pomyślałem, że kiedyś mogłaby mi się ta wiadomość przydać. Bo na razie jestem za młody, muszę się jeszcze wiele nauczyć.

No więc wujek Lem zaczął mi tłumaczyć, tylko, że cała ta sprawa była dość zawikłana. Najpierw odniosłem wrażenie, że to jakiś cudzoziemiec nazwiskiem Gene Chromosom załatwił ją za wujka, ale jak już pojąłem tę część, to on znów zaczął bredzić o jakichś falach alfa w mózgu.

Bzdura. Tyle wiedziałem i bez niego. Każdy chyba musi zauważyć patrząc na człowieka, który myśli, jak te falki przechodzą mu przez głowę. Czasem obserwowałem dziadka, jak na przykład ze sześćset różnych myśli naraz spacerowało mu jedna za drugą w tę i nazad po tych małych ścieżkach w mózgu. Aż mnie to raziło w oczy.

– Tak to właśnie było, Saunk – nawijał dalej wujek Lem. – I ten właśnie mały padalec odziedziczył po niej cały ten kram.

– No to dlaczego nie wezwiesz tego Gene’a Chromosoma, żeby odczarował Juniora i zrobił go takim samym jak inni ludzie? – spytałem. – Przecież chyba nic prostszego. Spójrz, wujku. – Wpatrzyłem się w Juniora, naprawdę z wielkim skupieniem, aż mi się oczy zrobiły takie dziwne, jak wtedy, kiedy jeden człowiek chce zajrzeć w głąb drugiego człowieka.

No i rzeczywiście, zobaczyłem to, o czym mówił wujek Lem: małeńkie łańcuchy stworzonek, trzymających się jedno drugiego jak rzep psiego ogona, i cienkie pałeczki miotające się wewnątrz maciupieńkich komórek, z których każdy z nas jest zrobiony – z wyjątkiem może Małego Sama, naszego Bobasa.

– Popatrz na to wujku – zwróciłem się do Lema. – Kiedy rzuciłeś ten urok na Lily Lou, to po prostu oderwałeś te cienkie pałeczki i przyłatałeś je do tych tutaj malutkich łańcuchów, co się tak szybko huśtają wtę i wewtę. Dlaczego ich nie przestawisz na miejsce i nie zrobisz tak, żeby Junior zaczął się zachowywać przyzwoicie? To powinno być bardzo łatwe.

– Owszem, to byłoby łatwe – westchnął nade mną wujek Lem. – Saunk, jesteś okropnie roztrzępany. Widzę, że nie słuchałeś tego co do ciebie mówiłem. Nie mogę ich przesunąć na miejsce tak, żeby nie zabić Juniora.

– Świat by tylko na tym zyskał – powiedziałem.

– Wiem. Ale musisz pamiętać, co obiecywaliśmy dziadkowi. Koniec z zabijaniem.

– Wujku! – wybuchnąłem. – To jest straszne. Chcesz powiedzieć, że ten mały, ohydny padalec będzie przez całe życie rzucał na ludzi uroki?

– I nawet jeszcze gorzej – odparł biedny wujek Lem prawie ze łzami. – Przekaze tę zdolność potomkom, tak jak Lily Lou przekazała jemu.

Przez chwilę rzeczywiście wydawało się, że rodzaj ludzki ma przed sobą jak najgorsze perspektywy. Ale po chwili roześmiałem się.

– Nie martw się, wujku – powiedziałem. – Nie ma powodu do zmartwienia. Spójrz na tego małego gada. Jestem pewien, że na całym bożym świecie nie znajdzie się stworzenie płci żeńskiej, które by podeszło do niego bliżej niż na milę. On już jest odrażający jak jego tata. A pamiętaj, że to przecież dziecko Lily Lou Mutz. Możliwe, że jak dorośnie, będzie jeszcze okropniejszy. Murowane, że nigdy się nie ożeni.

– I tu się mylisz – wpadł mi w słowo Ed Pugh całkiem głośno. Był czerwony na twarzy i robił wrażenie wściekłego. – Niech ci się nie zdaje, że ja nie słyszę, co wygadujesz. I nie wyobrażaj sobie, że kiedykolwiek zapomnę to, co powiedziałeś o moim dziecku. Mówiłem ci już, że mam bardzo mocną pozycję w mieście. Z talentami Juniora na dodatek zajdziemy wysoko.

Już jestem w radzie miejskiej i wiem, że w przyszłym tygodniu będzie wolne miejsce w senacie stanowym, chyba że ten stary bałwan, którego mam na myśli, jest mocniejszy, niż na to wygląda. Więc cię uprzedzam, Higben, że ty i twoja rodzina zapłacicie mi za te zniewagi.

– Nikt nie powinien się obrażać, kiedy słyszy o sobie świętą prawdę – powiedziałem. – Junior jest odrażającym typem.

– Trzeba się po prostu do niego przyzwyczaić – wyjaśnił jego tata. – Wszystkich nas, Pughów, trudno zrozumieć. To znaczy do głębi. Ale mamy swoją dumę. Już ja dopilnuję, żeby nasz ród nigdy nie wygasł. Nigdy słyszysz, Lemuel?

Wujek Lem mocno zacisnął powieki i szybko potrząsnął głową.

– O, nie mój panie. Nigdy tego nie zrobię. Nigdy, nigdy, nigdy...

– Lemuel – odezwał się Ed Pugh i zabrzmiało to naprawdę złowieszczo. – Lemuel, czy chcesz, żebym napuścił na ciebie Juniora?

– Niech się pan nie fatyguje – powiedziałem. – Widział pan chyba jak próbował mnie zaczarować razem z całym tłumem. Nic z tego, panie Pugh. Na Hogbenów nie ma sposobu.

– No to... – stary rozejrzał się dokoła, najwyraźniej gorączkowo kombinując. – Hmmm, już ja coś wymyślę. Ja... masz miękkie serce Lemuel, tak? Obiecywałeś dziadkowi, że nikogo nie zabijesz, co? No to otwórz oczy i spójrz na drugą stronę ulicy. Widzisz tę miłą staruszkę, która idzie o lasce? Co byś powiedział, gdyby Junior tak zrobił, żeby nagle padła martwa?

Wujek Lem zacisnął tylko jeszcze mocniej oczy.

– Nie będę patrzył. Nie znam tej staruszki. Wszyscy się mnie czeplają. Dość tego. Prawdopodobnie ma bardzo silny reumatyzm.

– Dobra. A co byś powiedział na tę ładną młodą kobietę z dzieckiem na ręku? Spójrz, Lemuel, co to za słodkie małeństwo. Jaką ma różową wstążeczkę na kapturku, widzisz? A jakie dołeczki w buzi. Junior, przygotuj się, żeby móc w każdej chwili rzucić na nich urok. Na początek niech będzie morowa zaraza. A potem...

– Wujku – powiedziałem czując się trochę nieswojo. – Nie wiem, co by na to powiedział dziadek. Może...

Wujek Lem na sekundę wytrzeszczył oczy. Spojrzał na mnie spode łba, wściekły.

– Nic na to nie poradzę, że mam złote serce – rzekł. – Jestem przywoitym starszym panem, a wszyscy się mnie czeplają. Mam już tego dość. Dlatego tak sobie ze mną pozwalacie. A co mi tam, niech Ed Pugh zniszczy cały rodzaj ludzki. Wszystko mi jedno, czy dziadek się dowie o tym, co zrobiłem, czy nie. Na niczym mi już nie zależy. – I roześmiał się dziko. – Koniec. Nie chcę nic wiedzieć. Muszę się zdrzemnąć, Saunk. – Z tymi słowami cały zeszytniał i upadł na twarz, jakby kij połknął.

## Rozdział 3. Z nożem na gardle.

No cóż, mimo całego zmartwienia musiałem się uśmiechnąć. Wujek Lem bywa czasem sprytny. Wiedziałem, że uciekł w sen, jak zwykle, kiedy wpadnie w jakieś tarapaty. Tata mówi, że to katalepsja, ale psy śpią znacznie lżej od niego.

Wujek Lem padł na chodnik jak długi, zupełnie płasko, i nawet jakby się trochę odbił. Junior wydał ryk radości. Pewnie mu się wydawało, że ma coś wspólnego z tym upadkiem wujka. W każdym razie na widok kogoś leżącego i bezbronnego odruchowo podleciał i kopnął wujka w głowę.

Ale, jak już mówiłem, my Hogbenowie, mamy twarde głowy, więc Junior wrzasnął i zaczął podskakiwać i tańczyć trzymając się za stopę obydwoma rękami.

– Już ja cię urządzę na amen! – wrzasnął na wujka Lema. – Na amen, ty... ty stary Hogbenie! – zaczerpnął tchu, zrobił się purpurowy na twarzy i ...

I wtedy właśnie się to stało: jakby się błysnęło.

Ja tam się specjalnie nie interesuję magią, ale wiedziałem, co się dzieje, tylko że byłem zaskoczony. Tata usiłował mi później wytłumaczyć, jak to działa. Powiedział, że ten czar porusza utajone toksyny zawarte w organizmie. W ten sposób Junior stał się czynnikiem katalitoksycznym – a to dzięki zmianom w strukturze kwasu dezoksyrybonukleinowego, z którego zrobione są jego geny, i ich oddziaływaniu na fale kappa jego paskudnego mózdzku, podkręcone teraz do trzydziestu mikrowoltów. Ale co tam, znacie tatę. Jest za leniwy, żeby to wyrazić po angielsku. Po prostu wtedy, kiedy potrzebuje, kradnie te wszystkie głupie słowa ludziom prosto z głowy.

A sztuka polegała na tym, że cała trucizna, zapuszkowana w tym małym padalcu i przeznaczona dla tłumu ludzi, wybuchła nagle i poszła wujkowi prosto w twarz. Jeszcze nigdy nie widziałem takiego czaru. A co najgorsze skutecznego.

Bo we śnie wujek Lem nie miał żadnej odporności. Nawet rozpalonymi do czerwoności pogrzebaczami by go nie dobudził, ale tym razem nie było potrzeby. Leżał jak rażony piorunem.

Na naszych oczach zrobił się zielony na twarzy. I jednocześnie, jak nam wujek zzieleniał, zapadła jakaś okropna cisza. Spojrzałem zdumiony i dopiero wtedy zrozumiałem co się dzieje. Wszystkie jęki i narzekania ucichły. Ludzie pociągali z butelek z lekiem na ból głowy, przecierali czoła i uśmiechali się słabo, z ulgą. Cały nabój złego uroku Juniora poszedł w wujka Lema, no i oczywiście ludzie przestały boleć głowy jak ręką odjął.

– Co tu się dzieje? – zawołał jakiś znajomy głos. – Czy ten człowiek zemdłał? Dlaczego go nie ratujecie? Proszę mnie przepuścić, jestem lekarzem.

Był to chudy mężczyzna o miłej twarzy. Cały czas przepychając się do nas pociągał z butelki z lekiem, ale nie miał już przy sobie notatnika. Na widok Eda Pugh'a zrobił się czerwony ze złości.

– Ach, to pan, panie radny. Ciekawe, jak to się dzieje, że gdziekolwiek jest jakieś zamieszanie, tam zawsze można spotkać pana. Co pan zrobił temu biedakowi? Tym razem posunął się pan chyba za daleko.

– Nic mu nie zrobiłem – odparł Ed Pugh. – Nawet go nie dotknąłem. Niech pan uważa na słowa, doktorze Brown, bo pan pożałuje. Mam w tym mieście niemało do powiedzenia.

– Patrzcie! – wykrzyknął doktor Brown wskazując na wujka Lema, a jego głos z podniecenia zrobił się piskliwy. – Ten człowiek umiera! Wezwijcie pogotowie! Szybko!

Wujek Lem znów zmieniał kolor. Roześmiałem się troszkę, ale w środku, w głowie, oczywiście. Wiedziałem, co się dzieje, i muszę powiedzieć, że było to nawet dość zabawne. Każdy ma naturalnie w sobie masę bakterii, wirusów i tym podobnych stworzonek, które się w nim bez przerwy roją.

Urok, jaki Junior rzucił na wujka, straszliwie poruszył to stadko, które z miejsca zabrało się do roboty – pronto. A te mikrussy wcale nie są takie chore, na jakie wyglądają. Są po prostu białe bo taka ich uroda.

Jak tylko jakaś trucizna zaczyna nas rąbać, to zaraz te małe białaski łapią za broń i ruszają w nas w środku do boju jak głupie. Takiej awantury, wrzasków i przekleństw nigdyście nie słyszeli. Regularna bitwa pod Bull Run.

Dosłownie coś takiego działo się w wujku Lemie. Tylko, że my, Hogbenowie, mamy wewnątrz w sobie coś w rodzaju takiej specjalnej milicji. I trzeba przyznać, że została ona wezwana naprawdę szybko.

Przeklinali, kopali i walili wroga tak, że wujek z zielonego zrobił się czerwony i na całym ciele zaczęły mu występować duże żółte i niebieskie plamy. Robił wrażenie bardzo chorego. Oczywiście tak naprawdę to nic złego mu się nie działo. Bo ta milicja Hogbenów potrafi sobie dać radę z każdziusięnkim zarazkiem.

Ale rzeczywiście wyglądał odrażająco.

Chudy doktor przykucnął przy wujku i zbadał mu puls.

– Tym razem to już pan przeholował – zwrócił się do Eda Pugh'a, – Nie wiem, jak pan to zrobił, ale posunął się pan za daleko. Ten człowiek jest dotknięty morową zarazą. Już ja dopilnuję, żeby się panem zajęto, panem i tym pańskim ancymonkiem.

Ed Pugh roześmiał się tylko krótko, ale widziałem, że jest wściekły.

– Niech pan się o mnie zbytnio nie troszczy, doktorze Brown – powiedział jadowicie. – Kiedy zostanę gubernatorem, a wszystko na to wskazuje, że tak będzie, to ten szpital, z którego pan jest taki dumny, przestanie korzystać z funduszy stanowych. Koniec! Wylegają się tylko po szpitalach i nic nie robią! Ale ja ich zagnam do roboty. My, Pughowie, nigdy nie chorujemy. Jak zostanę gubernatorem, potrafię zrobić lepszy użytek ze stanowych pieniędzy, niż płacić ludziom za to, żeby leżeli do góry brzuchem.

A doktor na to tylko:

– No, gdzie jest ta karetka pogotowia?

– Jeśli ma pan na myśli taki duży, biały samochód, który okropnie hałasuje – powiedziałem – to jest mniej więcej w odległości trzech mil od nas, ale jedźcie szybko. A zresztą wujek Lem nie potrzebuje żadnej pomocy. Dostał po prostu ataku. U nas to rodzinne, nie ma się czego obawiać.

– Wielkie nieba! – wykrzyknął doktor spoglądając na wujka Lema. – Chcesz powiedzieć, że on to już miał wcześniej i przeżył? – a potem popatrzył na mnie i uśmiechnął się nagle. – Aha, rozumiem. Boicie się szpitala, co? Nie bójcie się. Nic mu złego nie zrobimy.

To mnie z lekka zdziwiło. Człowiek był bystry. Dlatego go trochę ocyganiłem. Szpital to nie jest miejsce odpowiednie dla nas, Hogbenów. Ludzie w szpitalach są cholernie wścibscy. No więc zawołałem na wujka Lema, i to całkiem głośno.

– Wujku Lem! – wrzasnąłem, ale oczywiście w myśli, nie na cały głos. – Wujku Lem! Obudź się, ale szybko. Dziadek obedrze cię ze skóry, jak dasz się wziąć do szpitala. Chcesz, żeby się dowiedzieli o tych dwóch sercach? I jak masz poprzczepiane kości? I o twoim drugim żołądku? Wujku Lem! Obudź się czym prędzej!

Szkoda było gadania. Nawet nie mrugnął okiem.

I wtedy obleciał mnie strach nie na żarty. Wujek Lem nawarzył niezłego piwa. Cała odpowiedzialność spoczywała na moich barkach, a ja naprawdę nie wiedziałem, co z tym fantem zrobić. Mimo wszystko jestem jeszcze za młody. Nie sięgam pamięcią dalej jak do wielkiego pożaru Londynu, do czasów Karola II, tego z tymi lokami do ramion. Ale jemu, muszę przyznać, było z nimi nawet do twarzy.

– Panie Pugh – powiedziałem – pan musi koniecznie wpłynąć na Juniora. Nie mogę pozwolić na to, żeby wzięli wujka Lema do szpitala. Pan dobrze wie, że nie mogę.

– Junior, strzyknij no jeszcze raz – rzekł pan Pugh, uśmiechając się naprawdę nieprzyjemnie. – Chciałbym sobie porozmawiać z tym młodym Hogbenem. – Chciałbym sobie porozmawiać z tym młodym Hogbenem. – Doktor spojrzął, zaintrygowany, a Ed Pugh dodał: – Podejdz no tutaj ciut – ciut, Hogben. Chciałbym z tobą zamienić kilka słów na osobności. No, dawaj Junior!

Żółte i niebieskie plamy wujka Lema dostały zielonych obwódek. Doktora jak gdyby zatkało, a Ed Pugh wziął mnie za ramię i odciągnął na bok. Kiedy znaleźliśmy się już poza zasięgiem słuchu tamtych, rzekł poufnie, świdrując mnie swoimi małymi oczkami:

– Mam nadzieję, Hogben, że wiesz, o co mi chodzi. Lem nigdy nie powiedział, że nie mógłby tego zrobić, tylko, że nie robi, więc ja wiem doskonale, że leży to w granicach waszych możliwości.

– Ale dokładnie o co panu chodzi, panie Pugh? – zapytałem.

– Nie muszę ci mówić. Chodzi mi o to, żeby nasz wspaniały ród nie zaginął. Chcę, żeby Pughowie byli zawsze. Wiem, jak mnie samemu było trudno się ożenić, a jestem przekonany, że Juniorowi nie będzie łatwiej. Dzisiejsze kobiety nie mają gustu za grosz. Od czasu kiedy Lily Lou rozstała się z tym światem nie było kobiety na tyle brzydkiej, żeby wyszła za mąż za Pugha, i boję się bardzo, że na Juniorze nasz wspaniały ród się skończy. A biorąc pod uwagę jego talenty, nie mogę znieść tej myśli. Zróbcie tak, żeby nasz ród nie wygasł nigdy, to ja każę Juniorowi zdjąć urok z Lemuela.

– Ale jeżeli zrobię tak, że wasz ród nigdy nie wymrze – powiedziałem – to tym samym, kiedy znajdzie się dość Pughów, skazę na śmierć wszystkie inne rody na całym świecie.

– Nie widzę w tym nic złego – odparł Pugh uśmiechając się krzywo. – Uważam, że stanowimy silny, zdrowy trzon. – Zgiął swoje goryle ramiona. Był wyższy nawet jeszcze ode mnie. – Nie ma chyba nic złego w tym, że ziemia zostanie zaludniona przez jednostki silne i zdrowe. Uważam, że to tylko kwestia czasu, byśmy my, Pughowie, opanowali cały cholerny świat. A ty nam w tym pomożesz, młody Hogbenie.

– O, nie! – zaprotestowałem. – Wykluczone! Nawet gdybym wiedział, jak...

Przy końcu ulicy rozległ się okropny hałas i tłum się rozstał robiąc miejsce karetce pogotowia, która zatrzymała się przy krawężniku koło wujka Lema. Wskoczyło z niej dwóch facetów ubranych w białe kitle, z jakimś płótnem na kijach. Doktor Brown wstał z wyraźną ulgą.

– No, myślałam, że już nigdy nie przyjedziecie – powiedział. – Ten chory musi przejść kwarantannę. Bóg raczy wiedzieć, co wykażą badania. Podajcie mi moją torbę, leży tam z tyłu. Potrzebny mi stetoskop. Coś dziwnego dzieje się z sercem tego człowieka.

W tym momencie miałem rzeczywiście duszę na ramieniu. Wiedziałem, że to już po nas, koniec Hogbenów. Jak się raz doktorzy i uczeni o nas dowiedzą, nie zaznamy chwili spokoju do końca życia. A na jakiegokolwiek odosobnienie możemy liczyć tyle co kaczan kukurydzy na polu.

Ed Pugh obserwował mnie z ohydny uśmiechem na swojej ciastowatej gębie.

– Zmartwiony, co? I nic dziwnego. Masz powody. Wiem o was, Hogbenach. Jeden w drugiego czarownicy. A jak wezmą Lema do szpitala, to trudno przewidzieć, czego się tam u niego doszukają. Pewnie dojdą do wniosku, że czarownictwo jest niezgodne z prawem. No, Hogben, masz pół minuty na podjęcie decyzji. Co ty na to?

Cóż miałam na to powiedzieć. Przecież nie mogłem mu dać obietnicy, której się domagał. Ani pozwolić na to, żeby cały świat się zaroził od jadowitych Pughów. My, Hogbenowie, żyjemy długo. Mamy bardzo poważne plany na przyszłość, kiedy to reszta ludzi zacznie nas dopiero doganiać. Ale gdyby do tego czasu resztę ludzi mieli stanowić sami Pughowie, to szkoda zachodu. Nie mogłem powiedzieć tak.

Ale z drugiej strony, jeśli powiem nie, to kładę krzyżyk na wujku Lemie. Wyglądało na to, że tak czy siak my, Hogbenowie, jesteśmy bez szans.

Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko zaczerpnąć tchu, zamknąć oczy i wydać z siebie, oczywiście w środku, rozpaczliwy krzyk.

– Dziadkuuu! – wrzasnąłem.

– Słucham cię, chłopcze – odezwał się głęboki głos w moim mózgu. Zupełnie jakby dziadek cały czas był przy mnie i tylko

czekał na moje wezwanie. A przecież znajdował się w odległości jakichś stu mil, pogrążony w głębokim śnie. Ale kiedy Hogben zawoła takim głosem, jak ja właśnie teraz, ma prawo oczekiwać odpowiedzi – i to szybko. Doczekałem się.

Zwykle dziadek kluczy wtedy wokół tematu przez jakieś piętnaście minut, biorąc cię w krzyżowy ogień pytań i nie słuchając odpowiedzi, i mówiąc we wszelkich możliwych starych dialektach, jak na przykład sanskryt, które do niego przyłgnęły w ciągu całego życia. Ale tym razem wiedział, że to nie przelewki, więc powiedział tylko: „Słucham cię, chłopcze”.

Otworzyłem przed nim swój umysł szeroko jak podręcznik szkolny. Nie było czasu na pytania i odpowiedzi. Doktor wyjmował właśnie ten swój przyrząd, żeby posłuchać jak dwa serca wujka Lesa biją nie w rytmie i wiedzieliśmy, że jak tylko usłyszy, oznacza to dla nas, Hogbenów, koniec.

– Chyba, że pozwolisz mi ich pozabijać, dziadku – dodałem, widząc, że jeden rzut oka mu wystarczy, by ocenić sytuację od początku do końca.

Wydawało mi się, że milczał potem strasznie długo. Tymczasem doktor wyjął to swoje urządzenie i wkładał sobie do uszu takie dwa czarne węże. Ed Pugh wpatrywał się we mnie jak jastrząb. Junior stał obok, cały napompowany jadem, i tylko wodził dokoła tymi swoimi złośliwymi oczkami, w kogo by tu nim strzyknąć. Miałem nadzieję, że wybierze sobie mnie. Opracowałem nawet taki sposób, żeby mu ten cały ładunek wrócił prosto w gębę i może by go nawet zabił.

Usłyszałem w myślach jak dziadek wzdycha.

– Mamy nóż na gardle, Saunk – powiedział. Byłem nawet trochę zdziwiony, pamiętam, że dziadek, jak chce, to może mówić zupełnie potoczną angielszczyzną. – Powiedz Pughowi, że się zgadzamy.

– Ale dziadku... – zacząłem.

– Rób, jak ci mówię! – Aż mnie rozboleła głowa, tak stanowczo to powiedział. – Szybko, Saunk! Powiedz Pughowi, że będzie miał to, czego chce.

No cóż, nie śmiałem sprzeczać się z dziadkiem. Ale tym razem mało brakowało, żebym się zbuntował.

To chyba logiczne, że nawet Hogben też w końcu dzieciennieje ze starości, więc pomyślałem, że wreszcie przyszło i na dziadka.

Ale powiedziałem mu w myślach tak:

– Jeśli taka wola dziadka, to tak zrobię, ale bardzo niechętnie. Skoro mamy nóż na gardle, to przynajmniej wypijmy ten kielich goryczy jak przystało na Hogbenów i niech cała ta trucizna zostanie zabutelkowana w Juniorze i się przynajmniej nie rozprzestrzenia po świecie. – A głośno zwróciłem się do pana Puga: – W porządku, panie Pugh – odezwałem się naprawdę potulnie. – Będzie jak pan sobie życzy. Tylko zdejmijcie ten urok z wujka. I to szybko, zanim będzie za późno.

## Rozdział 4. Pughowie podbijają świat.

Pan Pugh miał wielki, żółty automobil, nisko zawieszony i bez dachu. A jeździł nim piekielnie szybko. No i oczywiście z piekielnym hałasem. Raz byłem przekonany, że przejechaliśmy małego chłopca, ale pan Pugh nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, a ja nie śmiałem nic powiedzieć. Jak się wyraził dziadek, mieliśmy nóż na gardle.

Było masę gadania, zanim ich przekonałem, że muszę najpierw pojechać do domu. Takie miałem polecenie od dziadka.

– Ale skąd ja mogę wiedzieć, czy nas nie zamordujecie z zimną krwią tam, na tym waszym pustkowiu? – zapytał pan Pugh.

– Mógłbym was zabić nawet i tutaj, gdybym chciał – odparłem. – I jeśli dziadek mówi nie, to jest pan zupełnie bezpieczny. Jeszcze nigdy żaden Hogben nie złamał słowa.

No więc się w końcu zgodził, głównie dla tego, że mu powiedziałem, że u nas nie ma mowy o żadnych czarach poza terenem domu. Załadowaliśmy wujka Lema na tył samochodu i ruszyliśmy w stronę wzgórz. Po awanturze z doktorem oczywiście.

Wujek Lem jest naprawdę bardzo uparty. Za żadne skarby nie chciał się obudzić, ale Junior zdjął z niego urok i to mu przynajmniej wróciło normalny, zdrowy kolor twarzy. Doktor nie mógł własnym oczom uwierzyć. Pan Pugh musiał mu nieźle zagrozić, żeby nas puścił. Jak odjeżdżaliśmy, siedział na krawężniku, mamrotał coś pod nosem i przecierał oczy, jakby był zamroczony.

Przez całą drogę czułem, jak dziadek studiuje Pughów przez moje myśli. Wzdychał i potrząsał głową – taką, jaką tam ma – i coś kombinował, czego ni w ząb nie mogłem pojąć.

Kiedy zajechaliśmy przed dom, nie było żywego ducha. Słyszałem jak dziadek mamrocze coś i przewraca się na swoim jutowym worku na strychu, ale tata był niewidzialny, a jednocześnie zbyt pijany na to, żeby mi powiedzieć, gdzie jest, kiedy go o to spytałem. Bobas spał. Mama jeszcze nie wróciła z zebrania parafialnego i dziadek kazał dać jej spokój.

– Załatwimy to we dwóch, Saunk – rzekł, jak tylko wysiadłem z samochodu. – Przemyślałem sprawę. Pamiętasz te sanki, co je rano przysposobiłeś do zakwaszania śmietanki dla mamy? Wyciągnij no je, chłopcze.

W mgnieniu oka zrozumiałem, o co mu chodzi.

– O, nie, dziadku! – krzyknąłem, całkiem głośno.

– Do kogo mówiłeś? – zapytał Ed Pugh gramoląc się z samochodu. – Nikogo nie widzę. To wasze obejście? Co za ohydna rudera. Trzymaj się mnie, Junior. Nie ufam tym ludziom ani trochę, jeśli nie patrzę im cały czas na ręce.

– Wyjmuj sanki – powtórzył dziadem bardzo stanowczo. – Mam już wszystko obmyślane. Wyślemy tych dwóch goryli w przeszłość, tam, gdzie jest ich miejsce.

– Ale dziadku! – wrzasnąłem, tyle, że tym razem w myślach. – Omówmy tę sprawę. Chciałbym, żeby mama przy tym była. A i tata jest na trzeźwo całkiem niegłupi. Dlaczego nie poczekamy, aż się obudzi? Uważam, że i Bobasa powinniśmy wciągnąć do pomocy. Nie wydaje mi się, dziadku, żeby wysłanie ich w przeszłość było dobrym pomysłem.

– Bobas śpi – odparł dziadek. – Zostaw go w spokoju. Zasnął nad Einsteinem, moje biedactwo.

Najbardziej niepokoiło mnie to, że dziadek mówił zwykłą potoczną angielszczyzną. Nigdy tego nie robi, kiedy czuje się normalnie. Pomyślałem sobie, że to chyba sędziwy wiek rzucił mu się na... jakby tu powiedzieć... na głowę.

– Dziadku – odezwałem się usiłując zachować spokój. – Czy ty nie widzisz? Przecież jeżeli wyślemy ich w przeszłość i damy im to, cośmy obiecali, to tylko pogorszy sprawę, milion razy! A może masz zamiar wysadzić ich w roku pierwszym i złamać obietnicę?

– Saunk! – przywołał mnie dziadek do porządku.

– Wiem, dziadku. Jeżeli obiecaliśmy, że ród Pughów nie wygaśnie, to musimy tak zrobić, żeby nie wygasł. Ale jeżeli wyślemy ich w rok pierwszy, to znaczy, że przez cały czas pomiędzy tym rokiem a teraźniejszością. Pughowie będą się mnożyli i mnożyli. Z każdym pokoleniem będzie ich coraz więcej. Dziadku, zrozum, że zaraz jak wylądują w roku pierwszym, grozi mi, że moje oczy zbiegną się razem, a twarz zrobi mi się tłusta i ciastowata jak u juniora. Dziadku, jeżeli damy im tyle czasu na rozmnażanie, to przecież każdy człowiek na świecie będzie wkrótce Pughiem!

– Przestać pielesić, ty przygłupie! – wykrzyknął dziadek. – Rób jak ci każę, durniu jeden!

Od razu poczułem się trochę lepiej, ale nie bardzo. Poszedłem i wyciągnąłem sanki. Pan Pugh zaczął się oczywiście wyklócać.

– Nie jeździłem na sankach, odkąd byłem taki mały – powiedział. – Dlaczego miałbym jeździć teraz? W tym się kryje jakiś podstęp. Nic z tego.

Junior usiłował mnie ugryźć.

– Panie Pugh – odezwałem się – albo pan nam przestanie przeszkadzać, albo nic z tego nie będzie. Wiem, co robię. Niech pan tu podejdzie i usiądzie. Junior tu z przodu jest miejsce dla ciebie. O, tak, dobrze.

Gdyby Ed Pugh nie widział, jak bardzo jestem zmartwiony, nigdy by tego nie zrobił. Ale nie potrafiłem ukryć, co czuję.

– Gdzie jest twój dziadek? – zapytał niepewnie. – Chyba nie zamierzasz dokonać tego zupełnie sam, co? Taki młody głupek jak ty. To mi się wcale nie podoba. I co będzie, jeśli popełnisz jakiś błąd?

– Daliśmy słowo – przypominałem mu. – A teraz łaskawie niech się pan zamknie i pozwoli mi się skupić. Chyba że pan nie chce żeby ród Pughów nie wygasł?

– Taka była wasza obietnica – powiedział sadowiąc się na sankach. – Musisz nam to zapewnić. Powiedz mi, jak będziesz zaczynał.

– W porządku, Saunk – odezwał się dziadek z poddasza całkiem dziarsko. – A teraz patrz. Może się nauczysz tego i owego. Patrz dobrze. Skup wzrok i wybierz sobie jakiś gen. Jakikolwiek.

Niezależnie od tego, że cała sprawa zupełnie mi się nie podobała, nie mogłem nie odczuwać zainteresowania. Bo jak już

dziadek coś robi, to robi ciekawie. Geny to piekielnie śliskie, wrzecionowate stworzonka, do tego jeszcze malusienkie. Mają partnerów w takich chudych facecikach, chromosomach, i występują parami – pełno ich widać wszędzie, jak już się odpowiednio nastawi wzrok.

– Porządna dawka ultrafioletu powinna załatwić sprawę – mruknął dziadek. – Saunk, ty jesteś bliżej.

– Dobrze, dziadku – odpowiedziałem i zakręciłem światłem, które przesączało się przez sosny nad głowami Pughów.

Ultrafiolet to jest kolor występujący po drugiej stronie widma, tam gdzie barwy dla większości ludzi nie mają już nazw.

Dziadek rzekł:

– Dziękuję ci, wnuku. Tak trzymaj.

Geny zaczęły wirować dokładnie w tym samym rytmie co fale świetlne. Junior powiedział:

– Tata, coś mnie łaskocze.

– Zamknij się – odparł Ed Pugh.

Dziadek mamrotał pod nosem. Jestem przekonany, że kradł słowa temu profesorowi, co go trzymamy w butelce, ale z dziadkiem nigdy nie wiadomo. Może to on je w ogóle od początku wymyślił?

– Euchromatyna – mruczał cały czas. – To powinno sprawę załatwić. Ultrafiolet powoduje mutację dziedziczną, a euchromatyna zawiera geny, które przekazują dziedziczność. Ale to ta druga substancja, heterochromatyna, wywołuje katastrofalne zmiany ewolucyjne.

Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Zawsze się przyda nowy gatunek. Hmmm. Sześciokrotna porcja aktywności heterochromatynowej powinna wystarczyć. – Na chwilę zamilkł. A następnie podjął: – Ich am eldre and ek magti!

W porządku, Saunk, zabieraj ultrafiolet.

Cofnąłem go z powrotem na miejsce.

– Rok pierwszy dziadku? – spytałem pełen wątpliwości.

– To wystarczy – odparł. – Znasz–li drogę?

– O tak – zapewniłem go, schyliłem się i popchnąłem sanki.

Ostatnią rzeczą jaką słyszałem, był wrzask pana Pugh'a.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknął. – O co tu chodzi? No, Hogben, gadaj! Gdzie my jedziemy? Ostrzegam cię, Saunk, że jeśli szykujesz jakiś głupi kawał, to cię poszczuję Juniorem. Rzucę na ciebie taki urok, że nawet ty...

Jego krzyk robił się coraz cieńszy i cichszy, i taki daleki, że w końcu przypominał brzęczenie komara. A potem w naszym obejściu zapanowała wielka cisza.

Stałem, cały napięty, gotów bronić się przed zamienieniem się w Pugh'a z całych sił. Te małe geny to straszne szelmy.

Wiedziałem, że dziadek popełnił fatalny błąd.

W momencie kiedy Pughowie rąbnęli w rok pierwszy, odbili się i odskoczyli kawałek w czasie, wiedziałem, co się będzie działo.

Nie pamiętam dokładnie, ile lat temu był rok pierwszy, ale jedno jest pewne, że mieli dość czasu, żeby zaludnić całą planetę. Przytknąłem dwa palce do nosa, żeby oczy mi się nie zbiegły, kiedy poczułem, że ruszyły ku sobie, jak to u nas, Pughów...

– Jeszcze nie jesteś Pughiem, synu – powiedział dziadek z chichotem. – Widzisz ich?

– Nie. A co się dzieje?

– Sanki zaczynają zwalniać – rzekł dziadek. – O, zatrzymały się. No, mamy rok pierwszy. Popatrz, jak ci wszyscy ludzie jaskiniowi się pchają, żeby powitać swoich nowych towarzyszy. No, no, no, ale mają bary. Szersze niż tata Pugh.

A spójrz na te kobiety. Do kaduka, mały Junior jest przy nich kompletnie przystojny. Jak przyjdzie czas, nie będzie miał kłopotu ze znalezieniem żony.

– Ale, dziadku, to jest okropne... – zaprotestowałem.

– Nie sprzeczasz się ze starszymi, Saunk – zachichotał dziadek. – Tylko patrz. Junior już działa. O, widzisz, jakiś dzieciak upadł na swoją paskudną buźkę. Zobacz, jak Junior obrywa kopa w tyłek od jego matki. A ojciec malca zaraz dorwie tatę Pugh'a. Popatrz, popatrz, jak się leją! Tylko spójrz! Ja myślę, Saunk, żeśmy dobrze się zajęli rodziną Pughów.

– Ale co z naszą rodziną? – zapytałem niemal z płaczem.

– Już ty się nie martw – odparł dziadek. – Czas robi swoje. Poczekaj chwileczkę. Muszę się przyjrzeć. Hmmm. Jedno pokolenie to wcale nie tak długo, jak się umie patrzeć. O, już mamy dziesięciu małych Pughów. Ajajaj, co za potworki! Skóra zdjeta z taty i dziadka.

Szkoda, że Lily Lou Mutz nie może zobaczyć swoich wnuków, naprawdę żałuję. Patrzaj no tylko, czy to nie sprytne? Każdy z tych malców dorasta w okamgnieniu i każdy ma zaraz dziesięcioro małych. Lubię widzieć, jak moje obietnice się sprawdzają, Saunk. Powiedziałem, że mu to załatwię, i załatwiłem.

Jęknąłem tylko.

– W porządku – rzekł dziadek. – Przeskoczmy sobie kilka wieków do przodu. Oho, są w dalszym ciągu i mnożą się jak szaleni. I rodzinne podobieństwo dalej bardzo silne. Hmmm... Jeszcze tysiąc lat i – proszę! Przecież to starożytna Grecja! Nic się nie zmieniło. Co ty wiesz, Saunk! – zaczął chichotać, aż zrobił się czerwony na twarzy. – Pamiętasz może, jak ci kiedyś mówiłem, że Lily Lou Mutz przypominała mi taką moją starą przyjaciółkę Gorgonę? Nic dziwnego. To całkiem naturalne. Powinieneś zobaczyć pra–pra–prawniki Lily Lou! A właściwie to nie, lepiej, że ich nie widzisz. No, no, no, to jest naprawdę interesujące.

Przez jakieś trzy minuty dziadek siedział cicho, a potem usłyszałem jak się śmieje.

– Jest! Pierwszy wybuch heterochromatynowy. Teraz zaczynają się zmiany.

– Jakie zmiany, dziadku? – zapytałem. Czuję się strasznie.

– Zmiany – odparł – które dowodzą, że twój dziadek nie jest taki głupi, za jakiego go miałeś. Wiem co robię. Niech się tylko zaczną, to już później pójdzie szybko. O, druga zmiana. Popatrz tylko na mutacje tych malutkich genów!

– To znaczy, dziadku, że ja się mimo wszystko nie zamienię w Pugh'a? Ale, dziadku, ja myślałem, że obiecaliśmy Pughom, że ich ród nigdy nie wygaśnie?

– I dotrzymujemy obietnicy – odparł dziadek z godnością. – Geny będą przekazywały cechy Pughów aż do pierwszych trąb sądu ostatecznego, tak jak powiedziałem. A wraz z nimi i moc czarodziejską. – Roześmiał się. – No, trzymaj się, Saunk – ostrzegał mnie. – Kiedy tata Pugh odjeżdżał do roku pierwszego, rzucił groźbę, o ile dobrze pamiętam, prawda? I nie żartował. Zaraz cię dosięgnie, uważaj.

– O Boże! – jęknąłem. – Do czasu, kiedy się tu znajdą będzie ich już milion. Co robić dziadku?!

– No cóż, szykuj się – odparł dziadek bardzo niesympatycznie. – Milion, powiadasz? Skąd! Znacznie więcej.

– Ilu? – spytałem.

Zaczął mówić. Możecie mi wierzyć, albo nie, ale mówi mi do tej pory. Tak długo to trwa. Bo tylu ich jest.

Bo to było mniej więcej tak jak z rodziną Jukesów<sup>2</sup>, która mieszkała na południe od nas. Ci źli byli zawsze ciut – ciut gorsi od swoich dzieci i ten sam cholerny przypadek przytrafił się Gene'owi Chromosomowi i jego, jakby tu powiedzieć, całemu szczepowi. Pughowie zostali Pughami i zachowali swoją czarodziejską moc. No i mimo wszystko trzeba przyznać, że opanowali świat.

Ale mogło być gorzej. Mogli na przykład zachować swój wzrost. A zamiast tego zrobili się mniejsi – dużo mniejsi. Kiedy ich znałem, byli więksi od przeciętnego człowieka – a przynajmniej tata Pugh.

Ale jak już się przefiltrowali przez tyle pokoleń, od roku pierwszego, to się skurczyli do tego stopnia, że wielkością przypominali te maleńkie blade stworzonka, co to siedzą we krwi. No i wzięli niezłe cięgi.

Geny Pughów tak oberwały na skutek wybuchów aktywności heterochromatynowej, o których mówił mi dziadek, że zupełnie straciły fason. Można je było śmiało nazwać teraz wirusami, no a wirus to oczywiście to samo co gen, tyle że trochę zwawszy. Ale, mój Boże, to tak samo, jakby ktoś powiedział, że chłopcy Jukesów są dokładnie tacy jak George Washington!

W pewnym momencie – poczułem. Zły urok rąbnął mnie, i to porządnie.

Kichnąłem jak z armaty. A potem usłyszałem, jak i wujek Lem, który w dalszym ciągu leżał w tym żółtym samochodzie, kicha przez sen. Dziadek dalej truł o tym, ilu to Pughów się na mnie właśnie szykuje, więc nie było sensu zadawać żadnych pytań. Nastawiłem oczy inaczej i spojrzałem w sam środek tego kichnięcia, żeby zobaczyć, co mnie tak połaskotało...

Rany! W życiu nie widzieliśmy tylu Pughów Juniorów naraz! I to był oczywiście ten urok. Załatwiali tak zresztą wszystkich dokoła – jak popadło. I będą to robili zawsze, no bo ich ród, zgodnie z obietnicą dziadka, ma nigdy nie wygasnąć.

Podobno niektórych wirusów nie da się zobaczyć nawet przez mikroskop. Uczonych czeka jeszcze niezła niespodzianka. Kiedyś, kiedy się nauczą naprawdę nastawiać wzrok i przyglądać im rzeczywiście z bliska, to zobaczą, jak te małe ohydki o ciastowatych gębach, z oczkami prawie jedno na drugim, uwijają się jak w ukropie, na wszystkich dokoła rzucając urok.

Trwało to dość długo – bo od roku pierwszego – ale Gene Chromosom jakoś sobie wreszcie z pomocą dziadka poradził. Pugh Junior, jakby tu powiedzieć... to już nie jest ta dawna gangrena. Zaledwie migrena, choć muszę przyznać, że i to też nic przyjemnego.

---

<sup>2</sup> Jukes – fikcyjne nazwisko rodziny, na której amerykański dziewiętnastowieczny socjolog Richard L. Dugdale przeprowadzał badania dotyczące dziedzicznych skłonności do zbrodni, występku i chorób

## Idealna skrytka.<sup>3</sup>

Galloway grał ze słuchu – byłoby to zupełnie naturalne, gdyby był muzykiem, ale Galloway był uczonym. Zapijaczonym i narwanym, ale dobrym. Chciał być eksperymentującym technikiem i byłby w tym prawdopodobnie wybitny, ponieważ chwilami miał przebłycki geniuszu. Niestety, brakło mu funduszy na tak wyspecjalizowane studia i dlatego Galloway, z zawodu konserwator integratorów, utrzymywał swoje laboratorium jedynie jako hobby. Było to najkoszarniej wyglądające laboratorium w całych sześciu stanach. Dziesięć miesięcy spędził budując urządzenie, które nazwał organami alkoholowymi i które zajmowało prawie całą przestrzeń. Mógł leżąc na wygodnej, miękkiej kanapie i naciskając guziki wstrzykiwać do swego wygarbowanego gardła trunki cudownej jakości, różnorodności i ilości. Ponieważ jednak zbudował organy w przewlekłym stanie upojenia alkoholowego, nie pamiętał naturalnie zasady ich budowy. W pewnym sensie należało tego żałować.

W laboratorium było wszystkiego po trochu, większość rzeczy zupełnie ni przypiął, ni przyłatał. Reostaty miały maleńkie spódniczki jak baletnice i puste uśmiechy na glinianych twarzach. Dynamo rzucało się w oczy nazwą Monstrum, a nieco mniejsze etykietą głoszącą: Bełkotka. W szklanej retortie siedział porcelanowy królik i tylko Galloway wiedział, jak on się tam znalazł. Zaraz za drzwiami warował ohydny pies z żelaza, pierwotnie przeznaczony na ozdobę wiktoriańskich trawników czy może wrót piekielnych. Obecnie jego puste oczodoły służyły za uchwyty do próbek.

– Ale jak ty to robisz? – spytał Vanning.

Galloway, którego wychudzona postać spoczywała rozciągnięta pod organami alkoholowymi, wstrzyknął sobie do ust podwójne martini.

– He?

– Słyszałeś przecież. Mógłbym ci zapewnić wspaniałą posadę, gdybyś potrafił robić użytek z tego swojego zwariowanego łba albo przynajmniej zaczął o siebie dbać.

– Próbowałem – mruknął Galloway. – Nic z tego. Nie mogę pracować, kiedy się skupię. Chyba że robię coś mechanicznego. Moja podświadomość musi mieć bardzo wysoki iloraz inteligencji.

Vanning, przysadzisty, niewysoki mężczyzna z pobliźnioną twarzą, uderzał obcasami w Monstrum. Czasami Galloway go martwił. Ten człowiek naprawdę nie zdawał sobie sprawy ze swoich możliwości ani z tego, jak wiele mogły one znaczyć dla Horace'a Vanninga, eksperta handlowego. „Handel” był naturalnie czymś całkowicie legalnym, ale skomplikowane stosunki ekonomiczne roku 1970 pozostawiły wiele furtek, w które człowiek inteligentny mógł się wcisnąć. Prawdę powiedziawszy, Vanning zajmował się pokątnym doradztwem. Było to zajęcie popłatne. Gruntowna znajomość prawa należała w tych czasach do rzadkości. Przepisy stanowiły taki gąszcz, że studiowanie prawa wymagało wieloletniego przygotowania. Ale Vanning miał wspaniale wyszkolony personel, ogromną bibliotekę zawierającą wszelkie możliwe przepisy, decyzje i dane, tak, że za przyzwoite honorarium mógłby powiedzieć na przykład doktorowi Crippenowi, jak bezpiecznie uniknąć stryczka.

Bardziej szemrane interesy załatwiał ściśle poufnie, bez żadnych pomocników. Na przykład takiej neurostrzelby...

Galloway wynalazł tę niezwykłą broń nie zdając sobie nawet sprawy z jej znaczenia. Pewnego wieczoru, kiedy nawaliła mu spawarka, sklecił ją po prostu zlepiając do kupy poszczególne części przyklepcem. Galloway dał to urządzenie Vanningowi, ale Vanning nie trzymał strzelby długo. Zarobił już tysiące kredytów pożyczając ją potencjalnym mordercom. Czym przysporzył policji niemało kłopotu.

Na przykład przychodził do niego człowiek z branży i mówił:

– Słyszałem, że pan potrafi pomóc, nawet jak komuś grozi wyrok za morderstwo. Gdybym na przykład...

– Wolnego! Nie mogę do czegoś takiego przykładać ręki.

– Hmm. Ale...

– Teoretycznie rzecz biorąc, przypuszczam, że zbrodnia doskonała jest możliwa. Przypuśćmy, że został wynaleziony nowy rodzaj broni, i przypuśćmy, przykładowo, że znajduje się ona w schowku na Raketodromie Pasażerskim w Newark.

– Hmm?

– Ja tak tylko teoretyzuję. Sejf numer 79 kombinacja szyfrowa trzydzieści–coś–tam–osiem. Te drobne szczegóły zawsze pomagają w unaocznieniu teorii, nieprawdaż?

– Pan chce powiedzieć...

– Naturalnie, gdyby nasz morderca dorwał się do tej teoretycznej broni i się nią posłużył, byłby na tyle sprytny, żeby mieć w pogotowiu skrytkę pocztową na adres... powiedzmy: Sejf 40, Brooklyń Port. Mógłby wrzucić broń do skrytki, zapieczętować ją i pozbyć się obciążającego dowodu na pasie transmisyjnym najbliższego urzędu pocztowego. Ale to wszystko oczywiście teoria. Przykro mi bardzo, że nie mogę panu pomóc. Honorarium za rozmowę – trzy tysiące kredytów. Recepcjonistka przyjmie od pana czek.

Wyrok skazujący byłby w takim przypadku niemożliwy. Precedens: orzeczenie sądu 875–M, policja stanu Illinois, sprawa Dubsona z oskarżenia publicznego. Przyczyna śmierci musi zostać stwierdzona. Należy wziąć pod uwagę możliwość wypadku. Jak stwierdził sędzia sądu najwyższego Duckett podczas procesu Sanderson kontra Sanderson, gdzie chodziło o śmierć teściowej oskarżonego...

Bezwzględnie prokurator ze swoim sztabem biegłych toksykologów musi się zgodzić, że...

Krótko mówiąc, Wysoki Sądzie, zgłaszam wniosek o umorzenie sprawy z braku dowodów i niemożliwości wyjaśnienia przyczyn śmierci...

---

<sup>3</sup> W późniejszych opowiadaniach ze zwariowanym uczonym w roli głównego bohatera Galloway występuje jako Galloway Gallegher albo tylko jako Gallegher

Do Gallowaya nigdy nie dotarło, że jego neurostrzelba jest taką niebezpieczną bronią. Ale Vanning nawiedzał jego niechlujne laboratorium, zachłannie śledząc wyniki naukowych igraszek przyjaciela. Niejeden raz zyskał w ten sposób jakieś pożyteczne urządzenie. Kłopot polegał jednak na tym, że Galloway nie chciał pracować!

Łyknął jeszcze raz martini, potrząsnął głową i wyciągnął swoje chude ciało. Mrugając podszedł leniwie do zawalonego różnym rupieciami stołu laboratoryjnego i zaczął się bawić kawałkami drutu.

– Coś robisz?

– Nie wiem. Bawię się. Bo tak właśnie jest. Po prostu składam różne rzeczy do kupy i czasami coś z tego wychodzi. Tyle, że nigdy nie wiem co. Tsss. – Galloway zostawił druty i wrócił na kanapę. – A, do diabła z tym wszystkim.

Dziwadło, pomyślał Vanning. Galloway był facetem z gruntu amoralnym, zupełnie nie na miejscu w tym skomplikowanym świecie. Z przewrotnym rozbawieniem patrzył na świat ze swojego osobistego punktu obserwacyjnego niemal zupełnie obojętnie. No i robił różne rzeczy...

Ale wyłącznie dla własnej przyjemności. Vanning westchnął i rozejrzał się po laboratorium – jego pedantyczna dusza cierpiała męki na widok pobojowiska. Machinalnie schylił się po zmięty fartuch leżący na podłodze i poszukał wzrokiem jakiegoś haczyka. Oczywiście nic takiego nie znalazł. Galloway, który cierpiał na brak metali przewodzących, już dawno powyrzywał ze ścian wszystkie haki i wykorzystał na różne sposoby.

Tak zwany uczony, z półprzymkniętymi oczyma, przyrządzał sobie klina. Vanning podszedł do stojącej w kącie metalowej szafki i ją otworzył. Nie było tam żadnych wieszaków, wobec czego poskładał fartuch porządnie i położył na dnie. Po czym wrócił na swoje stanowisko na Monstrum.

– Napijesz się? – spytał Galloway.

Vanning potrząsnął głową.

– Nie, dziękuję. Mam jutro sprawę.

– Zawsze jest jeszcze tiamina. Paskudztwo. Ja pracuję znacznie lepiej, jak mam mózg obłożony poduszkami pneumatycznymi.

– A ja nie.

– To tylko kwestia wprawy – mruknął Galloway – do której może dojść każdy, jeśli tylko... Na co się tak gapisz?

– Ta szafka... – powiedział Vanning zdziwiony marszcząc czoło. – Zaraz, co to takiego... – Wstał: Metalowe drzwi pozostały niedomknięte i właśnie się otworzyły. A po fartuchu, który Vanning umieścił w metalowej przegródce, nie było śladu.

– To farba – wyjaśnił sennie Galloway. – Coś w rodzaju impregnacji. Zbombardowałem wewnątrz tej szafki promieniami gamma. Ale nie nadaje się do niczego.

Vanning podszedł i przesunął świetlówkę, żeby móc lepiej widzieć. Szafka nie była pusta, jak myślał w pierwszej chwili. Nie było w niej już wprawdzie fartucha, ale za to znajdowała się maleńka banieczka czegoś... bladozielonego i z grubsza biorąc kulistego.

– Czy ona rozpuszcza różne rzeczy? – zapytał wytrzeszczając oczy.

– Aha. Wyciągnij, to zobaczysz.

Vanning nie bardzo się kwapił z wsadzeniem ręki do środka. Znalazł długie uchwyty do probówek i wydłubał nimi kulkę. Była to... Szybko odwrócił głowę. Bolały go oczy. Zielona kulka zmieniała kolor, kształt i wielkość, aż przybrała postać nieforemnego pełzającego ruchu. Nagle uchwyty zrobiły się zadziwiająco ciężkie.

I nic dziwnego. Vanning trzymał w nich fartuch.

– O, takie właśnie płata figle – wyjaśnił obojętnie Galloway. – Musi być po temu jakiś powód. Te rzeczy, które wkładam do szafki robią się małe. Ale jak je wyjmę, wracają do normalnych rozmiarów. Może mógłbym ją sprzedać jakiemuś magikowi – powiedział z powątpiewaniem.

Vanning usiadł mnąc w palcach fartuch, i przyglądając się metalowej szafce. Był to prostopadłościan o wymiarach mniej więcej 3 x 3 x 5, w środku wyłożony czymś, co przypominało szarawą farbę położoną metodą wtryskową, na zewnątrz lśniącoczarne.

– Jak tyś to zrobił?

– Co sam nie wiem. Tak mi jakoś samo wyszło. – Galloway popijał swoją mieszankę piorunującą. – Może to sprawa rozciągliwości wymiarów. Moja impregnacja mogła zmienić zależności czasoprzestrzenne wewnątrz szafki. Ciekawe, co to może znaczyć – mruknął na stronie. – Słowa mnie czasami przerażają.

Vanning pomyślał o analogu sześcianu.

– To znaczy... chcesz powiedzieć, że ta szafka jest większa wewnątrz niż na zewnątrz?

– Paradoks, najrozkoszniejszy pod słońcem paradoks! To ty mi powiedz. Ja przypuszczam, że jej wewnątrz w ogóle nie znajduje się w tym kontinuum czasoprzestrzennym. No, spróbuj tam włożyć ten stół, to zobaczysz. – Galloway nie zrobił najmniejszego wysiłku, by wstać, machnął tylko ręką w kierunku wyżej wzmiankowanego sprzętu.

– Masz rację. Ten stół jest większy od szafki.

– No, jest. Spróbuj go wsunąć po kawałeczku. Najpierw tym rogim. Śmiało.

Vanning zmagął się ze stołem przez chwilę. Mimo niskiego wzrostu był silny, jak to ludzie krępi.

– Połóż szafkę, będzie ci łatwiej.

– Ja... uch... Okay, co dalej?

– No i wmanewruj do środka stół.

Vanning spojrzał zezem na przyjaciela, wrzucił ramionami i spróbował wypełnić jego polecenie. Oczywiście stół nie chciał wejść do szafki. Wszedł tylko róg, a reszta naturalnie utknęła kołysząc się niepewnie pod kątem.

- No i?
- Poczekaj.

Stół poruszył się i powoli osiadł na dnie. Vanningowi opadła szczeka, kiedy patrzył, jak stopniowo wpelza do szafki łagodnym ruchem niezbyt ciężkiego przedmiotu, który tonie w wodzie. Nic go jednak nie wsysało, po prostu jak gdyby się roztopiał. Nie zmienione było tylko to, co wystawało na zewnątrz, ale po trochu zapadało się wszystko.

Vanning nachylił się. Smuga ruchu razila go w oczy. Wewnątrz szafki coś... co zmieniało kontury, kurczyło się, aż przybrało postać kolczastej nieregularnej piramidy w kolorze ciemnej czerwieni.

W najszerszym miejscu, po przekątnej, nie miało nawet i czterech cali.

- Nie wierzę w to – powiedział.

Galloway uśmiechnął się.

- Jak to książę Wellington powiedział do młodszego oficera, była to bardzo mała butelka, sir.
- Zaraz, chwileczkę. Jak ja do diabła mogłem wpakować ośmiostopowy stół do pięciostopowej szafki?
- Dzięki Newtonowi – rzekł Galloway. – Siła ciężkości. Napelnij probówkę wodą, to ci pokażę.
- Poczekaj... No, już. I co teraz?

– Do pełna nalałeś? Dobrze. W szufladzie z napisem „Bezpieczniki” znajdziesz kostki cukru. Połóż kostkę cukru na wierzchu próbówki, tak żeby jednym rogiem dotykała wody.

Vanning zastosował się do polecenia.

- No i co?
- Co widzisz?

– Nic. Cukier nasiąka wodą i roztopia się.

– Ano właśnie – powiedział Galloway z naciskiem. Vanning spojrział na niego w zadumie i odwrócił się do próbówki. Kostka cukru powoli rozpuszczała się i znikala. Po chwili już jej nie było.

– Powietrze i woda to zupełnie inne warunki fizyczne. W powietrzu kostka cukru może istnieć jako kostka cukru. W wodzie tylko jako roztwór. Ten jej róg, który sięga wody, podlega warunkom właściwym wodzie. Zmienia się więc w sensie fizycznym, choć nie w chemicznym. Resztę załatwia siła ciężkości.

– Mów jaśniej.

– Analogia jest wystarczająco jasna, ty głupku. Woda to jakby szczególne warunki panujące wewnątrz szafki. A cukier to stół. No i teraz: cukier wchłonił wodę i stopniowo ją przeniknął, siła ciężkości wciągnęła rozpuszczającą się kostkę do próbówki. Rozumiesz?

– Chyba tak. Stół wchłonił czynnik znajdujący się wewnątrz szafki, tak? Czynnikiem, który sprawił, że stół się skurczył...

– In partos, nie in toto. Po kawałeczku. Możesz przecież wpakować ludzkie ciało do niewielkiego pojemnika z kwasem siarkowym, ale też po kawałku.

– Och – powiedział Vanning spoglądając spode łba na szafkę. – A czy możesz ten stół wyciągnąć z powrotem?

– Sam to zrób. Po prostu wsadź tam rękę i go wyjmij.

– Wsadzić rękę? Nie mam najmniejszej ochoty narazić jej na to, że się rozpuści!

– Nie bój się. Zanim zmiana się zacznie, musi upłynąć kilka minut. Możesz sięgnąć ręką do szafki bez obawy o jakiegokolwiek przykre skutki, pod warunkiem, że nie będziesz trzymał tam ręki dłużej niż jakąś minutę. Zaraz ci pokażę. – Galloway podniósł się leniwie, rozejrzał dokoła i wziął pustą butlę, a następnie włożył ją do szafki.

– Zmiana rzeczywiście nie była natychmiastowa. Dokonywała się powoli – butla zmieniała kształt i wielkość po trochu, aż wreszcie przypominała zniekształcony sześciątka wielkości mniej więcej kostki cukru. Galloway wyjął go i położył na podłodze.

Sześciątka zaczął rosnąć. Aż na powrót przyjął postać butli.

– A teraz stół. Uważaj.

Galloway wyjął niewielką piramidkę, która po chwili wróciła do swej pierwotnej postaci.

– Widzisz? Założę się, że jakieś przedsięwzięcie zajmujące się składowaniem wiele by za to dało. Można by tam pomieścić wszystkie meble z całego Brooklynu, ale byłby kłopot z wyjmowaniem poszczególnych rzeczy. Zmiany natury fizycznej, rozumiesz...

– Trzeba by mieć plan – rzucił Vanning w roztargnieniu. – Sporządzić rysunek znajdujących się wewnątrz przedmiotów i je pozaznaczać.

– Umysł prawniczy – zauważył Galloway. – Napiłbym się czegoś. – Wrócił na kanapę i zamknął syfon w śmiertelnym uścisku.

– Dam ci za tę szafkę sześć kredytów – zaproponował Vanning.

– Jest twoja. Zresztą i tak zajmuje mi za dużo miejsca. Szkoda, że jej samej nie mogę włożyć do środka. – Uczony zaśmiał się swobodnie. – To zabawne.

– Tak uważasz? – rzekł Vanning. – Wyjął z portfela kupony kredytowe. – Gdzie mam położyć forszę?

– Wsadź do Monstrum. Ono pełni rolę mojego banku... Dzięki.

– No tak... Wiesz co, wyjaśnij mi trochę bliżej tę sztuczkę z kostką cukru. Bo to przecież nie sama siła ciężkości wciąga kostkę do próbówki, prawda? Czy to przypadkiem nie woda przenika cukier...

– Masz rację. Osmoza. Nie. Osmoza ma coś wspólnego z jajami. Czy może to jest owulacja? Przewodnictwo, konwekcja, absorpcja! Szkoda, że nie studiowałem fizyki, znałbym wtedy właściwe słowa. A tak – jestem kompletny osioł. – Galloway pociągnął z syfonu.

– Absorpcja – Vanning spoglądał spode łba. – To nie tylko na tym polega, że cukier wchłania wodę. To... to... w tym szczególnym przypadku... stół jak gdyby nasiąkał warunkami panującymi wewnątrz szafki.

– Jak gąbka albo bibuła.

– Co, stół?

– Ja – odparł zwięźle Galloway i pogrążył się w pełnej zadowolenia ciszy, przerywanej jedynie od czasu do czasu bulgotaniem, kiedy akurat wlewał sobie do przepitego gardła alkohol. Vanning westchnął i odwrócił się do szafki. Zanim ją uniósł w swoich muskularnych ramionach, starannie zamknął drzwiczki na klucz.

– Idziesz? No, to dobranoc. Wszystkiego dobrego... wszystkiego dobrego...

– Dobranoc.

– Wszyst–kie–go do–bre–go! – zakończył Galloway z melancholijną rytmicznością, układając się do snu.

Vanning westchnął ponownie i wyszedł w nocny chłód. Na niebie lśniły gwiazdy, tylko na południu przyćmiewała je luna Dolnego Manhattanu. Płonące białym światłem wieżowce tworzyły poszarpany wzór. Wielki neon podnosił zalety Vambuliny: „Vambulina cię ożywi”.

Śmigacz Vanninga stał przy krawężniku. Vanning załadował szafkę do środka i ruszył w stronę Hudson Floatway, najkrótszą drogą w kierunku śródmieścia. Przyszedł mu na myśl Poe.

„Skradziony list” ukrywany w ten sposób, że leżał na wierzchu, tyle, że wielokrotnie składany i preadresowany, zmienił swój wygląd zewnętrzny. Rany! Cóż za wspaniały sejf byłby z tej szafki. Żaden złodziej by się nie włamał z tej prostej przyczyny, że nie byłaby zamknięta. Żaden złodziej nie miałby powodu się włamywać. Vanning mógłby napelnić sejf kuponami kredytowymi, które natychmiast stałyby się nierozpoznawalne. Idealna skrytka.

Ale na jakiej zasadzie ona do diabła działa?

Gallowaya nie było o co nawet pytać. Galloway grał ze słuchu. Nie wiedział, że pierwiosnek rosnący nad brzegiem rzeki, zwykły pierwiosnek, to *primula vulgaris*. Pojęcie sylogizmu dla niego nie istniało. Dochodził do wniosków bez pomocy przesłanek ogólnych i szczegółowych.

Vanning zastanawiał się. Dwa przedmioty nie mogą przecież zajmować tej samej przestrzeni. A zatem w szafce istnieje jakaś inna przestrzeń...

Ale Vanning zgadywał. A przecież musiała być jakaś właściwa odpowiedź. Vanning jeszcze na nią nie wpadł.

Tymczasem jechał do śródmieścia, kierując swój śmigacz do biurowca, gdzie zajmował całe piętro. Wwiózł szafkę na górę windą towarową. Nie umieścił jej jednak w swoim prywatnym gabinecie. Byłaby to niepotrzebna ostentacja. Wstawił ją do magazynku nasuwając na nią częściowo szafę biurową. Po co pracownicy mieli używać właśnie tej szafki...

Vanning zrobił krok do tyłu i zaczął się zastanawiać. A może...

Rozległ się cichy dzwonek. Zamyślony, nie usłyszał go w pierwszej chwili. Kiedy dzwonek przeniknął do jego świadomości, Vanning poszedł do gabinetu i wcisnął guzik wideofonu. Szara, surowa, brodata twarz mecenasa Hattona wypełniła ekran.

– Dzień dobry – powiedział Vanning.

Hatton skinął głową.

– Usiłowałem pana złapać w domu. Ale nie zdołałem, więc dzwonię do biura...

– Nie sądziłem, że zadzwoni pan teraz. Sprawa jest jutro. Czy nie uważa pan, że trochę za późno na dyskusję?

– Ale Dugan i Synowie chcieli, żebym z panem porozmawiał. Odradzałem im to zresztą.

– Hm?

Hatton ściągnął gęste, ciemne brwi.

– Ja skarżę, jak pan wie. Jest bardzo dużo dowodów przeciwko Macilsonowi.

– Tak pan mówi, ale sprzeniewierzenie jest niesłychanie trudne do udowodnienia.

– Czy ma pan jakieś zastrzeżenia przeciwko skopolaminie?

– Naturalnie – odparł Vanning. – Nie będzie pan stosował wobec mojego klienta wykrywacza kłamstw!

– To spowoduje uprzedzenie ze strony przysięgłych.

– Ale nie ze względu na naturę medyczną. Skopolamina działa fatalnie na Macilsona. Mam na to zaświadczenie.

– Fatalnie to właściwe słowo! – Ton Hattona zabrzmiał ostro. – Pański klient zdefraudował te obligacje i mogę to udowodnić.

– Wartości dwudziestu pięciu tysięcy kredytów, tak? Duża strata dla Dugana i Synów. A co pan sądzi o hipotetycznej sprawie, którą przedstawiłem? Powiedzmy, że te dwadzieścia pięć tysięcy się znajdzie...

– Naturalnie. O, proszę, tu jest wyłącznik. – Vanning podniósł do góry sznur z metalową końcówką. – Ściśle sub rosa.

– To dobrze – odrzekł mecenas Hatton. – Wobec tego mogę panu swobodnie powiedzieć, że pan jest zwykły kanciarz...

– Phi!

– Stary kawał. Z taaaaką brodą. Macilson zwędził pięć kawałków w obligacjach wymienialnych na kredyty. Rewidenci już to sprawdzają. A potem przychodzi do pana i pan go namawia, żeby wziął jeszcze dwadzieścia tysięcy i zaproponował, że je odda, o ile Dugan i Synowie nie będą skarżyć. No i dzielcie się tymi pięcioma tysiącami. Co w nieruchomościach wcale nie jest tak mało.

– Do niczego takiego się nie przyznaję.

– Jasne, że nie. Nawet w rozmowie na linii prywatnej. Ale to się rozumie samo przez się. Tylko, że numer jest stary i moi klienci nie zamierzają się z panem cackać, oddają sprawę do sądu.

– Zadzwonił pan tylko po to, żeby mi to powiedzieć?

– Nie, chcę po prostu wyjaśnić z panem sprawę przysięgłych. Czy zgadza się pan na użycie skopolaminy w stosunku do nich?

– W porządku – odparł Vanning. Nie interesowali go przysięgli. Będzie wygrywał subtelności prawne. Z przysięgłymi poddanymi próbie na skopolaminę szanse są równe. To oszczędzi wiele dni, a może nawet tygodni sporów i szarpaniny.

– Dobrze – mruknął Hatton. – Nie będzie co z pana zbierać.

Vanning odpowiedział umiarkowanie ordynarnym przekleństwem i przerwał połączenie. Świadomość czekającej go pyskówki w sądzie wyparła z jego myśli szafkę działającą na zasadzie czwartego wymiaru i Vanning wyszedł z biura. Później...

Później będzie miał dość czasu, żeby dokładniej zbadać możliwości, jakie krył ów osobliwy schowek. Nie chciał sobie zaprzętać głowy sprawami nieistotnymi. Poszedł do domu, kazał służącej przyrządzić sobie mocnego drinka i padł na łóżko.

A nazajutrz wygrał sprawę. Stosując skomplikowane kruczki prawne i wykorzystując niejasne precedensy. Swój wywód oparł na tym, że obligacje nie zostały wymienione na kredyty rządowe. Zawile tabele ekonomiczne udowodniły to za Vanninga. Wymiana nawet pięciu tysięcy kredytów spowodowałaby falowanie krzywej wykresu, a nic takiego nie nastąpiło. Eksperti Vanninga wdali się w niesamowite szczegóły.

Aby udowodnić winę, trzeba byłoby pokazać albo w sensie dosłownym, albo w drodze wniosku, że obligacje istniały od dwudziestego grudnia, a więc od daty ostatniej kontroli. Jako precedens posłużyła sprawa Donovan kontra Jones.

Hatton zerwał się z miejsca.

– Wysoki sędzie, Jones przyznał się później do defraudacji!

– Co nie ma żadnego wpływu na pierwotną decyzję – odparował Vanning. – Prawo nie działa wstecz. Nie było dowodów.

– Proszę obronę o kontynuowanie.

Obrona kontynuowała wznosząc wspaniale skomplikowany gmach kazuistycznej logiki.

Hatton szalał.

– Wysoki sędzie, ja...

– Jeśli mój czcigodny przeciwnik przedstawi choćby jedną obligację – dosłownie jedną spośród wyżej wspomnianych – poddam się.

Przewodniczący sądu miał ironiczną minę.

– Istotnie, jeśli taki dowód zostanie przedstawiony, oskarżony znajdzie się w więzieniu natychmiast po ogłoszeniu wyroku.

Pan o tym dobrze wie, panie Vanning. Proszę kontynuować.

– Chętnie. A więc według mojej koncepcji owe obligacje nigdy nie istniały. Stanowiły one wynik błędu w liczeniu.

– Błąd w obliczeniach dokonywanych kalkulatorem Pedersona?

– Takie błędy się zdarzają, jak zaraz udowodnię. Chciałbym wezwać mojego następnego świadka...

Świadek, obliczeniowiec, nie prowokowany pytaniami, wyjaśnił, jak to kalkulator Pedersena może się mylić. Podawał przykłady.

Hatton złapał go na jednym z nich.

– Protestuję, Wysoki Sędzie. W Rodezji, jak wszyscy wiedzą, zlokalizowano obiekty ważnej dziedziny przemysłu o charakterze eksperymentalnym. Świadek nie sprecyzował, o jaką produkcję chodzi w tej konkretnej fabryce. Czy przypadkiem nie dla tego, że Zjednoczone Zakłady Hendersona zajmują się głównie rudami radioaktywnymi?

– Świadek jest proszony o udzielenie odpowiedzi.

– Nie mogę. W moich dokumentach nie ma takiej informacji.

– Dość znaczna luka – warknął Hatton. – Radioaktywność uszkadza delikatny mechanizm kalkulatora Pedersona. Ale w biurach firmy Dugan i Synowie nie ma ani radu, ani produktów jego rozkładu.

Wstał Vanning.

– Chciałbym zapytać, czy biura te były ostatnio okadzane.

– Były, jest to wymóg prawny.

– Użyto pewnego typu gazowego chloru.

– Tak.

– Chciałbym wezwać mojego następnego świadka.

Następny świadek, fizyk, a zarazem pracownik Instytutu Ultraradowego, wyjaśnił, że promieniowanie gamma wpływa silnie na chlor, powodując jonizację. Żywe organizmy mogą asymilować produkty rozkładu radu i dalej je przekazywać. Niektórzy klienci firmy Dugan i Synowie byli poddani działaniu radioaktywnemu...

– To śmieszne, Wysoki Sędzie! Czyste teoretyzowanie...

Vanning robił wrażenie urażonego.

– Powołuję się na casus Dangerfield i Austro Produkts, Kalifornia, 1963. Przepis stanowi, że wątpliwości tłumaczy się na korzyść oskarżonego. Ja zmierzam po prostu do tego, że kalkulator Pedersona, którym liczone obligacje, mógł być wadliwy. Jeśli tak było rzeczywiście, to obligacje nie istniały, a zatem mój klient jest niewinny.

– Proszę kontynuować – powiedział sędzia, żalując, że nie jest Jeffreysem<sup>4</sup> i nie może posłać całej tej cholernej bandy na szafot. Prawoznawstwo powinno się opierać na prawie, zamiast stanowić grę w szachy. Ale jest to oczywiście naturalna konsekwencja zawiłości politycznych i ekonomicznych nowoczesnej cywilizacji. Już wtedy było wiadomo, że Vanning wygra sprawę.

No i wygrał. Przysięgli byli zmuszeni uznać racje obrony. W ostatnim desperackim zrywie Hatton zgłosił wniosek formalny i zażądał skopolaminy, ale jego wniosek został oddalony. Vanning mrugnął do swego przeciwnika i zamknął teczkę.

I na tym się skończyło.

Wrócił do swojego biura. O szesnastej trzydzieści zaczęły się kłopoty. Ledwie sekretarka zdążyła zapowiedzieć niejakiego pana Macilsona, kiedy została odepchnięta przez szczupłego, ciemnego mężczyznę w średnim wieku taszczącego zamszową

<sup>4</sup> prawdopodobnie jest to aluzja do znanego z okrucieństwa angielskiego sędziego George'a Jeffrey'sa (1648–1689)

walizkę gigantycznych rozmiarów.

– Vanning, musiałem się z tobą zobaczyć!...

– Wzrok adwokata spochmurniał. Wstał zza biurka i skinieniem głowy odprawił sekretarkę. Kiedy się drzwi za nią zamknęły, zapytał obcesowo:

– Co ty tu robisz? Powiedziałem ci, żebyś się trzymał ode mnie z daleka. Co masz w tej walizie?

– Obligacje – wyjaśnił Macilson niepewnym głosem. – Coś nie wyszło...

– Szalony idioto! Żeby przynosić tutaj te obligacje... – Jednym skokiem Vanning znalazł się przy drzwiach, które zamknął starannie. – Czy nie rozumiesz, że jak tylko Hatton położy na nich łapę, natychmiast znajdziesz się z powrotem za kratkami? A mnie odbiorą prawo wykonywania zawodu?! Wynoś się z tym w tej chwili!

– Ale wysłuchaj mnie, dobrze? Poszedłem z tymi obligacjami do Zjednoczenia Finansowego, tak jak mi powiedziałeś, ale... ale tam już czekał na mnie policjant. Na szczęście w porę go zobaczyłem. Gdyby mnie złapał...

Vanning westchnął głęboko.

– Miałeś przecież zostawić te obligacje na dwa miesiące w skrytce na stacji kolei podziemnej...

Macilson wyciągnął z kieszeni biuletyn.

– Ale rząd ogłosił zamrożenie akcji rudowych i obligacji. W ciągu tygodnia sprawa wejdzie w życie. Nie mogłem w tej sytuacji czekać, pieniądze byłyby zamrożone nie wiadomo jak długo.

– Pokaż no ten biuletyn – Vanning przyjrzał mu się i zaklął cicho. – Skąd to wziąłeś?

– Kupiłem od chłopaka przed więzieniem. Chciałem sprawdzić bieżące notowania rudy.

– Mhm, rozumiem. A nie przyszło ci do głowy, że ten biuletyn może być sfalszowany?

Macilsonowi opadła szczęka.

– Sfalszowany?

– Właśnie. Hatton się domyślił, że chcę cię wyciągnąć z pudła, i miał to w pogotowiu. A ty kupiłeś ten numer. Dostarczyłeś policji dowodów, a mnie postawiłeś w ładnej sytuacji.

– A... ale...

Vanning skrzywił się.

– A jak sądzisz, dlaczego widziałeś tego glinę z Zjednoczeniu Finansowym? Przecież mogli cię capnąć w każdej chwili. Ale oni woleli wystraszyć cię na tyle, żebyś przyszedł do mnie, bo wtedy upieką dwie pieczenie przy jednym ogniu! Dla ciebie paka, a ja się mogę pożegnać z prawem wykonywania zawodu. Cholera!

Macilson oblizwał usta.

– Czy nie mógłbym wyjść tylnymi drzwiami?

– Przez kordon policji, który tam niewątpliwie czeka? Bzdura! Nie bądź gorszym durniem, niż musisz!

– A czy... a czy ty nie możesz tego schować?

– Niby gdzie? Przecież prześwietlają moje biuro promieniami rentgena. Nie, ja po prostu... – Vanning urwał. – Hmmm, ukryć je, mówisz... *U k r y ć...*

Odwrócił się na pięcie do dyktografu.

– Panno Horton? Mam ważną konferencję. Proszę mi nie przeszkadzać pod żadnym pozorem. Gdyby pani ktokolwiek wręczył nakaz rewizji, proszę zażądać potwierdzenia przez centralę. Jasne? Okay.

W Macilsona wstąpiła nadzieja.

– Czy... wszystko jest w porządku?

– Och, zamknij się! – warknął Vanning. – Zaczekaj tu na mnie, zaraz wracam. – Ruszył ku bocznym drzwiom i zniknął.

W zdumiewająco krótkim czasie wrócił taszcząc metalową szafkę. – Pomóż mi... uff... tu, w tym kącie. A teraz się wynoś.

– Ale...

– Spływaj – polecił Vanning. – Sam wiem, co mam robić. Nic nie mów. Aresztują cię, ale bez dowodów nie mogą cię trzymać. Przyjdź, jak tylko cię wypuszczą. – Pchnął Macilsona w kierunku drzwi, otworzył je i wyrzucił gościa. Wrócił do szafki i zajrzał do środka. Była pusta. Z całą pewnością.

Zamszowa walizka...

Dysząc ciężko Vanning wtaszczył ją do szafki. Zajęło mu to trochę czasu, ponieważ walizka była od niej większa. W końcu jednak odetchnął widząc, jak kurczy się i zmienia kształt, aż wreszcie, mała i zdeformowana, zaczyna przypominać wydłużone jajko w kolorze miedzianej centówki.

– Fiu, fiu! – powiedział Vanning, a następnie przysunął się i przyjrzał bliżej. Wewnątrz szafki coś się poruszyło. Zobaczył groteskowe stworzenie, nie wyższe niż na cztery cale. Było to coś zdumiewającego – składało się z samych sześcianów i kątów, było jaskrawozielone i najwyraźniej żywe.

Ktoś zapukał do drzwi.

Małeńkie stworzenie męczyło się nad miedzianym jajkiem. Jak mrówka usiłowało je unieść i przemieścić. Vanninga zatkało; sięgnął do szafki. Stworzenie czwartego wymiaru zrobiło unik. Ale nie dość szybko. Vanning opuścił dłoń i poczuł w niej szamotaninę. Zacisnął pięść.

Ruch zamarł. Vanning wypuścił martwe stworzenie i pośpiesznie wyjął rękę.

Drzwi drżały pod ciosami pięści.

Zamknął szafkę i zawołał:

– Chwileczkę!

– Wyłamujcie – ktoś polecił.

Ale nie było takiej potrzeby. Vanning przybrał bolesny uśmiech i otworzył drzwi. Wszedł Hatton w towarzystwie tęgiego policjanta.

– Mamy Macilsona – powiedział.

– Och? Dlaczego?

Zamiast odpowiedzi Hatton dał znak ręką. Policjanci zaczęli przeszukiwać pokój. Vanning wzruszył ramionami. – Chybaście się zanadto pospieszyli – powiedział. – Włamanie i wejście...

– Mamy nakaz.

– A pod jakim zarzutem?

– Chodzi oczywiście o obligacje – głos Hattona był znużony. – Nie wiem, gdzie pan ukrył tę walizkę, ale ją znajdziemy.

– Jaką walizkę? – chciał koniecznie wiedzieć Vanning.

– Tę, którą miał Macilson, kiedy tu wchodził. Tę samą, której nie miał wychodząc.

– Zabawa skończona – rzekł smutno Vanning. – Poddaję się.

– Hę?

– A jeśli wam powiem, co zrobiłem z walizką, to czy przemówicie za mną?

– No... jasne. A gdzie...

– Zjadłem ją – rzekł Vanning kładąc się na kanapie i szykując do drzemki. Hatton posłał mu przeciągłe, pełne nienawiści spojrzenie. Policjanci wdarli się...

Przeszli obok szafki rzuciwszy okiem do środka. Promienie rentgena nie ujawniły nic w ścianach, podłodze, suficie ani meblach. Pozostałe pomieszczenia biurowe zostały również przeszukane. Vanning przyklaskiwał żmudnemu zajęciu.

Wreszcie Hatton poddał się. Wyczerpał wszystkie możliwości.

– Jutro składam doniesienie – obiecał mu Vanning. – A co do Macilsona, skorzystam z zasady habeas corpus.

– Idź do diabła – burknął Hatton.

– A teraz do widzenia panom.

Vanning zaczął czekać, aż nieproszeni goście się wyniosą. A następnie chichocąc z cicha podszedł do szafki i otworzył drzwi. Jajko miedzianego koloru zniknęło. Vanning macał w środku, ale bezskutecznie.

Doniosłość tego faktu początkowo do niego nie dotarła. Obrócił szafkę frontem do okna i zajrzał ponownie, ale z tym samym skutkiem. Szafka była pusta.

Dwadzieścia pięć tysięcy kredytów w obligacjach rudowych przepadło.

Na Vanninga uderzyły siódme poty. Złapał metalowy sejf i zaczął nim potrząsać. Ale nie pomogło. Przeniósł go w przeciwległy róg pokoju, a sam wrócił na poprzednie miejsce i ze żmudną drobiazgowością zaczął oglądać podłogę.

– Chol...

Czyżby Hatton?

To niemożliwe. Vanning nie spuścił szafki z oka ani na moment, aż do chwili wyjścia policji. Jeden z policjantów otworzył drzwi, zajrzał do środka i zamknął je z powrotem. Od tamtej pory szafka była bez przerwy zamknięta.

Obligacje zniknęły.

Tak samo jak i dziwne stworzenie, które Vanning zgniótł w ręce. A wszystko to razem znaczyło, że... że co?

Vanning podszedł do szafki i starannie zamknął ją na zamek. A następnie otworzył, nie oczekując jednak, że miedziane jajko się pojawi.

I słusznie; nie pojawiło się.

Vanning podszedł do wideofonu i wywołał Gallowaya.

– Co takiego, hm? Och. Co chcesz? – Wychudzona twarz uczonego, jeszcze mizerniejsza z powodu zmęczenia, ukazała się na ekranie. – Mam kaca, a nie mogę używać tiaminy, jestem uczulony. No, jak twoja sprawa?

– Posłuchaj – rzekł Vanning nagłaco. Włożyłem coś do twojej cholernej szafki i straciłem.

– Szafkę? Zabawne.

– Nie. To, co do niej włożyłam... walizkę.

Galloway w zamyśleniu potrząsnął głową.

– Nigdy nie wiadomo, no nie? Pamiętam, jak kiedyś zrobiłem...

– Do diabła z tym. Muszę odzyskać walizkę!

– Klejnot rodzinny? – zapytał Galloway.

– Nie. Tam były pieniądze.

– Czy nie uważasz, że to trochę lekkomyślne z twojej strony? Od roku 1949 żaden bank nie splajtował. Nigdy nie przypuszczałem, Vanning, że jesteś skąpiec. Chciałeś mieć stale forszę przy sobie, żebyś mógł ją pieścić swoimi chciwymi łapskami, co?

– Jesteś pijany.

– Usiłuję być – sprostował Galloway. – Ale z wiekiem nabawiłem się straszliwej odporności na alkohol. Okropnie dużo czasu mi to teraz zabiera. Przez twój telefon jestem dwa i pół drinka do tyłu. Muszę sobie sprawić przedłużacz do organów, żebyś mógł jednocześnie rozmawiać i pić.

Vanning cały czas bełkotał w słuchawkę:

– Moja walizka! Co się z nią stało? Muszę ją odzyskać.

– No cóż, ja jej nie mam.

– A czy nie możesz wykombinować, gdzie ona jest?

– Nie mam pojęcia. Podaj mi szczegóły. Zobaczą, co się da zrobić.

Vanning zastosował się do polecenia, korygując z lekka swoją relację, na ile kazała mu ostrożność.

– Okay – powiedział na koniec Galloway dość niechętnie. – Nienawidzę wysnuwania teorii, ale w drodze wyjątku... moja diagnoza będzie cię kosztowała pięćdziesiąt kredytów.

- Co takiego? Posłuchaj...
- Pięćdziesiąt kredytów – powtórzył Galloway nieustępliwie. – Albo nie będzie diagnozy.
- A skąd ja mogę wiedzieć, że dzięki niej odzyskam walizkę?
- Trzeba się liczyć z tym, że mi się nie uda. Ale jednocześnie jest szansa... Muszę iść do Mechanisty i skorzystać z ich maszyn. A oni sobie słono liczą. Ale potrzebne mi będą kalkulatory o mocy czterdziestu mózgow.
- Okay, okay – mruknął Vanning. – Idź do nich. Zależy mi na tej walizce jak diabli.
- Interesuje mnie ten chrabąszcz, którego rozduśliłeś. Mówiąc szczerze, to jedyny powód, dla którego w ogóle zajmuję się twoją sprawą. Życie w czwartym wymiarze... – ciągnął Galloway mruczając pod nosem. Jego twarz zniknęła z ekranu. Po chwili Vanning przerwał połączenie.
- Jeszcze raz przeszukał szafkę nie znajdując w niej nic. Zamszowa walizka musiała się jakoś ulotnić. Niech to diabli!

Dumając nad swymi kłopotami Vanning włożył płaszcz i poszedł do Manhattan Roof na zakrapianą winem kolację. Było mu siebie żal.

Nazajutrz jego rozczulenie nad sobą jeszcze wzrosło. Próbował skontaktować się z Gallowayem, ale nikt się tam nie zgłaszał, więc po prostu zabijał czas. Około południa wpadł Macilson. Był roztrzęsiony.

- Nie spieszyło ci się specjalnie z wyciągnięciem mnie z pudła – rzucił na wstępie. – No i co dalej? Masz coś do picia?
- Po co ci picie – mruknął Vanning. Sądząc z tego, jak wyglądasz, już się napiłeś. Jedź na Florydę i czekaj, aż się to wszystko przewali.
- Mam dość czekania. Jadę do Ameryki Południowej. Potrzebuję forsy.
- Poczekaj, aż będzie można zrealizować obligacje.
- Biorę obligacje. Połowę. Tak jak się umawialiśmy.
- Oczy Vanninga zwęziły się.
- I wleziesz prosto w łapy policji. Jak dwa a dwa cztery.
- Macilson był wyraźnie nieswój.
- Przyznam, że popełniłem głupi błąd. Ale tym razem nie... tym razem będę mądrzejszy.
- To znaczy zaczekasz.
- W helikopterze na dachu czeka mój przyjaciel. Podrzucę mu obligacje, a potem spokojnie sobie wyjdę. Policja nic przy mnie nie znajdzie.
- Powiedziałem: nie – powtórzył Vanning. – Sprawa jest zbyt ryzykowna.
- Ryzykowna jest teraz. Jeżeli znajdą obligacje...
- Nie znajdą.
- Gdzie je schowałeś?
- To moja sprawa.
- Macilson rzucił nerwowe spojrzenie spode łba.
- Być może. Ale są w tym budynku. Nie mogłeś ich stąd nigdzie przeszwarcować wczoraj, przed przyjściem glin. Nie kuś losu. Czy szukali rentgenem?
- Aha.
- Słyszałem, że Hatton z całą bandą ekspertów bada plany budynku. Znajdzie twój sejf. Ja stąd w każdym razie znikam, zanim do tego dojdzie.
- Vanning pomachał ręką.
- Jesteś historyk. Przecież cię wyciągnąłem, prawda? Mimo, że mało nie spieprzyłeś całej sprawy.
- To prawda – przyznał Macilson pociągając się za wargę. – Ale ja... – zaczął obgryzać paznokcie. – Cholera, przecież ja siedzę na kraterze wulkanu i pod sobą mam jeszcze gniazdo termitów. Nie będę tu sterczał i czekał, aż znajdą obligacje! A od Ameryki Południowej, dokąd się teraz wybieram, nie mogą chyba zażądać ekstradycji.
- Musisz czekać – powtórzył stanowczo Vanning. – To jest twoja jedyna szansa.
- Nagle w rękę Macilsona błysnęła splota.
- Dawaj połowę obligacji. I to już. Nie wierzę ci ani trochę. Myślisz, że będziesz mnie zwodził w nieskończoność? No, do cholery, dajesz forsy czy nie?!
- Nie – odparł Vanning.
- Ja nie żartuję.
- Wiem, że nie żartujesz. Ale ja nie mam tych obligacji.
- Jak to nie masz?
- Czy słyszałeś kiedyś o możliwościach, jakie stwarza czwarty wymiar? – zapytał Vanning nie spuszczać z Macilsona czujnego spojrzenia. – Schowałem walizkę do specjalnego tajnego sejfu. Ale nie mogę go otworzyć przed upływem określonej liczby godzin.
- Mhm... – zadumał się Macilson. – A kiedy...
- Jutro.
- W porządku. To znaczy, że wtedy będziesz miał dla mnie te obligacje, tak?
- O ile przy tym obstajesz. Ale radziłbym ci zmienić zdanie. Byłoby to dla ciebie bezpieczniejsze.
- Zamiast odpowiedzi Macilson uśmiechnął się tylko przez ramię wychodząc. Vanning dłuższy czas siedział bez ruchu. Był przestraszony nie na żarty.

Problem polegał na tym, że Macilson był typem skłonny do stanów maniako – depresyjnych. Mógł rzeczywiście zabić. W tej chwili był w silnym stresie – jako człowiek ścigany i nie mający nic do stracenia. No cóż... należałoby

przedsięwziąć środki ostrożności.

Vanning raz jeszcze zadzwonił do Gallowaya, ale i tym razem nikt się nie odezwał. Nagrał dla niego wiadomość na taśmę i znów ostrożnie zajrzał do szafki. Była pusta – pusta rozpaczliwie.

Wieczorem Vanning odwiedził Gallowaya w jego laboratorium. Uczony robił wrażenie i pijanego, i zmęczonego. Machnął niedbale ręką w kierunku stołu zastanego skrawkami papieru.

– Ale mi zabiłeś klina! Gdybym znał zasady działania tego urządzenia, tobym się bał do niego dotknąć. Siadaj i napij się. Masz te pięćdziesiąt kredytów?

Vanning w milczeniu wręczył Gallowayowi kupony. Galloway wsunął je do Monstrum.

– Dobrze. A teraz... – usadowił się na kanapie. – Teraz zabieramy się do rozwiązywania zagadki za pięćdziesiąt kredytów.

– Czy ja mogę odzyskać walizkę?

– Nie – odparł stanowczo Galloway. – A przynajmniej ja nie widzę takiej możliwości. Ona się znajduje w innym fragmencie czasoprzestrzeni.

– Ale co to znaczy?

– To znaczy, że ta szafka działa trochę jak teleskop, tyle że nie wyłącznie w sferze wizualnej. Stanowi coś w rodzaju okna. Możesz przez nie sięgnąć albo wyjrzeć. Jest to wyjście do *t e r a z* plus X.

Vanning spojrzał spode łba.

– Nic mi nie mówiłeś.

– Wszystko, co do tej pory na ten temat wiem, to tylko teoria i obawiam się, że nic więcej nie będzie. Posłuchaj: na początku się myliłem. Przedmioty wkładane do szafki nie pojawiały się w innej przestrzeni, ponieważ musiałyby istnieć stała przestrzenna. To znaczy wcale by się nie zmniejszały. Rozmiar to rozmiar. Fakt przeniesienia sześcianu o boku jednego cala na Marsa nie zmniejszyłby go ani nie powiększył.

– A co z gęstością środowiska? Czy przedmiot nie uległby zmiążdżeniu?

– Jasne, i pozostałby zmiążdżony. Po wyjęciu z szafki nie powróciłby do swojego poprzedniego rozmiaru ani kształtu. X plus Y nigdy nie równa się XY. Ale X razy Y...

– Równa się co?

– I tu jest właśnie pies pogrzebany – Galloway rozpoczął wykład. – Rzecz, które wkładaliśmy do szafki wędrowały w czas. Ich szybkość czasowa nie ulegała zmianie, czego nie można powiedzieć o warunkach przestrzennych. Dwie rzeczy nie mogą znajdować się jednocześnie w tym samym miejscu. Ergo twoja walizka została wysłana w inny czas: *t e r a z* plus X. A co oznacza w tym przypadku X, nie mam zielonego pojęcia, chociaż podejrzewam, że kilka milionów lat.

Vanning był oszołomiony.

– To znaczy, że walizka jest w przyszłości odległej o milion lat?

– Nie wiem, jak daleko, ale przypuszczam, że bardzo. Brak mi danych do rozwiązania tego równania. Wnioskowałem głównie przez indukcję, ale wyniki są zwiariowane jak diabli. Einstein byłby tym zachwycony. Moja teoria pokazuje, że wszechświat jednocześnie kurczy się i rozciąga.

– Ale co to ma wspólnego...

– Ruch jest względny – ciągnął nieubłaganie Galloway. – To zasada podstawowa. Oczywiście, że wszechświat się rozciąga, rozchodzi się jak gaz, ale jednocześnie jego części składowe się kurczą. To znaczy one nie rosną dosłownie rzecz biorąc rozumiesz, w każdym razie nie słońca ani nie atomy. One po prostu się oddalają od punktu centralnego. Pędzą we wszystkich możliwych kierunkach... zaraz... oczy to ja mówiłem? Aha, po prostu kurczy się wszechświat jako jednostka.

– No to się kurczy. Ale gdzie jest moja walizka?

– Mówiłem ci już. W przyszłości. Doszedłem do tego w drodze rozumowania indukcyjnego. Jest to cudownie proste i logiczne. I zupełnie niemożliwe do udowodnienia. Sto, tysiąc, milion lat temu Ziemia – tak jak i wszechświat – była większa niż teraz. I dalej się kurczy.

Kiedyś, w przyszłości, będzie o połowę mniejsza. Tyle że my tego nie zauważamy, ponieważ i wszechświat będzie proporcjonalnie mniejszy.

Galloway sennie ciągnął dalej:

– Włożyliśmy do szafki stół, który wyłonił się w przyszłości. Bo ta szafka, jak ci mówiłem, to jest jak gdyby okno w inny czas. I na stół oddziaływały warunki typowe dla tego czasu. Stół skurczył się po tym, jak mu daliśmy kilka sekund na wchłonięcie entropii, a może zresztą czegoś tam innego. Czy ja miałem na myśli entropię? Allach jeden wie. No, trudno.

– Zamienił się w piramidę.

– Bo pewnie towarzyszy temu procesowi również i geometryczne zniekształcenie. A może to po prostu złudzenie optyczne. Może nie potrafimy odpowiednio nastawić wzroku. Wątpię, czy w przyszłości rzeczy będą tak naprawdę wyglądały inaczej – poza tym, że będą mniejsze – ale my korzystamy teraz z okna w czwarty wymiar. Fałda czasowa. To tak, jak byśmy patrzyli przez pryzmat czwartego wymiaru.

– Czyli, że moja walizka znajduje się w przyszłości, tak? Ale dlaczego zniknęła z szafki?

– A co z tym małym stworzonkiem, które zgniotłeś? Może miało kumpli? Mogli być niewidzialni, poza bardzo wąskim... jak je tam nazwać... polem widzenia. Pomyśl: kiedyś w przyszłości – za sto, tysiąc czy za milion lat, walizka zjawia się ni z tego, ni z owego nie wiadomo skąd. Jeden z naszych potomków przeprowadza dochodzenie, a ty go nagle zabijasz.

Przychodzą jego kumple i zabierają walizkę. Wynoszą ją poza obręb szafki. Jeśli chodzi o przestrzeń, walizka może być gdziekolwiek, natomiast element czasu jest wielkością nieznaną. *T e r a z* plus X. Na tym właśnie polega działanie tego sejf. No i co ty na to?

– Do diabła! – wybuchnął Vanning. – I to jest wszystko, co masz mi do powiedzenia? Czy mam tę walizkę spisać na straty?

– Aha. Chyba, że sam chcesz się tam po nią wgramolić. Ale Bóg jeden wie, gdzie byś się znalazł. W przeciagu kilku

tysięcy lat proporcje składników powietrza prawdopodobnie by się zmieniły. A może byłyby i inne zmiany.

– Nie jestem taki głupi.

No i proszę. Obligacje zginęły bez nadziei na to, że się odnajdą. Vanning byłby się nawet pogodził ze stratą, gdyby miał pewność, że ubezpieczenie nie wpadnie w ręce policji, ale pozostawał jeszcze problem Macilsona, zwłaszcza potem, jak kula drasnęła okno z gloslexu w biurze Vanninga.

Spotkanie z Macilsonem nie przyniosło pomyślnego rezultatu, ponieważ defraudant był przekonany, że Vanning chce go nabrać. Kiedy go Vanning wyrzucał na siłę, miotał przekleństwa i groźby: pójdzie na policję, przyzna się...

A niech idzie. Nie ma żadnego dowodu. Niech go wszyscy diabli. Dla pewności jednak Vanning postanowił wsadzić do pudła swojego byłego klienta.

Nic z tego nie wyszło. Macilson dał w zęby facetowi, który przywiózł wezwanie na policję i uciekł. A teraz, podejrzewał Vanning, czaił się gdzieś po kątach uzbrojony i gotów go stuknąć. Jak to bywa z typami skłonny do stanów maniacko – depresyjnych.

Vanning zażądał dwóch tajniaków do ochrony, z czego czerpał złośliwą satysfakcję. Wobec zagrożenia życia miał do tego prawo. Do chwili kiedy Macilsona nie unieszkodliwią, Vanning będzie korzystał z ochrony. A już on zadbał o to, żeby tę ochronę stanowili dwaj najtężsi goryle z całej manhattańskiej policji. Przy okazji stwierdził, że polecono im węszyć w sprawie zamszowej walizki.

Vanning zadzwonił do Hattona i uśmiechnął się do ekranu.

– No co, są jakieś sukcesy?

– Co pan ma na myśli?

– Moich goryli. A pańskich kapusiów. Nie znajdą obligacji Hatton. Lepiej nich ich pan odwoła. Czy dwa zadania na raz to nie za dużo dla tych biedaków?

– Wystarczy, że się wywiążą z jednego. Że znajdą dowód rzeczowy. A jeżeli Macilson rozwali panu łeb, nie zmartwię się specjalnie.

– Zobaczymy się w sądzie – powiedział Vanning. – Pan oskarża Watsona, tak?

– Tak. A pan rezygnuje ze skopolaminy, tak?

– W stosunku do przysięgłych? Jasne. Mam sprawę wygraną.

– Tak się tylko panu wydaje – rzekł Hatton i się wyłączył.

Vanning chichocząc włożył płaszcz, wziął swoich goryli i udał się do sądu. Nie było ani śladu Macilsona...

Sprawę wygrał, tak jak się spodziewał. Wrócił do biura, wysłuchał kilku nieistotnych spraw, jakie miała mu do zakomunikowania dziewczyna obsługująca centralkę, i poszedł do swojego prywatnego apartamentu. Kiedy otworzył drzwi, zobaczył w rogu pokoju na dywanie zamszową walizkę.

Zatrzymał się oniemiały z ręką na zasuwie. Za sobą słyszał ciężkie kroki facetów z obstawy. Powiedział przez ramię „chwileczkę” i dał nura do pomieszczeń służbowych zatraskując za sobą drzwi. Doleciał go jeszcze koniec zdumionego pytania.

Walizka. Miał ją przed sobą niewątpliwie. Tak jak niewątpliwie za sobą dwóch tajniaków, którzy po krótkiej naradzie zaczęli walić w drzwi usiłując je wyłamać.

Vanning zzieleniał. Zrobił niepewny krok do przodu i zobaczył szafkę w rogu, w którym ją wtedy postawił. Idealna skrytka...

Otóż to. Jeśli włoży tam walizkę, stanie się ona nierozpoznawalna. Nawet gdyby znów miała zniknąć, to nie ważne. Ważne, żeby się pozbyć i to natychmiast, dowodu obciążającego.

Drzwi zatrzęsły się w zawiasach. Vanning podbiegł chyłkiem do szafki i uniósł ją z podłogi. Kątem oka zobaczył ruch. W powietrzu nad nim pojawiła się ręka. Była to ręka olbrzyma z nieskalanie białym mankietem, który rozplywał się gdzieś w powietrzu. Ogromne palce sięgały w dół...

Vanning wrzasnął i odskoczył. Ale był nie dość szybki. Ręka dosięgła go i Vanning zaczął się bezsilnie tłuc o dłoń, która następnie zamknęła pięść. Kiedy pięść się otworzyła, wypadło z niej to, co pozostało z rozduszonego Vanninga, płamiąc dywan.

Ręka cofnęła się w nicość. Wyważone drzwi wpadły do środka i dwaj tajniacy potykając się o nie wtargnęli do pokoju.

Wkrótce potem przyszedł Hatton ze swoimi ludźmi. Niewiele zresztą mogli zrobić poza posprzątaniem. Zamszowa walizka zawierająca dwadzieścia pięć tysięcy kredytów w obligacjach została wyniesiona w bezpieczniejsze miejsce. Ciało Vanninga pobierano nie bez trudności i odstawiono do kostnicy. Fotografowie błyskali fleszami. Eksperci od daktyloskopii rozpylali proszek, ludzie od rentgena uwijali się ze swoim sprzętem. Wszystko zostało załatwione szybko i sprawnie – w ciągu godziny biuro było puste i zapieczetowane.

Tak więc nie było świadków pojawienia się gigantycznej ręki, która wyłoniła się znikąd, pomacała dokoła, jakby czegoś szukała, i po chwili znikła...

Jedyną osobą, która mogłaby rzucić na tę sprawę jakieś światło, był Galloway, ale jego uwagi, wypowiedane w samotności laboratorium, były skierowane do Monstrum.

– Aha, to dlatego ten stół laboratoryjny zmaterializował się tu wczoraj na kilka minut. Hmmm... *T e r a* z plus X równa się mniej więcej tydzień. Dlaczegoż by nie? Wszystko jest względne. Nigdy nie przypuszczałem, że wszechświat kurczy się w takim tempie!

Wyciągnął się wygodnie na kanapie i wstrzyknął sobie do ust podwójne martini.

– Tak, to jest to – mruknął po chwili. – Phi! Vanning to chyba jedyny facet na świecie, który znalazł się w połowie przyszłego tygodnia i... zginął! Chyba się zaleję.

I zalał się.

## Próżny robot.

Gallegherowi, który jako uczonek grał ze słuchu, zdarzały się różne rzeczy. Jak sam często mówił, był geniuszem z przypadku. Czasem, mając do dyspozycji jedynie kawałek drutu, kilka baterii i zwykły haczyk, potrafił zмайstrować nowy typ agregatu chłodniczego.

W tym momencie akurat leczył się z kaca. Niezdarny, chudy, jak gdyby pozbawiony kości męczyzna, z pasmem ciemnych włosów niesforne opadającym na czoło, leżał na kanapie w swoim laboratorium i obsługiwał mechaniczny barek alkoholowy. Wytrawne martini sączyło się powoli z końcówki przewodu do jego spragnionych ust.

Usiłował sobie coś przypomnieć, ale nie tak znów bardzo. Miało to oczywiście coś wspólnego z robotem. A zresztą wszystko jedno.

– Hej, Joe – odezwał się.

Robot stał dumny przed lustrem i podziwiał swoje wnętrze. Miał przezroczysty tułów, wewnątrz którego szybko obracały się różne tryby.

– Kiedy się do mnie zwracasz – rzekł – to mów szeptem. I zabierz stąd tego kota.

– Nie masz aż tak dobrego słuchu.

– Owszem, mam. A w każdym razie słyszę, jak się skrada kot.

– A jaki to dźwięk? – zainteresował się Gallegher.

– Jak dudnienie bębnow – odparł robot z niewzruszoną miną.

– A jak ty mówisz: grzmot. – Głos Joego przypominał nieharmonijny zgrzyt, tak że Gallegher zastanawiał się, czy nie powiedzieć czegoś na temat szklanych domów rzucając w ten sposób pierwszy kamień. Tymczasem, nie bez wysiłku, skoncentrował uwagę na oszklonych drzwiach wejściowych, za którymi wyrósł cień – znajomy cień – pomyślał Gallegher.

– To jest Brock – oznajmił zapowiadacz. – Harrison Brock. Proszę mnie wpuścić!

– Drzwi są otwarte – Gallegher nawet się nie ruszył. Patrzył uważnie na dobrze ubranego mężczyznę w średnim wieku, który właśnie wszedł, i wytyczał pamięć. Brock był między czterdziestką a pięćdziesiątką, miał wymasowaną i dokładnie ogoloną gładką twarz, a na niej wyraz udręki i nietolerancji. Prawdopodobnie Gallegher go znał; nie był jednak pewien. Móć Boże.

Brock rozejrzał się po dużym, niechlujnym laboratorium, mrugnął w stronę robota i poszukał wzrokiem krzesła, którego nie znalazł. Podparłszy się więc pod boki, huśtając się na piętach, wlepił wzrok w rozwalonego na kanapie wynalazcę.

– No i cóż?

– Nie należy nigdy zaczynać rozmowy w ten sposób – wymamrotał Gallegher wstrzykując sobie do ust kolejne martini. – Dość miałem dzisiaj kłopotów. Niech pan siada i się odpręż. Tam za panem stoi dynamo, mam nadzieję, że nie jest zbyt zakurzone.

– Ma pan to dla mnie czy nie? – warknął Brock. – Tylko tyle chcę wiedzieć. Dałem panu tydzień czasu. Mam w kieszeni czek na dziesięć tysięcy. Interesuje to pana?

– Jasne – Gallegher wyciągnął dużą zachłanną rękę. – Poproszę.

– Cavet emptor, niech czuwa nabywca. A co ja za to dostanę?

– Nie wie pan? – zapytał uczonek, szczerze zakłopotany.

Brock, strapiiony, zaczął podskakiwać.

– O Boże – jęknął. – A powiedzieli mi, że pan jeden mógłby mi pomóc. No tak, ale jednocześnie uprzedzili, że wygzekwowanie od pana czegokolwiek będzie przypominało wyrwanie zębów. Czy pan jest wynalazcą, czy bredzącym kretyńcem?

Gallegher zastanowił się.

– Chwileczkę. Coś mi zaczyna świtać. W ubiegłym tygodniu rozmawiałem z panem, prawda?

– Owszem, rozmawiał pan... – Okrągła twarz Brocka poczerwieniała. – Leżał pan na kanapie, złapał wódkę i deklamował jakąś poezję. Śpiewał pan „Frankie i Johnnie”. Ale wreszcie przyjął pan moje zlecenie.

– Prawdę powiedziawszy – rzekł Gallegher – byłem pijany. Często zresztą bywam. Zwłaszcza podczas urlopu. Alkohol wyzwala moją podświadomość i wtedy mogę pracować. Najlepsze spośród moich wynalazków – ciągnął zachwycony – powstały, kiedy byłem zapruty. Wszystko wydaje się wtedy takie jasne. Jasne jak słońce. Miałem na myśli słońce, prawda? Tak czy siak... – stracił wątek i był wyraźnie zakłopotany. – Tak czy siak, o co panu chodzi?

– Czy ty się w końcu zamkniesz? – zapytał robot ze swojego miejsca przed lustrem.

Brock podskoczył. Gallegher machnął ręką od niechcenia.

– Niech się pan nie przejmuj Joem. Skończyłem go właśnie wczoraj wieczorem i muszę powiedzieć, że załuję.

– Robota?

– Robota. Ale on jest do niczego. Zbudowałem go po pijanemu i nie mam zielonego pojęcia ani jak, ani po co. Nic nie robi, tylko sterczy przed lustrem i podziwia siebie. I śpiewa. Wyje jak upiór. Zaraz go pan usłyszysz.

Z pewnym wysiłkiem Brock skupił uwagę na tym, co trzymał w ręku.

– Niech pan posłucha, Gallegher. Jestem w kropce. Obiecał mi pan pomóc. Jeśli pan mi nie pomoże, będę zrujnowany.

– Ja jestem zrujnowany od lat – zauważył uczonek. – I zupełnie się tym nie przejmuję. Po prostu pracuję na utrzymanie, a w wolnych chwilach robię różne rzeczy. Najróżniejsze. Gdybym miał studia, byłbym drugim Einsteinem. Tak mi przynajmniej mówią. Ale moja podświadomość jakimś cudem zdobyła pierwszorzędną naukową przygotowanie. Może dlatego nigdy się nie przejmowałem wykształceniem. Kiedy jestem pijany albo chociażby wystarczająco roztargniony, potrafię rozwiązywać najbardziej cholerne problemy.

- I teraz też jest pan pijany – zarzucił mu Brock.
- Osiągałem już w życiu przyjemniejsze stany. Jakby się pan czuł, gdyby pan się obudził i stwierdził, że a jakiegoś niewiadomego powodu skonstruował pan robota nie wiedząc o tym stworze dosłownie nic?
- No cóż...
- W każdym razie zupełnie nie czuję się pijany – bąknął Gallegher. – Najprawdopodobniej bierze pan życie zbyt serio, Brock. Wino to szyderca, mocniejszy alkohol budzi pragnienie. Przepraszam bardzo, właśnie je odczuwam. – Wypił jeszcze jedno martini.
- Brock zaczął się przechadzać po zagraconym laboratorium lawirując wśród dziwnych i niechlujnych przedmiotów.
- Jeżeli pan jest uczonym, to niech Bóg ma naukę w swojej opiece.
- Jestem Larrym Adlerem nauki – wyjaśnił Gallegher. – Larry Adler był muzykiem i wydaje mi się, że żył jakieś kilkaset lat temu. Ja jestem podobny do niego. W życiu nie wzięłem ani jednej lekcji. Co ja na to poradzę, że moja podświadomość płata mi figle?
- Czy pan wie, kim ja jestem? – zapytał Brock.
- Tak szczerze mówiąc, to nie. A powinienem wiedzieć?
- W głosie Brocka zabrzmiała gorycz.
- Mógłby się pan zdobyć przynajmniej na tyle uprzejmości, żeby chociaż to zapamiętać, mimo że byłem tu tydzień temu. Harrison Brock. Jestem właścicielem wytwórni filmowej Vox-View.
- Nie – powiedział nagle robot. – To nie ma najmniejszego sensu. Najmniejszego sensu, Brock.
- Co do...
- Gallegher westchnął ze znużeniem.
- Zapominam, że ten cholernik jest żywy. Panie Brock, pan pozwoli, Joe. Joe, pan Brock z Vox-View.
- Joe odwrócił się pokazując poszczepiane ze sobą kółka zębate w przezroczystej czaszce.
- Miło mi pana poznać, Brock. Proszę przyjąć gratulacje: trafiło się panu wyjątkowe szczęście słuchania mojego cudownego głosu.
- Mhm... – bogacz wydał nieartykułowany dźwięk. – Jak się masz.
- Marność nad marnościami i wszystko marność – wtrącił Gallegher sotto voce. – To jest cały Joe. Paw. Nie ma co z nim dyskutować.
- Robot zignorował tę dygresję.
- Ale to naprawdę nie ma najmniejszego sensu – podjął skrzekliwie. – Mnie pieniądze nie interesują. Zdaję sobie sprawę, jakim szczęściem byłoby dla wielu, gdybym się zgodził wystąpić w pańskich filmach, ale słowo nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Żadnego. Wystarczy mi świadomość piękna.
- Brock zagryzł wargę.
- Nie przyszedłem tu – powiedział wściekły – proponować ci roli w filmie. Rozumiesz? Czy ja ci proponuję kontrakt? Co za bezczelność! Phi! Zwariowałaś chyba.
- Twoje intrygi są zupełnie przejryste – zauważył robot zimno. – Widzę przecież, że jesteś oczarowany moją pięknnością i moim urzekającym głosem, jego wspaniałymi możliwościami modulacyjnymi. Nie musisz wcale udawać, że mnie nie chcesz, po to tylko, żeby obniżyć moją cenę. Powiedziałem już: nie interesuje mnie to.
- Oszalałaś! – wrzasnął Brock, rozwścieczony ponad wszelką wytrzymałość, i Joe odwrócił się do lustra.
- Nie mów tak głośno – ostrzegł Brocka. – Dysharmonia mnie ogłusza. A poza tym jesteś brzydki i nie mam ochoty na ciebie patrzeć. – Kółka i tryby zabrzęczały w obudowie z transplastiku. Joe wystawił oczy na słupkach i oglądał siebie z wszelkimi oznakami podziwu.
- Gallegher chichotał cicho na kanapie.
- Joe ma wysoki współczynnik drażliwości – powiedział. – Już się o tym przekonałem. Musiałem go też wyposażyć w całkiem bystre zmysły. Jakąś godzinę temu dosłownie konał ze śmiechu. Bez żadnego wyraźnego powodu. Robiłem sobie coś do jedzenia. W dziesięć minut później poślizgnąłem się na ogryzku od jabłka i nieźle wyrznąłem. Joe tylko na mnie spojrzał. „Otóż to – powiedział. – Logika prawdopodobieństwa. Przyczyna i skutek. Wiedziałem, że upuścisz ten ogryzek i że się na min poślizgniesz, jak będziesz szedł po pocztę”. Jak Biała Królowa. Kiepska to pamięć, która nie działa w dwie strony.
- Brock usiadł na małym dynamo – były tam dwa: większe o nazwie Monstrum, i mniejsze, które służyło Gallegherowi za bank – i westchnął głęboko.
- Roboty to żadna nowość.
- Z wyjątkiem tego. Nienawidzę tych jego trybów. Zaczynam popadać w kompleks niższości. Żałuję, że nie wiem, po co go zrobiłem – westchnął Gallegher. – Zaraz, może pan się napije?
- Nie. Przyszedłem tutaj w interesach. Czy pan rzeczywiście chce powiedzieć, że zamiast zajmować się powierzonym przeze mnie zadaniem, cały ubiegły tydzień spędził pan na konstruowaniu tego robota?
- To miał być ryczałt, tak? – zapytał Gallegher. – Tak, tyle pamiętam.
- Ryczałt – odparł Brock z satysfakcją. – Dziesięć tysięcy... o ile i kiedy pan się wywiąże.
- A może da mi pan forszę i weźmie sobie robota? On jest wart tej sumy. Niech go pan weźmie do jednego ze swoich filmów.
- Nie ma mowy o żadnych filmach, dopóki pan nie odpowie na moje pytanie – warknął Brock. – Już to dokładnie wyjaśniłem.
- Ale ja byłem wtedy pijany – odparł Gallegher. – Moja pamięć została wytarta do czysta jak gąbką. Jestem jak małe dziecko. A wkrótce będę jak pijane małe dziecko. Gdyby pan tymczasem zechciał mi jednak wyjaśnić wszystko od początku...

Brock przełknął wściekłość, wziął z półki na chybił trafił jakieś pismo ilustrowane, wyjął stylo.

– No więc dobrze, moje najlepsze akcje stoją na dwadzieścia osiem, dużo poniżej wartości... – Zaczął bazgrać jakieś cyfry.

– Gdyby pan wziął ten średniowieczny foliał, który tu stoi zaraz obok, drogo by to pana kosztowało – powiedział leniwie Gallegher. – Aha, pan jest z tych facetów, co to piszą na obrusach, tak? Niech pan da sobie spokój z tymi akcjami i tak dalej. I do rzeczy. Kogo pan chce wykantować?

– Szkoda zachodu – odezwał się robot sprzed lustra. – Nie podpiszę kontraktu. Ludzie mogą tu przychodzić i mnie podziwiać, jeśli mają ochotę, ale muszą w mojej obecności mówić szeptem.

– Dom wariatów – mruknął Brock, usiłując nad sobą zapanować. – Niech pan posłucha, Gallegher, wszystko to panu mówiłem tydzień temu, ale...

– Ale nie było wtedy robota. Niech pan udaje, że pan mówi do niego.

– Mmmm. Mam nadzieję, że słyszał pan przynajmniej w wytwórni Vox-View?

– Jasne. Najlepsza i największa sieć telewizyjna. Sonatone to chyba jedyna pańska konkurencja.

– Sonatone wypiera mnie z rynku.

Gallegher był zaskoczony.

– A jak to jest możliwe? Pan ma przecież największe możliwości. Trójwymiarowy obraz, kolor, wszelkie najnowocześniejsze urządzenia, najlepsi aktorzy, muzycy, piosenkarze...

– Szkoda zachodu – wtrącił robot. – Nie podpiszę.

– Zamknij się, Joe. Jest pan w tej dziedzinie najlepszy, Brock. Ręczę panu. I zawsze słyszałem, że postępuje pan etycznie. Co takiego Sonatone może mieć na pana?

Brock wykonywał bezradne gesty.

– Och, to wszystko polityka. Dzikie kina. Nie mogę sobie z nimi poradzić. Sonatone poparła w wyborach obecne władze i kiedy domagam się likwidacji dzikich kin, policja patrzy przez palce.

– Dzikie kina? – zapytał Gallegher marszcząc nieznacznie czoło. – Coś słyszałem...

– Dawna sprawa. Sięga jeszcze czasów filmu dźwiękowego. Telewizja wyparła film dźwiękowy i duże kina. Ludzie byli specjalnie przystosowani, by nie siedzieli i nie patrzyli w ekran w dużych grupach. Za najlepsze uważano telewizory domowe. Przyjemnie było oglądać program siedząc sobie w fotelu i popijając piwko. Wtedy telewizja nie była jeszcze hobby bogatych ludzi. System liczników obniżył cenę do poziomu osiągalnego dla klas średnich. Każdy o tym wie.

– Z wyjątkiem mnie – powiedział Gallegher. – Nie interesuję się tym, co się dzieje poza moim laboratorium, chyba, że muszę. Alkohol i pamięć selektywna. Ignoruję wszystko, co nie dotyczy mnie w sposób bezpośredni. Niech pan mi to wyjaśni szczegółowo, żebym miał pełny obraz. Nic nie szkodzi, że pan się będzie powtarzał. No więc, co z tymi pańskimi licznikami?

– Telewizory instaluje się za darmo. My ich nie sprzedajemy, my je po prostu wypożyczamy. Ludzie płacą w zależności od tego, ile godzin telewizor jest włączony. Program leci na okrągło – sztuki teatralne, filmy z wideokaset, opery, koncerty, występy śpiewaków, wodewile – wszystko. Jeśli ktoś dużo ogląda telewizję, płaci proporcjonalnie. Raz na miesiąc przychodzi nasz człowiek i odczytuje stan licznika. Jest to system uczciwy. Każdy może sobie pozwolić na Vox-View. Sonatone i inne sieci robią to samo, ale Sonatone stanowi dla mnie jedyną poważną konkurencję. A przynajmniej jedyną, która jest nieuczciwa jak wszyscy diabli. Reszta to drobne płotki, ale ja im nie wchodzę na odciski. Jeszcze nigdy nikt nie nazwał mnie świnia – zakończył Brock ponuro.

– No i co z tego?

– To, że Sonatone zaczęła ostatnio stosować oddziaływanie zbiorowe. Do niedawna było to niemożliwe, chcę powiedzieć, że nie można było powiększyć trójwymiarowego obrazu do wymogów dużego ekranu bez pasków czy odbić. Dlatego w domowych telewizorach były zawsze standardowe ekrany trzy na cztery. Wyniki mieliśmy wspaniałe. Ale Sonatone wykupiła mnóstwo kin – widm w całym kraju.

– A co to jest takie kina – widma? – zapytał Gallegher.

– Otóż zanim upadły filmy dźwiękowe, ludzie strasznie wydziwiali. Wydziwiali jak wszyscy diabli. Słyszał pan kiedy o Radio City Music Hollu? Czego tam nie było! nadchodziła epoka telewizji i rywalizacja była ostra. Kina wyświetlające filmy dźwiękowy budowano coraz większe i coraz wymyślniejsze. To były po prostu pałace. Ogromne. Ale kiedy telewizja została udoskonalona, pies z kulawą nogą nie chciał chodzić do kin, a rozbórka budynków była często zbyt kosztowna. To są właśnie kina – widma, kapuje pan? Duże i małe. Oni je odnowili i pokazują w nich programy Sonatone. Oddziaływanie zbiorowe to bardzo potężny czynnik. Bilety są drogie, ale ludzie walą drzwiami i oknami. Nowość, no i owczy pęd.

Gallegher zamknął oczy.

– A kto panu broni zrobić to samo?

– Patenty – odparł krótko Brock. – Wspomniałem, że do niedawna trójwymiarowy obraz telewizyjny był nie do przeniesienia na duży ekran. Dziesięć lat temu Sonatone podpisała ze mną umowę, że wszystkich udoskonaleń powiększających będziemy używali wspólnie. Wycofałem się z tej umowy. Powiedziałem, że była nieważna. I sąd ich poparł. A oni popierają sądy, pan rozumie, polityka. W każdym razie personel techniczny Sonatone opracował metodę przeniesienia obrazu telewizyjnego na duży ekran. Ogłosili patenty – dwadzieścia siedem patentów przewidujących praktycznie każdy wariant tej metody. Moi ludzie głowili się dzień i noc nad wynalezieniem podobnego rozwiązania, które by jednak nie było plagiatem, ale Sonatone wyczerpała wszystkie możliwości. Opracowali system, który nazwali Magna. Można go zastosować w każdym telewizorze, ale oni pozwalają go eksploatować tylko w swoich aparatach, rozumie pan?

– To nieetyczne, ale zgodne z prawem – rzekł Gallegher. – Ale pan i tak daje klientom więcej za ich pieniądze. Ludzie wolą coś dobrego. Wielkość obrazu nie ma znaczenia.

– Tak – odparł z goryczą Brock. – Ale to nie wszystko. Wiadomości są pełne O.Z. – to nowe hasło. Oddziaływanie Zbiorowe. Instynkt stadny. Ma pan rację, że ludzie chcą mieć coś dobrego, ale czy kupiłby pan szkocką whisky po cztery

kwarta, gdyby pan mógł ją mieć za połowę tej ceny?

– To zależy od jakości. No i co dalej?

– Dzikie kina – odparł Brock. – Są już w całym kraju. – Wyświetlają programy Vox-View stosując system powiększający Magna, opatentowany przez Sonatone. Cena biletu jest bardzo niska, niższa niż koszt posiadania Vox-View w domu. No i oddziaływanie zbiorowe. Dreszczyk przeżywania czegoś niezupełnie legalnego. Ludzie na prawo i lewo pozbywają się swoich aparatów Vox-View. I wiem już dlaczego. Bo mogą sobie iść do dzikiego kina.

– I to jest nielegalne... – powiedział Gallegher w zamyśleniu.

– Tak jak nielegalne bary w okresie prohibicji. Sprawa ochrony gangsterskiej, nic więcej. Przez sądy nie mogą działać dosłownie nic. Próbowałem. Ja już robię bokami. Wreszcie zupełnie mnie zrujniają. A nie mogę obniżyć opłat abonamentowych za aparaty domowe Vox-View, bo one i tak są już nominalne. Dochód miałem tylko z ilości. W tej chwili koniec z dochodami. A co do tych dzikich kin, to jasne, kto za nimi stoi.

– Sonatone?

– Naturalnie. Cisi wspólnicy. Ich dochody płyną z kas kinowych. Dlatego chcą mnie wyprzeć z rynku – żeby mieć monopol. I zaraz potem zaczną dawać publiczności szmirę, a artystom płacić głodowe honoraria. Ze mną jest inna sprawa, ja płacę moim ludziom tyle, na ile zasługują, to znaczy bardzo dużo.

– A mnie pan zaproponował zakichane dziesięć tysięcy – zauważył Gallegher.

– To tylko zaliczka – wyjaśnił pośpiesznie Brock. – Proszę, niech pan sam wymieni sumę. Oczywiście w granicach rozsądku – dodał.

– Wymienię. Astronomiczną. Czy ja mówiłem w ubiegłym tygodniu, że przyjmę prowizję?

– Tak.

– To znaczy, że musiałem mieć jakąś koncepcję rozwiązania pańskiego problemu. – Gallegher zamyślił się. – Zobaczymy. Ale nie mówiłem nic konkretnego, prawda?

– Mówił pan o marmurowych płytkach i... hmm... swojej miłej.

– Aha, to znaczy, że śpiewałem – wyjaśnił Gallegher znacząco. – „Szpital Świętego Jakuba”. Śpiew uspokaja moje nerwy, a jeden Bóg wie, jak bardzo one czasem tego potrzebują. Muzyka i alkohol. Często się zastanawiam, co takiego kupują winiarze...

– Co takiego kupują?

– W połowie tak cennego, jak to, co sprzedają. Nieważne. Cytuję Omara. To nic nie znaczy. Czy ma pan dobrych fachowców?

– Najlepszych. I najlepiej płatnych.

– I nie mogą wymyślić żadnego systemu powiększającego, który by nie naruszał praw patentowych Sonatone do Magny?

– Mówiąc w skrócie, mniej więcej tak to wygląda.

– Będę chyba musiał przeprowadzić jakieś badania – rzekł ze smutkiem Gallegher. – A nienawidzę tego jak trucizny. Ale tak czy siak, suma części równa się całości. Czy rozumie pan coś z tego? Bo ja nie. Mam kłopoty ze słowami. Jak już powiem, zaczynam się zastanawiać, co powiedziałem. Ale lepsze to niż oglądanie sztuk – zakończył Gallegher raptownie. – Boli mnie głowa. Za dużo gadania, za mało alkoholu. Zaraz, do czego to wszystko prowadzi?

– To dom wariatów – burknął Brock. – Gdyby pan nie był moją ostatnią deską ratunku...

– Nic z tego – wtrącił zgrzytliwie robot. – Może pan podrzeć kontrakt, Brock. Ja go i tak nie podpiszę. Sława nie ma dla mnie żadnego znaczenia, absolutnie żadnego.

– Jeśli się nie zamkniesz – ostrzegął go Gallegher – będę ci wrzeszczał w same uszy.

– Proszę bardzo – zaskrzeczał robot. – Bij mnie! No proszę, bij! Im będziesz dla mnie podlejszy, tym szybciej mój system nerwowy się rozleci i umrę. Nie zależy mi. Nie mam instynktu samozachowawczego. Bij mnie. Zobaczysz, czy mi zależy.

– Wie pan co, on ma rację – rzekł po chwili uczony. – Jest to jedyna logiczna reakcja na szantaż czy groźby. Im prędzej tym lepiej. Z Joem nie ma żadnego stopniowania. Wszystko, cokolwiek jest dla niego naprawdę bolesne, może go zabić. A jemu nie zależy.

– Mnie też nie – mruknął Brock. – Mnie zależy na tym, żeby...

– Tak. Wiem. Położę trochę i zobaczę co się ze mną stanie. Czy mógłbym obejrzeć pańskie studia?

– Proszę, oto przepustka. – Brock nabazgrał coś na odwrocie wizytówki. – Czy od razu wzięłyby się pan do roboty?

– Naturalnie – zełgał Gallegher. – Niech pan sobie spokojnie idzie i się nie przejmuj. Proszę się uspokoić. Wszystko będzie dobrze. Albo znajdę rozwiązanie pańskiego problemu bardzo szybko, albo...

– Albo co?

– Albo nie znajdę – zakończył uczony łagodnie i zaczął przebierać palcami po klawiaturze koło kanapy. – Już mam wyżej uszu martini. Dlaczego ja nie zaprojektowałem tego robota jako mechanicznego barmana, skoro go w ogóle zrobiłem. Czasami nawet wysiłek wybierania i naciskania klawiszy jest okropny. Tak, zabieram się do roboty, Brock. Niech pan się nie martwi.

Magnat telewizyjny zawahał się.

– No cóż, pan jest moją ostatnią deską ratunku. Nie muszę chyba mówić, że jeśli mógłbym panu w czymkolwiek pomóc...

– Blondyna – mruknął Gallegher. – Ta pańska wspaniała gwiazda Silver O'Keefe. Niech ją pan przyśle. Poza tym nie chcę nic.

– Do widzenia, Brock – powiedział robot zgrzytliwie. – Przykro mi, że nie doszliśmy do porozumienia w sprawie kontraktu, ale przynajmniej miał pan nieuniknioną rozkosz słyszenia mojego pięknego głosu, nie mówiąc już o przyjemności oglądania mnie. Niech pan nie rozpowiada za bardzo o tym, jaki jestem wspaniały. Nie chcę tłumów, po co mają mi zawracać głowę. Ludzie są tacy hałaśliwi.

– Dopóki człowiek nie porozmawia z Joem, nie wie, co to jest dogmatyzm. Noto cóż, do zobaczenia. I niech pan nie

zapomina o blondynce.

Brockowi zadrżały wargi. Przez chwilę szukał słów, ale uznał, że to strata czasu, i odwrócił się do wyjścia.

– Do widzenia, ty paskudny człowieku – pożegnał go Joe.

Gallegher skrzywił się na odgłos trzaśnięcia drzwiami, chociaż ten dźwięk dla super wrażliwych uszu robota był znacznie gorszy.

– Dlaczego tak się zachowujesz? – zapytał. – Przecież facet o mało nie dostał apopleksji.

– Chyba nie uważa, że jestem piękny – odparł Joe.

– Pojęcie piękna jest subiektywne.

– Co za głupota. Ty też jesteś paskudny.

– A ty jesteś kupą zgrzytających trybów, tłoków i kółek zębatych. I masz robaki – powiedział Gallegher myśląc oczywiście o pewnych mechanizmach w ciele robota.

– Jestem rozkoszny. – Joe, oczarowany, gapił się w lustro.

– Może dla siebie. Zastanawiam się, dlaczego zrobiłem cię przezroczystym.

– Żeby i inni mogli mnie podziwiać. Ja mam naturalnie wzrok rentgenowski.

– I kółka w głowie. Ciekawe, dlaczego ten radioatomowy mózg umieściłem ci w brzuchu. Czyżby dla bezpieczeństwa?

Joe nie odpowiedział. Nucił coś koszmarnie skrzeczącym głosem, ostrym i denerwującym. Gallegher wytrzymał to przez chwilę krzepiąc się dżinem z sokiem z syfonu.

– Podnieś ton głosu! – wrzasnął w końcu. – Twój głos przypomina starą kolej podziemną na zakręcie.

– Jesteś po prostu zazdrosny – zakpił Joe, ale posłusznie podniósł głos do poziomu ultradźwięków. Na pół minuty zaległa cisza. A następnie zaczęły wyć psy w całej okolicy.

Znużony Gallegher dźwignął z kanapy swoje chude ciało. Uznał, że w laboratorium nie zazna spokoju. W każdym razie nie z tą animowaną kupą szmelcu, która się obnosi bez przerwy ze swoim ja. Joe zaczął chichotać fałszywym głosem. Gallegher skrzywił się.

– No i co?

– Zobaczysz.

Logika związków przyczynowo – skutkowych wspierana przez rachunek prawdopodobieństwa, wzrok rentgenowski i inne bliżej nie określone zmysły, w które bez wątpienia wyposażony był Joe. Gallegher zaklął cicho, znalazł zdefasonowany czarny kapelusz i ruszył do drzwi. Kiedy je otworzył, wszedł niski, gruby mężczyzna, który boleśnie odbił się od brzucha gospodarza.

– Uff! Och. Co za prostackie poczucie humoru ma ten osioł. O, pan Kennicott. Dzień dobry, miło mi pana widzieć. Szkoda, że nie mogę zaproponować panu drinka.

Śniada twarz pana Kennicotta wykrzywiła się złowrogo.

– Ja tam nie potrzebuję żadnego drinka. Chcę swoje pieniądze. Niech pan mi je odda. No, jak będzie z moją forszą?

Gallegher w zamyśleniu patrzył w przestrzeń.

– Szczyrze mówiąc, siedłem właśnie zrealizować czek.

– Ja panu sprzedałem brylanty. Miał pan z nich coś zrobić. Pan mi dał czek. Ale ten czek ni diabła nie ma pokrycia. Co to wszystko ma znaczyć?

– Że czek jest po prostu bez pokrycia – wyjaśnił słabym głosem Gallegher. – Ja tam nigdy nie śledzę stanu swego konta.

Kennicott robił wrażenie, jakby miał eksplodować zaraz na progu.

– Pan mi odda moje brylanty.

– Ale ja je wykorzystałem do pewnego eksperymentu. Niestety zapomniałem, do jakiego. Wie pan co, panie Kennicott, musiałem być trochę pijany, kiedy je kupowałem.

– Jak diabli – zgodził się mały człowieczek. – Zalany w trupa. Ale co dalej? Dłużej nie czekam. Już i tak mnie pan dosyć zwodził. Płaci pan teraz czy nie?

– Wynoś się, ty brudasio – odezwał się Joe z głębi pokoju. – Jesteś ohydny.

Gallegher pospiesznie wypchnął Kennicotta z mieszkania i dokładnie zamknął drzwi.

– Papuga – wyjaśnił. – Ale już wkrótce ukręcę jej łeb. A teraz co do tych pieniędzy. Przyznaję, że jestem je panu winien. Dostałem właśnie poważne zlecenie i jak mi tylko zapłacą, zaraz panu zwrócę dług.

– Bzdura – odparł Kennicott. – Ma pan chyba jakąś posadę do licha, no nie? Pracuje pan jako technik w jakimś dużym towarzystwie, no nie? Niech pan poprosi, żeby panu wypłacili akonto.

– Prosiłem – westchnął Gallegher. – Wybrałem swoje zarobki na pół roku naprzód. Ale niech pan posłucha: za parę dni będę miał dla pana tę forszę. Może nawet dostanę zaliczkę od klienta, okay?

– Nie.

– Nie?

– A zresztą, niech będzie. Czekam jeden dzień. Może dwa. I dość tego. Jak pan dostanie forszę, to w porządku. A jak nie, to pan idzie do paki.

– Dwa dni to świat czasu – powiedział Gallegher z ulgą. – Niech mi pan powie: czy tu gdzieś w okolicy są jakieś dzikie kina?

– Lepiej niech pan się bierze do roboty i nie traci czasu.

– To jest właśnie moja robota. Dokonuję rozeznania. W jaki sposób mogę znaleźć dzikie kino?

– Bardzo łatwo. Jedź pan do śródmieścia i jak pan zobaczy w bramie faceta sprzedającego bilety, to będzie właśnie tam.

Gdziekolwiek. Wszędzie.

– Wspaniale – rzekł Gallegher i pożegnał małego człowieczka. Ale po co on kupił od Kennicotta te brylanty? Musi sobie

chyba amputować podświadomość. Płata mu najdziwniejsze figle. Działa na zasadzie sztywnej logiki, a ta logika jest kompletnie obca świadomemu umysłowi Galleghera. Skutki są często zdumiewająco korzystne, ale z reguły zaskakujące. I właśnie na tym polega wada tego, że się jest uczonym bez nauki, uczonym grającym ze słuchu.

W retorcji w laboratorium był jakiś pył, pozostały po pewnym niefortunnym doświadczeniu wykonanym przez podświadomość Galleghera, który zachował przelotne wspomnienie zakupu brylantów od Kennicotta. Ciekawe. A może... ach tak. Poszły do Joego. Łożyska czy coś w tym rodzaju. Rozebranie robota nic by nie dało, ponieważ brylanty z pewnością zostały zmielone. Dlaczego do diabła nie użył diamentów przemysłowych – wystarczyłyby w zupełności – zamiast kupować brylanty najczystszej wody? Ale dla podświadomości Galleghera nie istniały rzeczy za dobre. W sprawach interesów odznaczała się ona nieograniczoną swobodą, a podstawowy system cen oparty na kalkulacji ekonomicznej był dla niej zupełnie niezrozumiały.

Gallegher błąkał się jak Diogenes w poszukiwaniu prawdy. Był wczesny wieczór i neony pulsowały mu nad głową jak jasne sztabki światła na tle ciemności. Nad wieżowcami Manhattanu płonęła podniebna reklama. Taksówki powietrzne śmigały na różnych poziomach zatrzymując się przy platformach wind. I tak dalej.

W śródmieściu Gallegher zaczął zwracać uwagę na bramy. Wreszcie dostrzegł w jednej z nich mężczyznę, który jednak sprzedawał karty pocztowe. Gallegher podziękował i czując niedosyt udał się w kierunku najbliższego baru. Był to bar ruchomy, łączący najgorsze cechy wesołego miasteczka z Coney Island i banalnych koktajlbarów i Gallegher zawahał się na progu. W końcu jednak złapał krzesło, które akurat koło niego śmignęło, i odprężył się, na ile to było możliwe. Zamówił trzy dżiny z sokiem i wypił je szybko jeden za drugim. Potem wezwał barmana i zapytał go o dzikie kina.

– No jasne – odrzekł mężczyzna wyjmując z kieszeni fartucha plik biletów. – Ile?

– Jeden. A gdzie to jest?

– Dwieście dwadzieścia osiem. To znaczy ulica. Niech pan pyta o Tony'ego.

– Dziękuję – powiedział Gallegher i zapłaciwszy wygórowany rachunek wygramolił się z krzesła i pożegłował w stronę drzwi. Bary ruchome były wynalazkiem, za którym Gallegher nie przepadał. Skoro i tak osiąga się w końcu stan chwiejny, pić, uważał, należy, w pozycji stabilnej.

Do wejścia szło się po schodach, a w drzwiach znajdowała się kratka. Kiedy Gallegher zapukał, zapłonął ekran, najwyraźniej obwód jednokierunkowy, ponieważ portier pozostał niewidoczny.

– Czy zastałem Tony'ego? – zapytał Gallegher.

Drzwi otworzyły się i ukazał się w nich mężczyzna o znużonym wyrazie twarzy, w spodniach pneumatycznych, które zupełnie nie spełniały swego zadania, jakim było nadanie jego chudej sylwetce pełniejszego wyglądu.

– Ma pan bilet? Proszę pokazać. Okay, koleś. Prosto przed siebie. Właśnie idzie program. Alkohol w barze na lewo.

Gallegher przepchnął się przez dźwiękoszczelne zasłony na końcu niewielkiego korytarza i znalazł się w czymś, co wyglądało na foyer starożytnego kina z roku mniej więcej 1980, kiedy to ostatnim krzykiem mody był plastik. Wyczuł bar, wziął kosztownego drinka i w ten sposób wzmocniony wszedł do kina. Sala była prawie pełna. Wielki ekran – jak się można było domyślać, systemu Magna – roił się od ludzi, którzy uwijali się przy statku kosmicznym. Był to albo film przygodowy, albo wiadomości, jak się Gallegher domyślił.

Tylko urok zakazanego owocu mógł ściągnąć ludzi do dzikich kin. Panował tu smród. Widać było, że organizatorzy angażują minimalne środki; obywali się nawet bez bileterów. Ale interes był nielegalny, a zatem korzystał z dobrej ochrony. Gallegher w zamyśleniu patrzył na ekran. Żadnych pasków, żadnych odbić. System Magna został dostosowany do nie rejestrowanego telewizora Vox-View i jedna z największych gwiazd Brocka dawała właśnie wzruszający popis na użytek nielegalnej widowni. Normalny rabunek. Tak.

Po chwili Gallegher wyszedł, dostrzegając koło przejścia policjanta mundurowego. Uśmiechnął się ironicznie. Gliniarz z pewnością wszedł na gapę. Polityka jest zawsze taka sama.

Dwie przecznice dalej świetlista reklama głosiła: „Sonatone. Bijou”. To było naturalnie jedno z zalegalizowanych kin, i odpowiednio drogich. Gallegher rozrzućnie przeznaczył okrągłą sumkę na dobre miejsce. Chciał porównać poziomy projekcji. O ile on to potrafił ocenić, Magna w „Bijou” i w dzikim kinie były identyczne. Obie idealnie spełniały swoje zadania. Trudny próg polegający na powiększeniu ekranu telewizyjnego został pokonany.

W „Bijou” jednak wszystko miało charakter pałacowy. Wytworni portierzy kłaniali się w pas. W barach serwowano za darmo drinki w rozsądnych ilościach. Była też turecka łaźnia. Gallegher wszedł w drzwi z napisem „Mężczyźni” i wszedł oszołomiony przepychem. Przez co najmniej jeszcze dziesięć minut czuł się jak sybaryta.

Wszystko to oznaczało, że do legalnych kin chodzili tylko ci, co mogli sobie na to pozwolić; reszta do dzikich. Reszta – z wyjątkiem garstki domatorów, którzy nie ulegli urokom nowinek. W końcu Brock musiałby zostać wyparty z rynku z powodu nierentowności. Cała ta gałąź rozrywki wpadnie w ręce Sonatone, która będzie nieustannie podbijała ceny, dbając jedynie o zyski. Rozrywka jest niezbędnym elementem życia, a ludzi przystosowano do oglądania telewizji. Nie mają nic w zamian. Kiedy więc już Sonatone opanuje rynek, ludzie będą płacili coraz więcej za coraz marniejsze programy.

Gallegher wyszedł z „Bijou” i zatrzymał taksówkę powietrzną. Podał adres studio Vox-View na Long Island z mglistą nadzieją, że wymusi na Brocku otwarcie konta. Zamierzał też naturalnie dalej badać sprawę.

Wschodnie biura Vox-View rozrzucone były bezładnie po Long Island. Ciągnąc się wzdłuż Soundu stanowiły rozległe zbiorowisko najróżniejszych w kształcie budynków. Gallegher instynktownie znalazł kantinę, gdzie wchłonął kolejną porcję alkoholu jako środek zapobiegawczy. Jego podświadomość miała przed sobą ciężkie zadanie, a nie chciał jej upośledzić przez niecałkowite wyzwolenie; poza tym Collins był dobry.

Po pierwszym drinku uznał, że na razie ma dość. Nie był supermanem, chociaż jego pojemność i tak była prawie że niewiarygodna. Akurat wystarczająca dla uzyskania obiektywnej jasności i subiektywnego wyzwolenia...

- Czy studio jest zawsze otwarte w nocy? – zapytał kelnera.
- Jasne, w każdym razie niektóre sceny. Program idzie na okrągło.
- Kantyna jest pełna.
- Przychodzą tu do nas z lotniska. Jeszcze jednego?

Gallegher potrząsnął głową i wyszedł. Wizytówka, którą dał mu Brock, upoważniała do wejścia przez bramę i Gallegher skierował się od razu do budynku dyrekcji. Nie było tam Brocka, ale dobiegały go głośne rozmowy – przenikliwie kobiece głosy.

Sekretarka powiedziała: „chwilczkę”, połączyła się przez wewnętrzny wideofon i po chwili dodała:

- Zechce pan wejść?

Gallegher zechciał. Biuro było przytulne, funkcjonalne i zarazem luksusowe. W niszach wzdłuż ścian wisiały trójwymiarowe fotosy największych gwiazd Vox-View. Przy biurku siedziała mała, podniecona, ładna brunetka, a po drugiej stronie stała wściekła blondyna typu anielica. Gallegher poznał w niej Silver O’Keefe.

Postanowił skorzystać z okazji.

- Halo, panno O’Keefe. Czy mógłbym poprosić panią o autograf? Na kostce lodu. Oczywiście w whisky.

Silver robiła wrażenie drapieżnej kotki.

- Bardzo mi przykro, mój drogi, ale ja pracuję. I jestem w tej chwili zajęta.

Brunetka zapaliła papierosa.

- Załatwimy to później, Silver. Tata powiedział, że chce się zobaczyć z tym facetem. To ważna sprawa.

- Owszem, załatwimy – odparła Silver. – I to szybko. – Z tymi słowami wyszła.

Gallegher gwizdnął w zamyśleniu w stronę zamkniętych drzwi.

– Nic z tego – skomentowała brunetka. – Sprawa jest zawarowana kontraktem. A ona chce zerwać kontrakt, żeby móc podpisać umowę z Sonatone. Szczury uciekają z tonącego okrętu. Od chwili, kiedy odebrała sygnały nadchodzącej burzy, dosłownie szaleje.

- O?

– Niech pan siada i zapali czy co. Jestem Patsy Brock. Tata prowadzi interes, ale ja obejmuję stery, ilekroć on zaczyna tracić głowę. Stary zupełnie nie wytrzymuje żadnych kłopotów. Uważa je za osobisty afront.

Gallegher znalazł sobie krzesło.

- Aha, to znaczy, że Silver chce zdradzić, tak? Ile osób poza nią?

– Niewiele. Większość jest lojalna. Ale oczywiście jeśli splajtujemy... – Patsy Brock wzruszyła ramionami. – Albo będą pracowali dla Sonatone za ich szmal, albo jakoś inaczej sobie poradzą.

– No, dobra, muszę się zobaczyć z waszymi technikami. Chciałbym się zorientować, co zrobili w sprawie tego systemu powiększającego.

– Proszę bardzo – powiedziała Patsy. – Ale niewiele panu z tego przyjdzie. Po prostu nie sposób wymyślić nic takiego, co by w jakiś sposób nie naruszało jednego z patentów Sonatone.

Nacisnęła guzik, mruknęła coś do wideofonu i w otworze w biurku ukazały się dwie wysokie szklanki.

- Panie Gallegher?

- No, jeśli to jest Collins...

– Poznałam po pana oddechu – powiedziała Patsy enigmatycznie. – Tata mówił, że się z panem widział. Trochę go zdenerwował zdaje się szczególnie ten pański nowy robot. Ale właściwie to jaki ten robot jest?

– Och, nie wiem – odparł Gallegher bezradnie. – Jest wyposażony w różne możliwości... chyba nowe zmysły... ale nie mam zielonego pojęcia, do czego on może służyć. Poza podziwianiem siebie samego w lustrze.

Patsy skinęła głową.

– Chciałabym go kiedyś zobaczyć. Ale co do tej sprawy z Sonatone. Czy sądzi pan, że mógłby pan znaleźć jakieś rozwiązanie?

- Możliwe. Prawdopodobnie.

- Ale nie na pewno?

- A więc na pewno. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Absolutnie żadnych.

– Bo to dla mnie ważne. Facet, który jest właścicielem Sonatone, nazywa się Elia Tone. To pirat i łobuz. Robi dużo krzyku. I ma syna, Jimmy’ego. A Jimmy, może mi pan wierzyć albo nie, przeczytał „Romea i Julię”.

- Fajny chłopak?

- Gnojek. Duży osiłek i gnojek. Chce, żebyśmy wyszła za niego za mąż.

- „Dwie rodziny, obie jednakowe w...”

– Może mi pan tego oszczędzić – przerwała mu Patsy. – Zawsze uważałam Romea za głupka. I gdyby kiedykolwiek w mojej głowie powstała myśl, że mogłabym chodzić z Jimmym Tone’em, to bym się chyba sama zgłosiła do czubków. Nie, panie Gallegher, sprawa ta wygląda zupełnie inaczej. Tu nie ma mowy o żadnym kwiecie róży, nic z tych rzeczy. Owszem, Jimmy mi się oświadczył, ale oświadczyły w jego wykonaniu polegają na tym, że zakłada dziewczynie nelsona i tłumaczy jej, jakie to dla niej szczęście.

- Ach – powiedział Gallegher i dał nura w swojego Collinsa.

– Cała ta historia z patentami i dzikimi kinami to pomysł Jimmy’ego. Jestem przekonana. Jego stary oczywiście kupił ten numer, ale wymyśliło go cudowne dziecko – Jimmy.

- Dlaczego pani tak sądzi?

– Chce upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Sonatone uważa, że zyska monopol, a Jimmy Tone, że zdobędzie mnie. Jest wściekły. Nie może uwierzyć, że ja go naprawdę nie chcę, i czeka, że się w pewnym momencie złamię i powiem tak.

Czego nie mam zamiaru zrobić, niezależnie od tego, co się stanie. Ale to sprawa osobista. A ja nie mogę dopuścić do tego, żeby nam to zrobił. Chciałabym mu zetrzeć z gęby ten zadowolony uśmiezek.

– Nie przepada pani za nim, co? – zauważył Gallegher. – Trudno zresztą mieć to pani za złe, skoro jest taki, jak pani mówi. No cóż, zrobię, co się da. Ale potrzebna mi będzie zaliczka.

– Ile?

Podał wysokość. Patsy wypisała czek na znacznie mniejszą sumę. Gallegher robił wrażenie urażonego.

– Nic z tego – Patsy uśmiechnęła się krzywo. – Słyszałam o panu, panie Gallegher. Jest pan zupełnie nieodpowiedzialny. Gdyby pan dostał więcej, uznałby pan, że to panu wystarczy, i zapomniał o całej sprawie. Wypiszę panu więcej czeków, kiedy to będzie naprawdę potrzebne, ale musi pan dokładnie wyspecyfikować wydatki.

– Krzywdzi mnie pani – rzekł Gallegher uśmiechając się. – Zamierzałem właśnie zaprosić panią do nocnego lokalu, ale naturalnie nie chciałyby, żeby to była speluna. A eleganckie lokale są drogie. Gdyby więc pani zechciała wypisać jeszcze jeden czek...

Patsy roześmiała się.

– Nie.

– A może kupi pani robota?

– W każdym razie nie takiego.

– No to jestem zrujnowany – westchnął Gallegher. – A co z...

W tym momencie zaterkotał wideofon. Na ekranie pojawiła się przezroczysta, pozbawiona wyrazu twarz. Wewnątrz kulistej głowy obracały się szybko kółka zębate. Patsy krzyknęła i cofnęła się gwałtownie.

– Powiedz Gallegherowi, ty szczęściarzo, że mówi Joe – odezwał się zgrzytliwy głos. – Będziesz się delektować dźwiękiem mojego głosu i widokiem aż do śmierci. Muśnięcie piękna w świetle szarzyzny...

Gallegher obszedł biurko i spojrzął na ekran.

– Co do diabła, skądżeś się wziął?

– Mam problem do rozwiązania.

– A skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

– Wyszensowałem cię – odparł robot.

– Co zrobiłeś?

– Wyszensowałem, że jesteś w studiu Vox-View z Patsy Brock.

– Co to znaczy wysensować? – chciał wiedzieć Gallegher.

– To jest jeden z moich zmysłów. Nie masz nic, co by to choć trochę przypominało, dlatego nie mogę ci wytłumaczyć. Coś w rodzaju kombinacji sagrazi i przewidywania.

– Sagrazi?

– Ach, sagrazi też nie masz. Nie zwracaj mi głowy. Idę do lustra. Szkoda mojego czasu.

– Czy on zawsze tak gada? – wtrąciła Patsy.

– Prawie zawsze. Czasem jest w tym jeszcze mniej sensu. Okay, Joe, no więc, a co ci chodzi?

– Ty już nie pracujesz dla Brocka – odparł robot. – Pracujesz dla Sonatone.

Gallegher zaczerpnął tchu.

– No, mów, chociaż jesteś stuknięty.

– Nie podoba mi się Kennicott. Drażni mnie. Jest za brzydki. Jego wibracje grają mi na sagrazi.

– Nie przejmuj się nim – powiedział Gallegher, który nie życzył sobie omawiania sprawy zakupu diamentów przy dziewczynie. – Wróc do...

– Ale ja wiedziałem, że Kennicott będzie przychodził, dopóki nie dostanie swoich pieniędzy, więc kiedy się zjawili Elia i James Tone'owie, wziąłem od nich czek.

Patsy złapała Galleghera za ramię.

– Chwileczkę! Co tu się właściwie dzieje? Normalne oszustwo, tak?

– Nie. Niech pani zaczeka. Muszę dotrzeć do sedna sprawy. Joe, niech szlag trafi twoją przezroczystą skórę, coś ty najlepszego narobił? W jaki sposób dostałeś od Tone'ów czek?

– Udawałem ciebie.

– No jasne – rzekł Gallegher z gryzącą ironią. – Naturalnie. Jesteśmy bliźniakami. Podobnymi jak dwie krople wody.

– Zahipnotyzowałem ich – wyjaśnił Joe. – Zrobiłem tak, żeby myśleli, że jestem tobą.

– A ty jesteś zdolny do czegoś takiego?

– Tak. Sam byłem trochę zdziwiony. Ale gdybym się zastanowił, to bym wysensował, że mam takie zdolności.

– Ty... aha, no tak. Sam bym to *wyszensował*. Ale jak to było?

– Tone'owie musieli podejrzewać, że Brock się zwróci do ciebie o pomoc. Zaproponowali kontrakt na zasadzie wyłączności; pracujesz tylko dla nich, i dla nikogo innego. Kupa forsy. No więc udawałem, że jestem tobą, i zgodziłem się. Wobec tego podpisałem umowę – między nami mówiąc jest to twój podpis – i dostałem od nich czek, który posłałem Kennicottowi.

– Cały czek? – zapytał Gallegher słabym głosem. – Na ile on opiewał?

– Na dwanaście tysięcy.

– I to wszystko, co mi zaoferowali?

– Nie – odparł robot. – Oni zaoferowali sto tysięcy i po dwa tysiące miesięcznie przez pięć lat, ale ja wziąłem tylko tyle, żeby spłacić Kennicotta i mieć pewność, że nie wróci i nie będzie mi więcej zwracał głowy. Tone'owie byli zadowoleni, jak im powiedziałem, że dwanaście tysięcy wystarczy.

Z głębi gardła Galleghera wydarł się nieartykułowany bulgot. Joe w zamyśleniu skinął głową.

– Pomyślałem, że będzie lepiej, jak cię zawiadomię, że pracujesz teraz dla Sonatone. No, wracam do lustra i trochę pośpiewam.

– Chwileczkę, Joe – powiedział uczony. – Zaczekaj jedną chwileczkę. Tymi rękami porozrywam twoje tryby i podepczę nogami.

– Ale taka umowa nie żadnej mocy prawnej – powiedziała Patsy przełykając nerwowo.

– Ma – odrzekł radośnie Joe. – No, proszę, może pani jeszcze raz rzucić na mnie okiem i muszę iść. – Odszedł.

Gallegher tyknął całego Collinsa naraz.

– Tak mną wstrząsnęło, że natychmiast wytrzeźwiałem – poinformował dziewczynę. – Co ja do tego robota wsadziłem? W jakie ja go wyposażylem zmysły? Hipnotyzuje ludzi, żeby wierzyli, że jest mną – że ja jestem nim – już zupełnie nie wiem, co mówię...

– Szykuje pan jakiś numer? – spytała po chwili Patsy lakonicznie. – Zastanawiam się, czy przypadkiem rzeczywiście nie podpisał pan umowy z Sonatone i nie kazał zadzwonić tu swojemu robotowi, żeby zapewnił panu alibi.

– Niepotrzebnie się pani zastanawia. To Joe podpisał umowę, nie ja. Ale niech no pani pomyśli; jeżeli tamten podpis stanowi wierną kopię mojego podpisu, jeżeli Joe zahipnotyzował Tone'ów tak, że myśleli, że zamiast jego widzą mnie, jeżeli podpis został złożony przy świadkach... A przecież naturalnie dwaj Tone'owie są naturalnie świadkami... och, do diabła!

Oczy Patsy zwięzły się.

– Zapłacimy panu tyle, ile zaoferowała Sonatone. Na zasadzie ryczałtu. Ale pracuje pan dla Vox-View, to chyba jasne?

– Oczywiście.

Gallegher tęsknie patrzył na swoją pustą szklankę. Oczywiście. Pracuje dla Vox-View. Ale według litery prawa obowiązuje go umowa z Sonatone, na mocy której oferował im swoje wyłączne usługi na okres pięciu lat za sumę dwunastu tysięcy! Cholera! Zaraz, a oni ile mu proponowali? Od razu sto tysięcy i... i...

Nie chodziło zresztą o zasadę, chodziło o pieniądze. Gallegher był załatwiony. Jeżeli Sonatone wygra sprawę w sądzie, to należy do nich przez pięć lat. Bez dalszych honorariów. Musi się jakoś wypłatać z tego kontraktu i jednocześnie rozwiązać problem Brocka.

Dlaczego właściwie nie Joe? To przecież on ze swoimi niezwykłymi talentami nawarzył mu tego piwa. Powinien teraz go z tego wyciągnąć. I niech to lepiej zrobi, bo już niedługo, próżna bestia, będzie podziwiał siebie w kawałkach.

– Tak, tak zrobię – rzekł Gallegher po cichu. – Porozmawiam z Joem. Patsy, daj mi szybko coś do picia i zaprowadź mnie do działu technicznego. Chcę zobaczyć te ich opracowania.

Dziewczyna spojrzała na niego podejrzliwie.

– Dobrze, ale jeśli spróbuje pan nas sprzedać...

– Sam zostałem okrutnie sprzedany. Załatwiony okrutnie. Boję się tego robota. Wsensował mnie w sytuację nie do pozazdroszczenia. Tak, tak, w porządku, Collinsy. – Gallegher pił długo i łapczywie.

Zaraz potem Patsy wzięła go do działu technicznego. Zapoznanie się z trójwymiarowymi odbitkami było ułatwione dzięki czytelnikowi, urządzeniu selekcyjnemu, które eliminowało pomyłki. Gallegher studiował plany długo i z namysłem. Były tam również kopie patentów Sonatone. O ile mógł się zorientować, wyczerpali problem całkowicie. Nie zostawili żadnych szczelin. Jeżeli nie wymyśli zupełnie innego systemu...

Ale nowych systemów nie wyczarowuje się z powietrza. A zresztą to i tak nie rozwiąże sprawy do końca. Nawet gdyby Vox-View wszedł w posiadanie powiększacza nowego typu nie naruszającego praw patentowych Sonatone do Magny, to przecież i tak dzikie kina będą nadal istniały i uprawiały swój proceder. O.Z. – oddziaływanie zbiorowe było czynnikiem decydującym. Należało go wziąć pod uwagę. Zagadka nie miała charakteru jedynie naukowego. Niebagatelną rolę odgrywał tu także element ludzki.

Gallegher magazynował niezbędne informacje szufladkując je porządnie w głowie. Później wykorzysta to, co mu będzie potrzebne. Na razie był całkowicie oszołomiony. Coś go niepokoiło.

Ale co?

Sprawa Sonatone.

– Chciałbym się skontaktować z Tone'ami – powiedział do Patsy. – Masz jakiś pomysł?

– Mogę się z nimi łączyć przez wideofon.

Gallegher potrząsnął głową.

– Psychologicznie niekorzystne. Za łatwo się wyłączyć.

– No cóż, jeżeli panu się spieszy, złapie ich pan na pewno w jakimś nocnym lokalu. Zobaczę, czego zdołam się dowiedzieć. – Patsy wyszła spiesznie, a zza ekranu ukazała się Silver O'Keefe.

– Jestem bezwstydną – oznajmiła. – Zawsze podsłuchuję przez dziurkę od klucza. Czasem dowiaduję się w ten sposób ciekawych rzeczy. Jeśli chce się pan zobaczyć z Tone'mi, to ich pan zastanie w klubie Castle. Chyba zaproszę pana tam na drinka.

Gallegher odpowiedział:

– Okay, niech pani zamówi taksówkę. A ja powiem Patsy, że idziemy.

– Nie będzie tym zachwycona – zauważyła Silver. – Za dziesięć minut spotkamy się przed stołówką. Niech pan się przez ten czas ogoli.

Patsy Brock nie było w biurze, ale Gallegher zostawił jej wiadomość. Następnie wpadł do części usługowej lokalu, posmarował twarz niewidocznym kremem do golenia, zostawił go na kilka minut, a następnie starł preparowanym ręcznikiem. Zarost zszedł razem z kremem. Lekko odświeżony Gallegher spotkał się z Silver i zatrzymał taksówkę powietrzną. Siedzieli

rozparci wygodnie i paląc papierosy przyglądali się sobie czujnie nawzajem.

– No i? – zagadnął Gallegher.

– Jimmy Tone usiłował umówić się dziś ze mną na wieczór. Stąd wiem, gdzie jest,

– No i?

– Chodziłam dzisiaj i wszystkich rozpytywałam. Praktycznie nie zdarza się, żeby ktoś z zewnątrz dostał się do biur Vox–View. „Kto to jest ten Gallegher?” – pytałam.

– No i czego się pani dowiedziała?

– Wystarczająco dużo, żeby się pewnych rzeczy domyślić. Brock pana wynajął, tak? Domyślam się dlaczego.

– Ergo co?

– Mam zwyczaj spadać na cztery łapy – powiedziała Silver wzruszając ramionami. A potrafiła wzruszać ramionami. Vox–View splajtuje. Na rynku zostanie Sonatone. Chyba, że...

– Chyba, że rozwiążę ten problem.

– Właśnie. Chciałabym wiedzieć, po której stronie mam się ustawić. I pan jest tym, kto mógłby mi prawdopodobnie powiedzieć. Kto zwycięży?

– Aha, bo pani zawsze trzyma z tymi, co wygrywają, tak? – rzekł Gallegher. – Czy ty dziewczyno, nie masz żadnych zasad? Czy nie ma w tobie żadnej uczciwości? Czy nie słyszałaś nigdy o etyce i skrupułach?

Silver spytała z promiennym uśmiechem:

– A pan?

– Owszem, słyszałem. Ale zazwyczaj jestem zbyt pijany, żeby zrozumieć co one znaczą. Problem polega na tym, że moja podświadomość jest kompletnie amoralna i kiedy ona obejmuje nade mną władanie, jedyną zasadą, jaką się kieruję, jest logika.

Wyrzuciła papierosa do East River.

– Czy może mnie pan uprzedzić, która strona zwycięży?

– Zatriumfuje prawda – oznajmił Gallegher uroczyście. – Jak zawsze. Aczkolwiek jest zmienną w tym wszystkim, czyli że wróciliśmy do punktu wyjścia. W porządku, kotecku. Odpowiem na twoje pytanie: jeśli chcesz być bezpieczna, trzymaj się ze mną.

– A ty po czyjej jesteś stronie?

– Bóg jeden wie – odparł Gallegher. – Świadomie jestem po stronie Brocka, ale moja podświadomość może być w tej sprawie innego zdania. Zobaczmy.

Silver robiła wrażenie niezadowolonej, ale nie odezwała się słowem. Taksówka opadła na dach klubu Castle i wylądowała z pneumatyczną miękkością. Sam klub mieścił się na dole, w obszernej sali przypominającej kształtem odwróconą do góry nogami połówkę melona. Każdy stół znajdował się na przezroczystej platformie, podnoszonej przez siłownik teleskopowy na dowolną wysokość. Małe służbowe windy umożliwiały kelnerom podawanie napojów. System ten nie miał właściwie żadnego uzasadnienia w funkcjonalności, ale przynajmniej stanowił nowość i tylko bardzo pijący goście spadali ze swoich stołków. Ostatnio ze względów bezpieczeństwa pozawieszano pod platformami przezroczyste siatki.

Tone’owie, ojciec i syn, siedzieli wysoko, blisko dachu, i popijali z dwiema ciziami. Silver zaholowała Galleghera do windy służbowej i uczony zamknął oczy, kiedy śmignęli pod niebo. Alkohol w jego żołądku wrzeszczał na znak protestu. Rzuciło nim do przodu, złapał się więc tyłkiem głowy Elii Tone’a i upadł na krzesło obok niego. Łapczywym ruchem wymacał szklaneczkę Jimmy’ego i opróżnił ją spieszenie.

– Co jest, do diabła? – powiedział Jimmy.

– To jest Gallegher – oznajmił Elia. – I Silver. Co za miła niespodzianka. Usiądziecie z nami?

– Tylko towarzysko – odparła Silver.

Gallegher, pokrzepiony już przez alkohol, przyglądał się mężczyznom. Jimmy Tone był dużym, ogorzałym, przystojnym gburem z wydatną szczęką i beczelnym uśmiechem. Jego ojciec łączył w sobie najgorsze cechy Nerona i krokodyla.

– Mamy tu małą uroczystość – powiedział Jimmy. – Dlaczego zmieniłaś zdanie? Mówiłaś, że dziś wieczorem pracujesz.

– Gallegher chciał się z wami zobaczyć, nie wiem dlaczego.

Zimne oczy Elii zrobiły się jeszcze bardziej lodowate.

– W porządku. No więc dlaczego?

– Podobno podpisałem z panem jakąś umowę – powiedział uczony.

– Owszem. Proszę, tu jest fotokopia. Co pan na to?

– Chwileczkę. – Gallegher zaczął przyglądać się dokumentowi. Najwyraźniej był to jego podpis. Przeklęty robot!

– To jest podpis podrobiony – powiedział w końcu.

Jimmy roześmiał się głośno.

– Rozumiem. Akt gwałtu. Niestety, bracie, jesteś kompletnie zalany. Podpisałeś to w obecności świadków.

– No cóż – rzekł ze smutkiem Gallegher. – Pewnie mi nie uwierzycie, jeśli powiem, że to robot sfalszował mój podpis...

– Ha! – wykrzyknął Jimmy.

– A przedtem was zahipnotyzował tak, żeście uwierzyli, że to jestem ja.

Elia głąskał się po swojej lśniącej łysinie.

– Szerzej mówiąc, nie. Roboty nie są zdolne do takich rzeczy.

– Mój jest.

– Niech pan udowodni. Niech pan to udowodni w sądzie. O ile pan może oczywiście... – Elia zachichotał. – Wtedy pogadamy.

Oczy Galleghera zwięziły się.

– Nie pomyślałem o tym. Ale słyszałem, że zaoferowaliście mi z góry sto tysięcy, nie licząc tygodniowego wynagrodzenia?

– Jasne, głupku – rzekł Jimmy – ale powiedziałaś, że ci dwanaście tysięcy wystarczy. I tyle dostałeś. Pocieszę cię jednak: za każdą pożyteczną rzecz, jaką zrobisz dla Sonatone dostaniesz premię.

Gallegher wstał.

– Nawet moja podświadomość nie znosi tych chamów – zwrócił się do Silver. – Idziemy.

– Ja chyba jeszcze zostanę.

– Nie zapominaj o barykadzie – ostrzegł ją Gallegher tajemniczo. – Ale to twoja sprawa. Ja znikam.

– Pamiętaj, Gallegher, że pracujesz dla nas – powiedział Elia. – Jeżeli się dowiemy, że cokolwiek robisz dla Brocka, znajdziesz się w pudle, zanim się obejrzysz.

– Doprawdy?

Tone'owie nie pofatygowali się nawet, żeby mu odpowiedzieć. Gallegher ze smętną miną udał się do windy i zjechał na dół. Co dalej? Joe.

W piętnaście minut później wchodził do swojego laboratorium. Płonęły tam światła i w promieniu kilku przecznicy słychać było ujadanie psów. Joe stał przed lustrem podśpiewując bezgłośnie.

– Wezmę dla ciebie młot kowalski i tak się to skończy – zapowiedział Gallegher. – No, możesz już zaczynać modlitwę, ty poroniona kupo szmelcu. Niech mnie diabli, jeśli cię nie rozwalę.

– Proszę bardzo, rozwalaj – zaskrzeczał Joe. – Przekonasz się, czy mnie to cokolwiek obchodzi. Jesteś po prostu zazdrosny o moją urodę.

– Urodę?

– Nie dostrzegasz jej w pełni, masz tylko sześć zmysłów.

– Pięć.

– Sześć. A ja mam znacznie więcej. Oczywiście, że pełnia mojej piękności jest dostępna tylko dla mnie. Ale widzisz i słyszysz dość, by ją przynajmniej częściowo docenić.

– Skrzypisz jak zardzewiałe zawiasy – burknął Gallegher.

– Jesteś głuchy. A ja mam słuch superwrażliwy. Oczywiście pełne bogactwo tonalne mego głosu ci umyka. Ale bądź cicho, bo to gadanie mnie tylko rozprasza. Podziwiam teraz ruchy moich trybów.

– A żyj sobie w swoim rajku krety, jak długo możesz. Ale niech ja tylko znajdę młot...

– Proszę bardzo, możesz mnie rozwalić, mnie tam nie zależy.

Gallegher zmęczony opadł na kanapę patrząc na przezroczyście plecy robota.

– Ale mnie załatwiłeś. Po jaką cholere podpisywałeś ten kontrakt z Sonatone?

– Mówiłem ci już, żeby Kennicott przestał tu przyłazić i mi zawracać głowę.

– Ty egoistyczny durniu... och! Ale mnie zrobiłeś na szaro. Tone'owie mogą egzekwować ode mnie warunki kontraktu co do joty, dopóki nie udowodnię, że go wcale nie podpisałem. Ale dobrze. Musisz mi pomóc. Pójdiesz ze mną do sądu i uruchomisz całą tę swoją hipnozę czy co tam jest. Udowodnisz przed sądem, że potrafisz udawać mnie.

– Nie zrobię tego – oświadczył robot. – A dlaczego miałbym to zrobić?

– Boś mnie w to wpakował! – warknął Gallegher. – Teraz musisz mnie z tego wyciągnąć!

– A dlaczego?

– Dlaczego? Dlatego... oooch... ze zwykłej przyzwoitości!

– Ludzkie wartości nie znajdują u robotów zastosowania – powiedział Joe. – A co mi tam semantyka. Nie będę tracił czasu, który mógłbym poświęcić na podziwianie mojej piękności. Zostanę tu przed lustrem na zawsze...

– A zostań sobie i niech cię wszyscy diabli – warknął Gallegher. – Rozwalę cię na atomy.

– Proszę bardzo. Nic mi to nie przeszkadza.

– Nie przeszkadza ci?

– Ty z tym swoim instynktem samozachowawczym – rzekł robot ironicznie. – Ale myślę, że on ci jest niezbędny. Istoty odznaczające się tak niewyobraźną szpetotą uległyby samozniszczeniu ze zwykłego wstydu, gdyby nie miały czegoś takiego, co by je trzymało przy życiu.

– A gdybym tak zabrał ci to lustro? – rzekł Gallegher beznadziejnym tonem.

– Czy ty uważasz, że lustro jest mi niezbędne? A poza tym mogę się sensować bardzo korpulentnie.

– Wszystko jedno. Jeszcze przez chwilę nie chciałyby zwariować. Posłuchaj głupku: robot jest od tego, żeby coś robił. To znaczy coś pożytecznego.

– Ja robię. Piękno to wszystko.

Gallegher zacisnął powieki usiłując zebrać myśli.

– Załóżmy, że opracuję dla Brocka nowy system powiększający. To przecież Tone'owie go skonfiskują. Muszę móc legalnie pracować dla Brocka, bo w przeciwnym razie...

– Popatrz! – wykrzyknął skrzekliwie Joe. – Jak się obracają. Och, to cudowne! – W ekstatycznym uniesieniu patrzył na wirujące wnętrzości.

Gallegher zbłądł z bezsilnej furii.

– Niech cię cholera! – mruknął. – Już ja znajdę na ciebie sposób. Idę spać. – Wstał i mściwie zgasił światło.

– To nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia – oświadczył robot. – Widzę również i w ciemności.

Za Gallegherem zatrzasnęły się drzwi. W ciszy Joe zaczął bezdźwięcznie nucić pod nosem.

Lodówka Galleghera zajmowała w kuchni całą ścianę. Była wypełniona głównie alkoholami, które wymagały chłodzenia, łącznie z importowanym piwem w puszkach, od którego uczonej zawsze rozpoczynał swoje pijaństwo. Nazajutrz rano, z podpuchniętymi oczyma i w ponurym nastroju, Gallegher sięgnął po sok pomidorowy, łyknął, skrzywił się i splukał smak żytniówką. Ponieważ już od tygodnia pozostawał w stanie zamroczenia, piwo nie było teraz wskazane – zaprawiał się etapami.

Kelner mechaniczny postawił przed nim na stole zapieczętowany zestaw śniadaniowy i Gallegher ponuro zabrał się do krwawego befsztyka.

No i?

Sąd był jego ostatnią deską ratunku. Niewiele wiedział na temat psychologii robotów. Ale wierzył, że talenty Joego zrobią wrażenie na sądzie. Wprawdzie przepisy nie zezwalały na to, by roboty występowały w charakterze świadków, to przecież jeśli uznać robota za maszynę obdarzoną zdolnościami hipnotycznymi, kontrakt z Sonatone jest nieważny.

Gallegher zadzwonił do Brocka i nadał sprawie bieg. Brock w dalszym ciągu miał pewne wpływy polityczne i przesłuchanie wstępne zostało wyznaczone jeszcze na ten sam dzień. Ale jaki miał być jego wynik – wiedzieli tylko jeden bóg i robot.

Gallegher spędził kilka godzin na jałowych rozmyśleniach. Nie miał pojęcia, jak zmusić Joego do zrobienia tego, na czym mu zależało. Żeby chociaż sobie przypomnieć, w jakim celu zbudował robota, ale nic z tego. Jednakże...

W południe wszedł do laboratorium.

– Posłuchaj, durniu – powiedział – idziesz ze mną do sądu. I to już.

– Nigdzie nie idę.

– Okay. – Gallegher otworzył drzwi i wpuścił dwóch krzepkich mężczyzn w kombinezonach, z noszami. – Kładźcie go chłopy.

W duchu był trochę zdenerwowany. Zdolności Joego były zupełnie nieznanne, a różnorodność jego możliwości przedstawiała sporą wartość. Robot nie był jednak specjalnie duży, więc chociaż wyrwał się i wrzeszczał histerycznie zgrzytliwym głosem, bez trudu załadowali go na nosze i ubrali w kaftan bezpieczeństwa.

– Przestańcie! Nie możecie mi tego robić! Puśćcie mnie!

– Jak wyjdziemy – obiecał mu Gallegher.

Walczący dzielnie Joe został wyniesiony i załadowany do powietrznej taksówki bagażowej. Kiedy się już znalazł w wozie, uspokoił się i patrzył tępo w przestrzeń. Gallegher usiadł na ławce koło rozciągniętego na noszach robota. Taksówka uniosła się w górę.

– No i co?

– Twoja sprawa – odparł Joe. – Gdybyś mnie tak nie rozzłościł, to bym was wszystkich zahipnotyzował. Zresztą w dalszym ciągu mogę to zrobić. Mogę zrobić tak, że będziecie biegali i szczekali jak psy.

Gallegher skrzywił się nieznacznie.

– Lepiej nie.

– Nie bój się. To by było poniżej mojej godności. Będę po prostu leżał i podziwiał siebie. Mówiłem ci już, że lustro jest mi w tym celu niepotrzebne. Mogę sensować moje piękno i bez tego.

– Posłuchaj – rzekł Gallegher. – Jedziemy do sądu. Tam będzie dużo ludzi. Wszyscy będą cię podziwiali. A podziwialiby cię jeszcze bardziej, gdybyś im zademonstrował swoje zdolności hipnotyczne. Tak jak to zrobiłeś z Tone'ami, pamiętasz?

– A co mnie obchodzi, ile ludzi mnie podziwia? – odparł Joe. – Nie potrzebuję żadnego potwierdzenia. Jak mnie zobaczą to po prostu ich szczęście. A teraz bądź cicho, jak chcesz, to możesz sobie popatrzeć na moje tryby.

Gallegher obserwował tryby robota z ogniem nienawiści w oczach. Był w dalszym ciągu wściekły, kiedy taksówka podjechała pod gmach sądu. Mężczyźni, pod jego okiem, wnieśli Joego do środka i ostrożnie położyli na stole, gdzie po krótkiej dyskusji został oznaczony jako dowód rzeczowy A.

Sala sądowa była wypełniona po brzegi. Zjawiły się także strony – nieprzyjemnie pewni siebie Elia i Jimmy Tone'owie i wyraźnie niespokojna Patsy Brock z ojcem. Silver O'Keefe, ostrożna jak zwykle, usadowiła się mniej więcej pośrodku, pomiędzy przedstawicielami Sonatone i Vox-View. Przewodniczący sądu był to służbista, który nazywał się Hansen, o ile Gallegher wiedział, uczciwy człowiek. A to już było coś.

Hansen spojrzał na Galleghera.

– Darujmy sobie formalności wstępne. Zapoznałem się z pańskim pismem. Cała sprawa polega zdaje się na tym, czy pan podpisał, czy pan nie podpisywał pewnego kontraktu z Telewizyjnym Towarzystwem Rozrywkowym Sonatone, tak?

– Tak jest, Wysoki Sądzie.

– A zatem technicznie jest to ex officio do potwierdzenia w drodze apelacji, gdyby któraś ze stron sobie tego życzyła. W przeciwnym razie po upływie dziesięciu dni wyrok staje się prawomocny. – Ten nowy typ wstępnego przesłuchania sądowego stał się ostatnio dość popularny – oszczędzał czasu i pozwalał uniknąć szarpaniny. Ponadto niektóre z ostatnich skandali wpłynęły niekorzystnie na reputację adwokatów w oczach opinii publicznej. Ludzie byli uprzedzeni.

Sędzia Hansen wywołał Tone'ów, przesłuchał, a następnie poprosił Harrisona Brocka o zajęcie miejsca na podium dla świadków. Magnat telewizyjny robił wrażenie zatroskanego, ale odpowiadał sprawnie i szybko.

– Czy zawarł pan osiem dni temu umowę z apelującym?

– Tak. Pan Gallegher zobowiązał się do wykonania dla mnie pewnej pracy...

– Czy spisaliście, panowie, umowę?

– Nie. Umowa była ustna,

Hansen z namysłem spojrzał na Galleghera.

– Czy w tym czasie apelujący był nietrzeźwy? Bo, zdaje się, często bywa?

Brock przełknął.

– Nie robiliśmy żadnych prób. Trudno powiedzieć.

– A czy w pana obecności pił jakiegokolwiek napoje alkoholowe?

– Nie wiem, czy to były napoje alkoholowe...

– Skoro pan Galleher je pił to znaczy, że były. Co można dowieść. Zetknąłem się z tym panem kiedyś przy okazji pewnej sprawy... Nie ma jednak żadnego ważnego dowodu na to, że łączyła pana jakkolwiek umowa z panem Gallegherem. Oskarżony, Sonatone, jest w posiadaniu umowy sporządzonej na piśmie, Autentyczność podpisu została stwierdzona.

Hansen dał Brockowi gestem znak, że może opuścić podium.

– A teraz poprosimy pana Galleghera. Pan zechce zająć tu miejsce. Kontrakt, o którym mowa, został podpisany wczoraj wieczorem mniej więcej o godzinie ósmej. A pan utrzymuje, że pan go nie podpisywał, tak?

– Właśnie. Nie było mnie nawet wtedy w laboratorium.

– A gdzie pan był?

– W śródmieściu.

– Czy może pan przedstawić na to świadka?

Gallegher zastanowił się. Nie mógł.

– Dobrze. Oskarżony utrzymuje, że wczoraj około ósmej wieczorem podpisał pan pewien kontrakt. Pan kategorycznie temu zaprzecza twierdząc, że dowód rzeczowy A, dysponując zdolnościami hipnotycznymi, podał się za pana i z powodzeniem sfałszował pański podpis. Zasięgnąłem opinii ekspertów, którzy utrzymują, że roboty nie mają takich możliwości.

– Ale to jest robot nowego typu.

– W porządku. Niech zatem pański robot zahipnotyzuje mnie tak, bym uwierzył, że jest albo panem, albo w ogóle jakkolwiek istotą ludzką. Innymi słowy, niech zademonstruje swoje zdolności – przedstawiając mi się w dowolnej postaci.

Gallegher powiedział „spróbuję” i opuścił podium dla świadków. Podszedł do stołu, na którym leżał robot w kaftanie bezpieczeństwa, i odmówił w myśli krótką modlitwę.

– Joe.

– Tak?

– Słyszałeś?

– Tak.

– Czy zahipnotyzujesz sędziego Hansena?

– Wynos się! – warknął Joe. – Jestem zajęty podziwianiem siebie.

Na Galleghera wystąpiły siódme poty.

– Posłuchaj, nie chcę od ciebie wiele. Wystarczy, że tylko...

Joe przeniósł wzrok na Galleghera i odezwał się słabym głosem:

– Ja cię nie słyszę. Ja sensuję.

W dziesięć minut później sędzia Hansen powiedział:

– No cóż, panie Gallagher...

– Wysoki Sądzie! Proszę mi dać trochę czasu. Jeśli tylko Wysoki Sąd da mi szansę, jestem przekonany, że ten rozklekotany Narcyz dowiedzie mojej racji.

– Sąd jest sprawiedliwy – podkreślił sędzia. – W każdej chwili, kiedy pan zdoła udowodnić, że dowód rzeczowy A posiada zdolności hipnotyczne, wrócimy do sprawy. A tymczasem kontrakt ma moc obowiązującą. Pracuje pan dla Sonatone, a nie dla Vox-View. Rozprawa zakończona.

Sędzia zabrał się i wyszedł. Tone'owie szczerzyli się nieprzyjemnie z drugiego końca sali. Po chwili wyszli i oni w towarzystwie Silver O'Keefe – gwiazda zdecydowała wreszcie, po której stronie barykady jest jej miejsce. Gallegher popatrzył na Patsy Brock i bezradnie wrzucił ramionami.

– No cóż... – powiedział.

Uśmiechnęła się krzywo.

– No cóż... próbował pan. Nie wiem, do jakiego stopnia, ale... ale... mój Boże, pewnie, nie mógł pan zrobić nic więcej.

Brock podszedł do niego potykając się i ocierając pot ze swojej okrągłej twarzy.

– Jestem zrujnowany. Dzisiaj otworzono w Nowym Jorku sześć nowych dzikich kin. Ja zwariuję. Nie zasłużyłem na to.

– Chcesz, żebym wyszła za tego Tone'a? – zapytała Patsy ironicznie.

– Do licha, nie! Chyba, że mi obiecasz, że go zaraz po ślubie otrujesz. Nie zniszczą mnie te łobuzy. Już ja coś na nich wymyślę.

– Jak Gallegher nie wymyśli, to ty nie wymyślisz tym bardziej – powiedziała dziewczyna. – No i co dalej?

– Ja wracam do mojego laboratorium – oświadczył uczoney. In vino veritas. Wywołałem całą tę historię po pijanemu, więc może jak się odpowiednio zaleję, znajdę rozwiązanie problemu. O ile nie sprzedam przedtem moich zwłok w marynacie za dowolnie niską cenę.

– Okay – zgodziła się Patsy i wyszła z ojcem. Gallegher westchnął, dopilnował ponownego załadowania Joego do półciężarówki i zatonał w beznadziejnym teoretyzowaniu.

W godzinę później Gallegher leżał rozciągnięty na kanapie w laboratorium zachłannie popijając whisky. Łypał spode łba na robota, który stał przed lustrem, podśpiewując zgrzytliwie. Zapowiadało się na monumentalne pijaństwo. Gallegher nie był pewien, jak to wytrzyma, w każdym razie zdecydował się nie przestawać, dopóki nie znajdzie odpowiedzi albo nie urwie mu się film.

Jego podświadomość znalazła tę odpowiedź. Przede wszystkim: dlaczego do diabła ciężkiego zbudował tego robota? W każdym razie nie z powodu kompleksu Narcyza! Gdzieś ukryta w alkoholowych oparach tkwiła przyczyna, oczywista w swej logiczności.

Czynnik X. Gdyby czynnik X był znany, mógłby mieć władzę nad Joem. Miałby ją. X stanowiło jak gdyby główny

wyłącznik. A tymczasem robot był, jakby to można określić, puszczonej na żywioł. Gdyby mu polecić wykonanie zadania, do którego został stworzony, osiągnąłby równowagę psychiczną. X to katalizator, który przywróci Joemu zdrowy rozsądek.

Bardzo dobrze. Gallegher pił teraz mocne Drambuie. Brrr! Marność nad marnościami i wszystko marność. Ale jak tu znaleźć X? W drodze dedukcji? Indukcji? Osmozy? Kąpiel w Drambuie? – Gallegher usiłował okiełznać rozszalałe myśli. Co się stało tamtego wieczoru tydzień temu?

Pił piwo. Przyszedł Brock. Wyszedł Brock. Gallegher zaczął budować robota... hmmm. Stan upojenia alkoholowego piwem różni się od wszystkich innych stanów upojenia. Może pił nie to, co trzeba. Bardzo możliwe. Wstał, otrzeźwił się zażywając tiaminę i zaczął wyjmować z lodówki dziesiątki puszek importowanego piwa. Wstawił je do chłodziarki stojącej przy kanapie. Piwo strzyknęło aż do sufitu, kiedy je zaatakował otwieraczem. A teraz zobaczmy.

Czynnik X. Robot oczywiście wie, czym jest, ale przecież nie powie. Stał oto, idiotycznie przezroczyście, i patrzył, jak się obracają jego tryby.

– Joe.

– Nie przeszkadzaj mi. Jestem pogrążony w kontemplacji piękna.

– Wcale nie jesteś piękny.

– Jestem. Czy nie podziwiasz mojego tarzeelu?

– A co to takiego jest ten tarzeel?

– Och, zapomniałem – odparł Joe z żalem. – Nie czujesz go, co? Mówiąc szczerze, sam dodałem tarzeel, już jak mnie skończyłeś. Jest wspaniały.

– Hmmm. – Liczba pustych puszek po piwie rosła. Istniała już tylko jedna firma, gdzieś w Europie, która produkowała piwo w puszkach, zamiast używać wszechobecnego plastiku. Gallegher wołał puszki – piwo puszkowane miało jednak zupełnie inny smak. Ale co z tym Joem? Joe wiedział po co został stworzony. Zaraz... czy rzeczywiście wiedział Gallegher też wiedział, tylko, że jego podświadomość...

Och! Ale co z podświadomością Joego?

Czy w ogóle robot ma podświadomość? W każdym razie ma mózg...

Gallegher zadumał się nad niemożliwością zaaplikowania Joemu skopolaminy. Do diabła! Jak wyzwolić podświadomość robota?

Hipnoza.

Ale Joego nie sposób zahipnotyzować. Jest za bystry.

Chyba, że...

Autohipnoza?

Gallegher pospiesznie wypił jeszcze jedno piwo. Zaczynał odzyskiwać jasność myślenia. Czy Joe widzi przyszłość? Nie; jest wyposażony w różne dziwne zmysły, które jednak działają na zasadzie sztywnych praw logiki i rachunku prawdopodobieństwa. Co więcej – Joe miał swoją piętę achillesową w postaci kompleksu Narcyza.

Zaraz... zaraz... może znajdzie się sposób.

Gallegher powiedział:

– Dla mnie wcale nie jesteś ładny, Joe.

– A co mnie obchodzi twoje zdanie na ten temat? Jestem piękny i widzę to. I to mi wystarczy.

– Tak. Moje zmysły są ograniczone, jak sądzę. Nie jestem w stanie docenić twoich możliwości. Ale i tak zobaczyłem cię teraz w innym świetle. Jestem pijany. Moja podświadomość zaczyna się wyzwalać. Mogę oceniać zarówno moją świadomością, jak i podświadomością. Rozumiesz?

– To masz szczęście – wyraził swoją aprobatę robot.

Gallegher zamknął oczy.

– Ty widzisz siebie pełniej niż ja ciebie. Ale i tak niekompletnie, prawda?

– Jak to? Ja widzę siebie takim, jaki jestem.

– I potrafisz całkowicie zrozumieć i ocenić siebie?

– No, naturalnie – odparł Joe. – Oczywiście. A czyż nie?

– Świadomie i podświadomie? Twoja podświadomość może mieć inne zmysły. Może ostrzejsze. Wiem, że w moich ocenach jest różnica zarówno ilościowa, jak i jakościowa, kiedy jestem pijany, zahipnotyzowany, czy kiedy w jakiś sposób panuję nad swoją podświadomością.

– Och. – Robot w zamyśleniu patrzył w lustro. – Och...

– Szkoda, że nie możesz się upić.

Głos Joego zabrzmiał jeszcze bardziej zgrzytliwie niż zwykle.

– Moja podświadomość... nigdy tak nie podziwiałem swojej piękności. Może coś w ten sposób tracę.

– Nie ma co sobie tym zawracać głowy – powiedział Gallegher. – I tak nie możesz wyzwolić swojej podświadomości.

– Owszem, mogę – odparł robot. – Mogę się zahipnotyzować.

Gallegher nie miał odwagi otworzyć oczu.

– Naprawdę? Skutecznie?

– Oczywiście. Właśnie zamierzam to zrobić. Może dostrzegę w sobie niewyobrażalne piękno, jakiego dotychczas nawet nie podejrzewałem. Ku większej chwale, no, zaczynam.

Joe wysunął oczy na słupkach, ustawił jedno naprzeciw drugiego i zaczął się intensywnie jednym w drugie wpatrywać.

Zaległo długie milczenie.

Nagle Gallegher powiedział:

– Joe!

Cisza.

– *J o e !*

Dalej cisza. Zaczęły wyc psy.

– Mów tak, żebym mógł cię słyszeć.

– Dobrze – odparł Joe, a w jego zgrzytliwym głosie pojawiła się jakaś odległa nuta.

– Czy jesteś zahipnotyzowany?

– Tak.

– Czy jesteś uroczy?

– Bardziej, niż kiedykolwiek mogłem marzyć.

Gallegher puścił to mimo uszu.

– Czy twoja podświadomość ma nad tobą władzę?

– Tak.

– Po co cię stworzyłem?

Brak odpowiedzi. Gallegher oblizał wargi i spróbował jeszcze raz.

– Joe. Musisz mi to powiedzieć. Twoja podświadomość ma teraz nad tobą władzę, pamiętaj. No więc, po co cię stworzyłem?

Brak odpowiedzi.

– Zastanów się. Wróc myślą do chwili, w której cię zbudowałem. Co się wtedy wydarzyło?

– Piłeś piwo – rzekł Joe słabym głosem. – Miałeś kłopoty z otwieraczem puszek. I powiedziałeś, że zrobisz większy i lepszy. I to właśnie jestem ja.

Gallegher o mało nie spadł z kanapy.

– Co takiego?

Robot podszedł do niego, wziął jedną z puszek i utworzył z niewiarygodną wprost zręcznością. Nie trysnęła ani jedna kropla piwa. Joe był idealnym otwieraczem do puszek.

– Takie są skutki – mruknął Gallegher pod nosem – jak się zna naukę ze słyszenia. Zbudowałem najbardziej skomplikowanego jak dotąd robota... – nie dokończył.

Joe drgnął budząc się z transu.

– Co się stało? – zapytał.

Gallegher spojrzał na niego spode łba.

– Otwórz tę puszkę! – warknął.

Po krótkiej pauzie robot usłuchał.

– Aha, więc już na to wpadłeś. No cóż. od tej chwili jestem twoim niewolnikiem.

– Trafiliś w dziesiątkę. Znalazłem katalizator. Główny wyłącznik. Mam cię teraz w garści, ty głupcze, będziesz musiał robić to, do czego zostałeś stworzony.

– No cóż – rzekł Joe z filozoficznym spokojem – przynajmniej będę mógł podziwiać swoje piękno wtedy, kiedy nie będziesz potrzebował moich usług.

– Ty przerośnięty otwieraczu do puszek! – mruknął Gallegher. – Posłuchaj: powiedzmy, że wezmę cię do sądu i każe ci zahipnotyzować sędziego Hansena. Będziesz musiał to zrobić, prawda?

– Tak, już nie jestem wolnym strzelcem. Jestem zaprogramowany. Zaprogramowany do tego, żeby cię słuchać. Do tej pory byłem zaprogramowany tylko w jednym kierunku: żeby robić to do czego zostałem stworzony. Więc dopóki nie kazałeś mi otwierać puszek, byłem wolny. Teraz winien ci jestem całkowite posłuszeństwo.

– Mhm – mruknął Gallegher. – Dzięki Bogu. Gdyby nie to, to w ciągu tygodnia bym chyba zwariował. Przynajmniej mogę się jakoś wypłatać z kontraktu z Sonatone, A potem pozostanie mi już tylko rozwiązanie problemu Brocka.

– Ale przecież już go rozwiązałeś – powiedział Joe.

– Ja?

– W momencie kiedy mnie zbudowałeś. Z Brockiem rozmawiałeś wcześniej i rozwiązanie jego problemu zawarłeś we mnie. Być może podświadomie.

Gallegher sięgnął po piwo.

– Mów szybko. Jakie jest to rozwiązanie?

– Poddźwięki – odparł Joe. – Wyposażyłeś mnie w pewien sygnał poddźwiękowy, który Brock musi nadawać w nieregularnych odstępach podczas swoich programów telewizyjnych. Poddźwięków się nie słyszy, ale się je czuje. Początkowo jako lekki niepokój, który się stopniowo nasila przybierając w końcu postać ślepej, bezsensownej paniki. Ten stan nie trwa długo, ale kiedy się na niego nałoży O.Z. – oddziaływanie zbiorowe – następuje pewien nieunikniony rezultat.

Ci, co korzystali z domowych telewizorów Vox-View, na ogół nie mieli kłopotów. Była to sprawa akustyki. Koty miauczały, psy wyły ponuro. Ale ludzie siedzący w salonach i podziwiający produkcje gwiazd Vox-View nie zdawali sobie sprawy, że coś jest nie tak. Przede wszystkim nie było wystarczającego wzmocnienia.

Ale w dzikim kinie, gdzie do nielegalnych telewizorów Vox-View zastosowano system Magna...

...na początku dał się odczuć lekki, niezrozumiały niepokój. Ten niepokój wzrastał. Ktoś krzyknął. Tłum rzucił się do drzwi. Publiczność czegoś się bała, ale nikt nie wiedział czego. Ludzie wiedzieli jedynie, że muszą się stamtąd wydostać.

Kiedy Vox-View po raz pierwszy włączył sygnał poddźwiękowy podczas normalnego programu, zaczął się masowy odwrót od dzikich kin w całym kraju. Nikt nie znał przyczyn tego stanu rzeczy, z wyjątkiem Galleghera, Brocka i paru techników, którzy zostali wtajemniczeni.

W godzinę później nadano kolejny sygnał poddźwiękowy. Skutkiem był kolejny szalony exodus.

W przeciągu kilku tygodni pies z kulawą nogą nie zajrzał do dzikiego kina. Domowe telewizory okazały się znacznie bezpieczniejsze! Akcje Vox-View wzrosły niesłychanie... Nie tylko nikt nie chciał chodzić do dzikich kin, ale w wyniku nieoczekiwanego eksperymentu ludzie unikali również i zalegalizowanych kin Sonatone. Zaczął działać odruch warunkowy.

Publiczność nie zdawała sobie sprawy, dlaczego w dzikich kinach ogarniała ją panika, ślepy, bezsensowny strach kładąc na karb innych czynników, w tym szczególnie gangsterstwa i klaustrofobii. Któregoś wieczoru niejaka Jane Wilson, skądinąd nie odznaczająca się niczym szczególnym kobieta, wybrała się do dzikiego kina. Uciekła wraz ze wszystkimi, kiedy rozpoczął się sygnał poddźwiękowy.

Następnego dnia poszła do wytwornego „Bijou” Sonatone. W samym środku pełnego napięcia filmu rozejrzała się dokoła, stwierdziła, że jest otoczona tłumem ludzi, wzniosła do sufitu pełne przerażenia oczy i wydało jej się, że ten sufit ją miażdży.

Musiała natychmiast uciekać!

Jej krzyk podziałał jak sygnał alarmowy. Byli i inni, którzy już wcześniej słyszeli poddźwięki. Podczas paniki nikt nie został uszkodzony. Istniało zarządzenie, żeby drzwi do kin były odpowiednio szerokie na wypadek pożaru. Nikt wprawdzie nie został uszkodzony, ale stało się nagle jasne, że wskutek oddziaływania poddźwięków publiczność unika kombinacji tłumy i kina, Zwykły odruch warunkowy...

W przeciągu czterech miesięcy dzikie kina przestały istnieć, a wytworne kina Sonatone zostały pozamykane z braku publiczności. Tone'owie, ojciec i syn, nie byli specjalnie szczęśliwi. Odwrotnie niż wszyscy w jakikolwiek sposób związani z Vox-View.

Wszyscy z wyjątkiem Galleghera. Otrzymał od Brocka czek na zawrotną sumę i natychmiast zatelegrafował do Europy, by mu przysłano niewiarygodne ilości puszkowanego piwa. Obecnie, rozpamiętując swoje troski, leżał na kanapie i wstrzykiwał sobie do ust whisky z wodą. Joe stał jak zwykle przed lustrem i podziwiał obracające się w nim kółka.

– Joe – powiedział Gallegher.

– Tak? Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

– Och, nie. – I na tym polegał kłopot. Gallegher wyłowił z kieszeni zgnieciony świstek i ponuro jeszcze raz odczytał treść telegramu. Producent piwa postanowił dokonać pewnych zmian. Od tej chwili, informował telegram, spełniając życzenia klientów i szanując powszechnie panujący obyczaj będzie sprzedawał piwo w normalnych bańkach plastikowych. Koniec z puszkami.

W naszych czasach już nic się nie puszkuje. A od teraz nawet i piwa.

Jaki więc pożytek z robota, który został zbudowany i zaprogramowany do tego, żeby być otwieraczem do puszek?

Gallegher westchnął i przygotował sobie następną whisky z wodą, tym razem prawie bez wody. Joe dumnie pozował przed lustrem

W pewnym momencie wysunął oczy na słupkach, ustawił je naprzeciwko siebie i szybko w drodze autohipnozy uwolnił swoją podświadomość; mógł się lepiej w ten sposób podziwiać.

Gallegher znów westchnął. Dokoła w promieniu kilku przecznic rozszczękały się psy. No cóż.

Wypił jeszcze jednego drinka i poczuł się lepiej. Czas najwyższy, pomyślał, zaśpiewać „Frankie i Johnnie”. A może by tak stworzyli z Joem duet – jeden baryton i jeden niesłyszalny nad czy poddźwięk. Idealna harmonia.

W dziesięć minut później Gallegher śpiewał w duecie ze swoim otwieraczem do puszek.

## Ex machina

– Pomysł podsunęła mi butelka z etykietką „Wypij mnie” – powiedział niepewnie Gallegher. – Nie mam technicznej smykałki, chyba że jestem pijany. Nie odróżniam elektronu od elektrody, wiem tylko, że jedno jest niewidzialne. To znaczy czasami odróżniam, ale mi się mylą. Mój problem to semantyka.

– Twój problem to picie – powiedział przezroczysty robot z lekkim skrzypieniem zakładając nogę na nogę. Gallegher skrzywił się.

– Nic podobnego. Jak piję, to zupełnie nieźle sobie radzę. Tylko w okresach trzeźwości robię głupstwa. Mam technicznego kaca. Humor w postaci płynnej wycieka mi oczami w drodze osmozy. Czy to się trzyma kupy?

– Nie – odparł robot, który miał na imię Joe. – Po prostu płaczesz nic więcej. Czy włączyłeś mnie po to tylko, żeby mieć audytorium? Jestem w tej chwili zajęty.

– Zajęty? Czym?

– Analizowaniem filozofii, per se. Wy, ludzie, jesteście wprawdzie ohydni, ale macie czasami błyskotliwe pomysły. Przejrzysta intelektualna logika czystej filozofii jest dla mnie odkryciem.

Gallegher powiedział coś o twardym, przypominającym diament płomieniu. W dalszym ciągu od czasu do czasu popłakiwał, co mu przypominało butelkę z etykietką „Wypij mnie”, która z kolei przypominała o stojących koło kanapy organach alkoholowych. Gallegher sztywno przemiescił swoją wysoką postać przez laboratorium omijając trzy pękate przedmioty, które mogły być dynamami. – Monstrum i Belkotkę – tyle że było jeszcze trzecie. Ta świadomość zaświtała na krótko i niejasno w jego mózgu. Ponieważ jedno z dynam cały czas mu się przyglądało. Gallegher odwrócił wzrok, padł na kanapę i zaczął manipulować guzikami. Kiedy się okazało, że do jego wysuszonego gardła nie spłynęła przez rurkę ani kropla alkoholu, wyjął ustnik, zamrugnął bezradnie oczyma i polecił Joemu przynieść piwo.

Szklanka była pełna po brzegi, kiedy ją podnosił do ust, ale zanim zdążył ją opróżnić, okazała się pusta.

– To bardzo dziwne – powiedział. – Czuję się jak Tantal.

– Ktoś ci wypija piwo – wyjaśnił Joe. – A teraz zostaw mnie w spokoju. Przyszło mi do głowy, że jak opanuję rudimenta filozofii, będę mógł jeszcze lepiej docenić moje barokowe piękno.

– Bez wątplenia – rzekł Gallegher. – Wynoś się od tego lustra. Kto mi wypija piwo? Mały zielony człowieczek?

– Małe brunatne zwierzątko – wyjaśnił Joe tajemniczo i znów odwrócił się do lustra na oczach wściekłego Gallaghera, który łypał na niego społem. Były chwile, kiedy pan Galloway Gallegher marzył o tym, żeby związać Joego i unieszkodliwić puszczając na niego strumyczek kwasu solnego. Zamiast tego sięgnął po następną szklankę piwa. Z tym samym jednak kiepskim skutkiem.

W przypiływie wściekłości zerwał się i nalał sobie wody sodowej. Małe brunatne zwierzątko widać jeszcze mniej gustowało w takich płynach niż on sam; w każdym razie woda nie zniknęła w tajemniczy sposób. Już nie tak spragniony, ale jeszcze bardziej zdezorientowany Gallegher okrążył trzecie dynamo o jasnych, błękitnych oczach i posępnie obejrzał sprzęt, którym zavalony był jego stół laboratoryjny. Stały tam butelki pełne podejrzanych płynów, najwyraźniej bezalkoholowych, ale etykiety mówiły mu niewiele albo zgoła nic. Podświadomość Gallaghera, wyzwolona poprzedniego wieczora przez alkohol, pooznaczała je dla ułatwienia. Ale ponieważ Super – Gallegher, choć znakomity wynalazca, miał dość zwichrowaną optykę, etykiety nie na wiele mu się zdały. Jedna z nich głosiła: „Tylko króliki”. Inna zapytywała: „Dlaczego nie?”, trzecia oznajmiała: „Noc wigilijna”.

Znajdowało się tam też bardzo skomplikowane zbiorowisko kółek, trybików, rurek, kół zębatych i świetlówek – wszystko razem włączone do gniazdka.

– Cogito ergo sum – mruknął cicho Joe. – O ile mi nikt nie zawraca głowy. Hmm.

– A co z tym małym brunatnym zwierzątkiem? – zainteresował się Gallegher. – Czy ono istnieje w rzeczywistości, czy to tylko urojenie?

– A co to jest rzeczywistość? – zapytał Joe, wprowadzając do sprawy coraz większy zamęt. – Jeszcze nie rozwiązałem tego problemu w sposób, który by mnie zadowolili.

– Ciebie zadowolili! – wykrzyknął Gallegher. – Budzę się z kacem do dziesiątej potęgi i nawet nie mogę liczyć na drinka. A ty opowiadasz bzdury o jakichś małych brunatnych zwierzątkach, które mi wypijają alkohol. I jeszcze cytujesz jakieś przebrzmiałe filozoficzne formuły. Niech no ja tylko złapię ten łom, który leży w kącie, a zaraz skończy się twoje myślenie, i twoje bytowanie.

Joe ustąpił z wdziękiem.

– To bardzo małe stworzonko, które porusza się ogromnie szybko. Tak szybko, że go wcale nie widać.

– No to jak go zobaczyłeś?

– Ja go nie widziałem. Ja je sensuję – wyjaśnił Joe, obdarzony jednym zmysłem więcej niż normalni ludzie.

– A gdzie ono teraz jest?

– Przed chwilą wyszło.

– No cóż... – Gallegher na próżno szukał słów. – Wczoraj wieczorem coś się tu musiało dziać.

– Jasne – zgodził się Joe. – Ale mnie wyłączyłeś, jak tylko wszedł ten paskudny człowiek z wielkimi uszami.

– Pamiętam. strzępiłeś swój plastikowy język... jaki człowiek?

– Ten paskudny. Powiedziałeś dziadkowi, żeby sobie poszedł na spacer, ale nie mogłeś go oderwać od butelki.

– Dziadek. Och. A gdzie on jest?

– Może wrócił do Maine – zasugerował Joe. – Cały czas się odgrażał.

– Nigdy nie wyjeżdża, dopóki nie wysuszy całej piwnicy – powiedział Gallegher. Włączył audio system i skontaktował się

po kolei ze wszystkimi pokojami. Nie uzyskał żadnej odpowiedzi. Wstał i rozpoczął poszukiwania. Ani śladu dziadka.

Wrócił do laboratorium, usiłując zignorować trzecie dynamo z dużymi błękitnymi oczyma, i znów beznadziejnie zaczął wpatrywać się w leżące na stole sprzęty. Wdzięczący się przed lustrem Joe oświadczył, że wierzy w podstawową filozofię intelektualizmu. Ale i tak, dodał widząc, że intelekt Galleghera pozostaje w stanie nieważkości, warto wziąć magnetofon i sprawdzić, co tu się wczoraj działo. To była myśl. Jakiś czas temu, zdając sobie sprawę, że Gallegher trzeźwy nigdy nie pamięta przygód Galleghera zaprutego, zainstalował w laboratorium przyrząd audiowizualny, tak sprytnie pomyślany, żeby sam się włączał, kiedy wymagały tego okoliczności. Na jakich zasadach działało, Gallegher nie potrafiłby powiedzieć, z wyjątkiem tego, że w jakiś cudowny sposób robiło swojemu autorowi badanie krwi na zawartość alkoholu i dokonywało zapisu, kiedy ten poziom osiągnął odpowiednią wysokość. W tej chwili aparat był przysłonięty płachtą. Gallegher przysunął ekran i zaczął oglądać wydarzenia z ubiegłego wieczora i słuchać zapisu dźwiękowego.

Joe stał w kącie, wyłączony, najprawdopodobniej rozmyślając. Dziadek – zasuszony, mały człowieczek z brunatną twarzą przypominającą rozszoszczonego dziadka do orzechów – siedział na stolku tuląc do siebie butelkę. Gallegher wyjmował właśnie z ust ustnik organów alkoholowych, zatankowawszy już wystarczająco dużo, żeby magnetofon się włączył.

Szczupły mężczyzna w średnim wieku, z dużymi uszami, bardzo ożywiony, podskakiwał na brzegu kanapy, nie spuszczać gospodarza z oczu.

– Bzdura – powiedział dziadek piskliwym głosem. – Jak ja byłem młody, zabijało się niedźwiedzie gołymi rękami. Żaden z tych nowoczesnych zwariowanych pomysłów...

– Dziadku – przerwał mu Gallegher – zamknij się. Nie jesteś aż tak stary. A poza tym jesteś łgarz.

– Przypomniało mi się, jak kiedyś byłem w lesie i wyszedł na mnie niedźwiedź. A nie miałem żadnej broni. I wiecie, co wam powiem: wsadziłem mu rękę do paszczy...

– Twoja butelka jest pusta – wtrącił sprytnie Gallegher. Nastąpiła przerwa, w czasie której dziadek, zaskoczony, sprawdzał, czy tak jest istotnie. Ale nie było.

– Gorąco mi pana polecano – powiedział mężczyzna z dużymi uszami. – Mam nadzieję, że mi pan jednak pomoże. Mój partner i ja znaleźliśmy się w kropce.

Gallegher spojrzał na niego nieprzytomnie.

– A pan ma partnera? Kto to taki? Zresztą kim pan właściwie jest?

Zapadła grobowa cisza, gdy mężczyzna z dużymi uszami usiłował opanować zmieszanie. Dziadek opuścił butelkę i powiedział:

– Wtedy nie była pusta, a teraz jest. Gdzie masz następną?

Człowiek z uszami zamrugał.

– Panie Gallegher – powiedział słabym głosem. – Nic nie rozumiem. Omawialiśmy...

Gallegher odparł:

– Wiem. Bardzo przepraszam. To wszystko dlatego, że w sprawie techniki jestem beznadziejny, dopóki... ach... nie mam bodźca. Wtedy staję się geniuszem. Ale strasznie roztrzępany. Z pewnością mógłbym panu pomóc w rozwiązaniu pańskiego problemu, ale niestety zapomniałem, na czym on polega. Najlepiej niech pan zacznie od początku. Kim pan jest i czy dał mi pan już jakieś pieniądze?

– Jestem Jonas Harding – odparł energiczny mężczyzna. – Mam, owszem, przy sobie pięćdziesiąt tysięcy kredytów, ale nie doszliśmy jeszcze do porozumienia.

– Dawaj pan forszę, to zaraz dojdziemy – powiedział Gallegher ze źle ukrywaną chciwością. – Potrzebne mi są pieniądze.

– Jasne, że ci są potrzebne – wtrącił dziadek, cały czas poszukując butelki. – Twoje konto świeci pustkami, na twój widok zamykają w banku drzwi. Napiłbym się.

– Spróbuj organów – podsunął mu Gallegher. – No więc, panie Harding...

– Wolę butelkę. Nie mam zaufania do tych twoich wynalazków.

Mężczyzna, mimo swego zainteresowania sprawą, nie mógł ukryć rosnącego sceptycyzmu.

– Co do pieniędzy – rzekł – to byłoby lepiej, żebyśmy najpierw trochę pogadali. Bardzo gorąco mi pana rekomendowano, ale być może trafiłem akurat na jeden z tych dni, kiedy pan jest nieczynny.

– Bynajmniej. Mimo wszystko...

– Nie rozumiem, dlaczego miałbym panu dawać jakiegokolwiek pieniądze, zanim dojdziemy do porozumienia – zauważył przytomnie Harding. – Zwłaszcza, że pan nawet nie pamięta ani kim jestem, ani o co mi chodzi.

Gallegher westchnął i poddał się.

– W porządku. Proszę mi wobec tego powiedzieć, czym pan jest i o kogo panu chodzi. To znaczy...

– Wracam do domu – zagroził dziadek. – Gdzie jest butelka?

Harding powiedział zrozpaczony:

– Panie Gallegher, wszystko ma swoje granice. Ja do pana przychodzę, a tu pański robot mnie obraża, pański dziadek mnie poi samogonem. Jużeście mnie prawie struli...

– Samogon wysłałem z mlekiem matki – mruknął dziadek. – Te młodziaki dzisiaj nie potrafią pić.

– Wobec tego przejdźmy do interesów – wtrącił przytomnie Gallegher. – Już mi dobrze. Położę się tylko na kanapie i może pan mówić. – Położył się pociągając leniwie dżin z ustnika organów alkoholowych. Dziadek zaklął. – No, słucham... Od początku.

Harding westchnął nieznacznie.

– Jestem współwłaścicielem firmy Nadnercza z Ograniczoną Odpowiedzialnością. Prowadzimy serwis. Jest to serwis luksusowy, na miarę naszych czasów, naszego wieku. Jak już panu mówiłem...

- Wszystko zapomniałem – mruknął Gallegher. – Trzeba było zrobić kopię. Czym wy się zajmujecie? Coś mi się majaczy, że budujecie maleńkie prefabrykowane domy na nerkach, ale wiem oczywiście, że muszę się mylić.
- Musi pan – uciął krótko Harding. – Proszę, oto kopia dla pana. Zajmujemy się pobudzaniem pracy nadnerczy. Dziś człowiek żyje spokojnie i bezpiecznie...
- Ha! – wtrącił Gallegher z goryczą.
- ...dzięki różnym udogodnieniom i urządzeniom zabezpieczającym, postępowi medycyny i ogólnej strukturze życia społecznego. Otóż nadnercza spełniają bardzo ważną rolę w organizmie normalnego zdrowego człowieka. – Harding najwyraźniej wsiadł na swojego zawodowego konika. – Przed wiekami żyliśmy w jaskiniach i kiedy tygrys wychynał z dżungli, nasze nadnercza przechodziły do natychmiastowej akcji dostarczając organizmowi adrenaliny. Następował wybuch aktywności czy to w kierunku walki, czy wręcz przeciwnie, ucieczki, i taki właśnie okresowy dopływ adrenaliny do krwioobiegu regulował cały organizm. Żeby nie wspomnieć o korzyściach natury psychicznej. Człowiek jest stworzeniem agresywnym. Zatraca powoli ten instynkt, ale można go ożywić pobudzając sztucznie nadnercza.
- Może drinka? – powiedział z nadzieją w głosie dziadek, który praktycznie nie rozumiał nic z wywodu Hardinga.
- Harding stał się tajemniczy. Pochylił się konfidencjonalnie.
- Atrakcja – powiedział. – Na tym rzecz polega. Oferujemy przygodę. Bezpieczną, z dreszczykiem, podniecającą, pełną uroku przygodę dla zblazowanych współczesnych mężczyzn i kobiet. Nie jest to zastępcze, płaskie przeżycie, jakie serwuje telewizja: my proponujemy coś autentycznego. Nadnercza z Ograniczoną Odpowiedzialnością zapewniają super przygodę, dbając jednocześnie o zdrowie zarówno fizyczne, jak i psychiczne. Musiał pan widzieć nasze reklamy: „Masz chandrę? Jesteś zmęczony? Jedź na polowanie – wrócisz innym człowiekiem; świat będzie należał do ciebie”.
- Na polowanie?
- Na polowanie?
- Organizowanie polowań jest najpopularniejszą z naszych usług – odparł Harding przybierając z powrotem urzędowy ton.
- To zresztą nic nowego. Już bardzo dawno biura podróży proponowały ekscytujące polowania na tygrysy w Meksyku...
- W Meksyku nie ma żadnych tygrysów – wtrącił dziadek. Byłem tam. Ostrzegam: jeśli mi nie znajdziesz butelki, wracam zaraz do Maine.
- Ale Gallegher był pochłonięty problemem Hardinga.
- Wobec tego nie rozumiem, na co ja miałbym się panu przydać. Nie mogę panu dostarczyć tygrysów.
- Tygrys meksykański należał w gruncie rzeczy do rodziny kotów. Pum chyba. Mamy na całym świecie rezerваты – koszty założenia, jak i utrzymania tych rezerwatów są bardzo wysokie – i tam właśnie odbywają się nasze polowania, starannie zaplanowane z góry w najdrobniejszych szczegółach. Niebezpieczeństwo należy ograniczyć do minimum, szczerze powiedziawszy, wyeliminować całkowicie. Musi istnieć jednak złudzenie niebezpieczeństwa, w przeciwnym bowiem razie klient nie odczuje dreszczyku przygody. Próbowaliśmy tak tresować zwierzęta, żeby się dosłownie w ostatniej chwili cofały, ale... szkoda słów... nie mieliśmy w tej dziedzinie wielkich sukcesów. Z przykrością muszę powiedzieć, że straciliśmy w ten sposób kilku klientów. Inwestycja jest ogromna i musi się zwrócić. Doszliśmy do wniosku, że nie możemy używać ani tygrysów, ani w gruncie rzeczy żadnych większych drapieżników. Jest to po prostu niebezpieczne. Ale mimo wszystko trzeba stworzyć choćby złudzenie niebezpieczeństwa. Kłopot polega na tym, że powoli schodzimy do roli klubu strzeleckiego. A w strzelaniu do rzutków element zagrożenia osobistego nie istnieje.
- Jeśli pan chce mieć przyjemność jak trzeba, to niech pan jedzie ze mną do Maine, ja panu pokażę prawdziwe polowanie. W naszych górach są w dalszym ciągu niedźwiedzie.
- Gallegher powiedział:
- Zaczynam rozumieć. Ale jeśli chodzi o ten element zagrożenia osobistego... zastanawiam się! Jaka jest w gruncie rzeczy definicja niebezpieczeństwa?
- Niebezpieczeństwo jest wtedy jak coś cię chce dorwać – wyjaśnił dziadek.
- To, co nieznanne, obce, też jest niebezpieczne, z tej prostej przyczyny, że tego nie rozumiemy. Dlatego historie o duchach cieszyły się zawsze takim powodzeniem. Ryk w ciemności jest bardziej przerażający niż sam tygrys w świetle dziennym.
- Harding skinął głową.
- Rozumiem, co pan ma na myśli, ale jest jeszcze jedna sprawa. Zwierzyna nie może być zbyt łatwo dostępna. Nic prostszego, jak zabić królika. No i oczywiście musimy zaopatrywać naszych klientów w najnowocześniejszą broń.
- Dlaczego?
- Względny bezpieczeństwa. Problem polega na tym, że z tymi wszystkimi radarami i wzmacniaczami węchu każdy dureń potrafi wytropić i ustrzelić zwierzynę. Nie ma w tym żadnego ryzyka, chyba że w grę wchodzi tygrys ludojad, a to ryzyko jest trochę przyduże jak dla naszych klientów.
- No to o co panu chodzi?
- Właśnie nie jestem pewien – powiedział wolno Harding. – Może o jakieś nowe zwierzę. Takie, które by spełniało wymagania Nadnerczy z Ograniczoną Odpowiedzialnością. Ale sam nie wiem, co by to mogło być. W przeciwnym razie nie przychodziłbym do pana.
- Gallegher odparł:
- Trudno wyczarować jakieś nowe zwierzęta z niczego.
- A skąd je wziąć?
- Właśnie się zastanawiałem. Z innych planet? Z innych strumieni czasu? Innych wszechświatów? Dorwałem kiedyś takie zabawne zwierzątko, Iybble, przez podłączenie się do przyszłości marsjańskiej, ale one by się nie nadawały.
- To co, z innych planet?
- Gallegher wstał i podszedł do stołu laboratoryjnego. Zaczął montować jakieś pojedyncze kółka zębate i rurki.

– Coś mi zaczyna świtać. Ukryte czynniki zawarte w ludzkim umyśle... Moje ukryte czynniki zaczynają się budzić do życia. Zaraz, chwileczkę. A może...

W rękach Gallaghera zaczęło powstawać jakieś nowe urządzenie, ale uczoney był cały czas zaprzątnięty myślami. Nagle zaklął, rzucił wszystko i z powrotem przypiął się do organów alkoholowych. Dziadek spróbował właśnie przed nim tego samego, ale zachłysnął się pierwszym łykiem dżinu. Zagroził, że wróci do domu, zabierze ze sobą Hardinga i pokaże mu prawdziwe polowanie.

Gallegher zepchnął starego z kanapy.

– Panie Harding – powiedział – zrobię to panu na jutro. Jeszcze ostatnie pociągnięcie...

– Chyba z butelki – rzekł Harding wyjmując zwitek banknotów. – Wiele o panu słyszałem, panie Gallegher. Pan nie potrafi pracować inaczej jak pod presją. Musi pan mieć nóż na gardle, inaczej nie zrobi pan nic. Co pan na to? Pięćdziesiąt tysięcy kredytów. – Spojrzał na zegarek. – Daję panu godzinę. Jeżeli przez ten czas nie rozwiąże pan mojego problemu, nasza umowa jest nieważna.

Gallegher zerwał się z kanapy jak oparzony.

– Pan żartuje. Co to jest godzina.

Harding powtórzył z uporem:

– Jestem człowiekiem solidnym. Wiem o panu wystarczająco dużo, żeby się zorientować, że pan taki nie jest. Mogę znaleźć innych specjalistów, pan dobrze o tym wie. Godzina. Jeśli nie, to wychodzę i zabieram ze sobą pięćdziesiąt tysięcy kredytów!

Gallegher pożałował wzrokiem pieniądze. Łyknął szybko alkoholu, zaklął cicho i wrócił do rozpoczętego przyrzędu. Tym razem nie przerwał pracy.

Po chwili ze stołu laboratoryjnego strzelił mu w oko promień światła. Zatoczył się z krzykiem do tyłu.

– Nic się panu nie stało? – Harding podskoczył zaniepokojony.

– Jasne, że nic – burknął Gallegher wyłączając prąd. – Chyba wiem, o co chodzi. To światło... ouuu. Poraziło mi oczy. – Wymruął łyzy. A następnie poszedł do organów alkoholowych. Łyknąwszy solidnie skinął na Hardinga.

– Zaczynam rozumieć, o co panu chodzi. Ale nie wiem, ile czasu mi to zajmie. – Skrzywił się. – Dziadku, czy dziadem majstrował przy organach?

– Nie wiem. Naciskałem jakieś klawisze.

– Tak też myślałem. To przecież nie jest dżin. Brrr!

– A co, jakaś siekiera, tak? – zainteresował się dziadek i ruszył ku organom, żeby znów spróbować.

– Bynajmniej – odparł Gallegher i podszedł na kolanach do magnetofonu audiosonicznego. – A to co? Szpieg, tak? Już my w tym domu wiemy, jak się obchodzić ze szpiegami, ty ohydny zdrajco. – Z tymi słowy wstał, złapał koc i zarzucił na magnetofon.

W tym momencie naturalnie ekran zgasł.

– Za każdym razem bardzo sprytnie przechytrzam samego siebie – zauważył Gallegher wyłączając magnetofon.

– Zadałem sobie trud, żeby zbudować to urządzenie, a potem zasłaniam je dokładnie w momencie, kiedy zaczynają się dziać rzeczy ciekawe. Wiem mniej niż poprzednio, ponieważ teraz jest więcej nieznanymi elementami.

– Świat jest poznawalny – mruknął Joe.

– Ciekawa koncepcja – przyznał Gallegher. – Ale Grecy wpadli na to już dość dawno. Sądzę, że wkrótce, jak dobrze poruszasz głowę, dojdiesz do błyskotliwego odkrycia, że dwa i dwa to cztery.

– Cicho, ty paskudny człowieku – powiedział Joe. – Przechodzę teraz do abstrakcji. Idź otworzyć drzwi i zostaw mnie w spokoju.

– Drzwi? A dlaczego? Przecież nikt nie dzwoni.

– Ale zaraz zadzwoni – zapewnił go Joe. – O, proszę.

– Tak wcześnie rano goście – westchnął Gallegher. – Może to zresztą dziadek. – Nacisnął guzik, wpatrzył się w ekran, ale nie poznał faceta o końskiej szczęce i krzaczastych brwiach. – Proszę wejść – powiedział. – I iść za linią przewodnią. – Po czym, nie bacząc na swoje obecne tentalowe przypadłości, łapczywie rzucił się na organy.

Człowiek o końskiej szczęce wszedł do pokoju. Gallegher powiedział:

– Szybko, ściga mnie małe brunatne zwierzątko, które mi wypija cały alkohol. Mam poza tym jeszcze parę innych kłopotów, ale ten jest największy. Umrę, jeśli się nie napiję, więc niech pan mówi, o co panu chodzi, i zostawi mnie sam na sam z moimi problemami. Chyba nie jestem panu nic winien, co?

– To zależy – odparł nowo przybyły z silnym szkockim akcentem. – Nazywam się Murdoch Mackenzie i zakładam, że mam przyjemność z panem Gallegherem. Nie budzi pan we mnie zaufania. Gdzie jest mój partner i pięćdziesiąt tysięcy kredytów, które miał przy sobie?

Gallegher zastanowił się.

– Pański wspólnik? Czy ma pan może na myśli Jonasa Hardinga?

– O niego mi właśnie chodzi. Mój wspólnik w firmie Nadnercza z Ograniczoną Odpowiedzialnością.

– Nie widziałem go na oczy...

Joe wtrącił z uradowaną jak zwykle miną:

– To ten paskudny z wielkimi uszami. Ależ on był ohydny.

– To by się zgadzało – skinął głową Mackenzie. – Zauważyłem, że użył pan czasu przeszłego. Czy pan przypadkiem nie zamordował mojego wspólnika i nie pozbył się ciała przy pomocy jednego ze swoich wynalazków?

– Ciekawe – rzekł Gallegher – skąd panu to przyszło do głowy. Czyżbym miał na czole znak Kaina? Na jakiej podstawie doszedł pan do takiego wniosku? Pan musi być chyba szalony.

Mackenzie masował swoją końską szczękę, jednocześnie obserwując Galleghera spod siwych krzaczastych brwi.

– Nie byłaby to zresztą wcale wielka strata – przyznał. – Nie mam z Jonasa pociechy w interesach. Jest zbyt systematyczny. Ale kiedy szedł do pana wczoraj wieczorem, miał przy sobie pięćdziesiąt tysięcy kredytów. No i jeszcze sprawa ciała. Ubezpieczenie jest ogromne. Tak między nami, panie Gallegher, nie miałbym panu wcale za złe, gdyby pan zamordował mojego niefortunnego współnika i wziął sobie te pięćdziesiąt tysięcy. Szczerze mówiąc, nie wiem nawet, czybym nie przymknął oka, gdyby pan zatrzymał sobie z tego powiedzmy... dziesięć, a mnie oddał resztę. Ale pod warunkiem, że przedstawi pan legalny dowód śmierci Jonasa, tak, żeby moi mocodawcy byli zadowoleni.

– Logika – rzekł Joe z podziwem. – Cudowna logika. To zdumiewające, jak taka logika może pochodzić od takiego nieprzezroczyściego potwora.

– Wyglądałbym znacznie potworniej, mój młody przyjacielu, gdybym miał skórę tak przezroczystą jak ty – odparł Mackenzie – o ile plansze anatomiczne nie kłamią. Ale mówiliśmy o ciele mojego współnika.

Gallegher powiedział wściekły:

– Coś niebywałego! Przecież pan się staje współnikiem w zbrodni, czy coś w tym rodzaju.

– Aha, czyli że pan się przyznaje do zarzutu.

– W żadnym razie! Pan jest zbyt pewny siebie, panie Mackenzie. Założę się, że pan sam zabił Hardinga, a teraz usiłuje mnie w to wrobić. Skąd pan wie, że on nie żyje?

– Przyznaję, że to wymaga pewnych wyjaśnień – rzekł Mackenzie. – Jonas był człowiekiem solidnym: nie zdarzyło się, żeby kiedykolwiek nie stawiał się na spotkanie, pod żadnym pozorem. Wczoraj wieczorem był poumawiany z ludźmi i dzisiaj rano też, między innymi ze mną. A ponadto, kiedy szedł do pana, miał przy sobie pięćdziesiąt tysięcy kredytów.

– Skąd pan wie, że on tutaj dotarł?

– Przywiozłem go swoim aerobilem, pożegnałem pod pańskimi drzwiami i widziałem jak wchodzi.

– Ale nie widział pan, jak wychodzi, a mimo to wyszedł – rzekł Gallegher.

Mackenzie, zupełnie nie spieszony, zaczął wyliczać punkt po punkcie na swoich kościstych palcach.

– Panie Gallegher, dziś rano sprawdziłem pańską kartotekę i muszę powiedzieć, że wynik nie jest budujący. Nierówna – to najogólniej powiedziane. W przeszłości był pan zamieszany w jakieś mętne interesy i oskarżony o różne przestępstwa. Nigdy panu niczego nie udowodniono, ale podejrzewam, że pan jest po prostu wielki spryciarz. Policja by się pewnie ze mną zgodziła.

– I tym razem nic mi nie udowodnią. Harding jest najprawdopodobniej w domu, we własnym łóżku.

– Otóż nie jest. A pięćdziesiąt tysięcy kredytów to kupa pieniędzy. Nie mówiąc już o jego ubezpieczeniu, jeszcze znacznie wyższym. Firma będzie w przykrym położeniu, jeżeli Jonas się nie znajdzie, no i skończy się to z pewnością procesem, a proces kosztuje.

– Ale ja nie zabiłem pańskiego współnika! – wykrzyknął Gallegher.

– Ach – uśmiechnął się Mackenzie. – A jeżeli ja zdołam udowodnić, że pan zabił, to na jedno wyjdzie, i to z niemałą korzyścią dla mnie. Chyba pan rozumie, panie Gallegher, swoją sytuację. Czy nie lepiej przyznać się, powiedzieć, co pan zrobił z ciałem, i mieć z tego przynajmniej te pięć tysięcy?

– Przed chwilą mówił pan o dziesięciu.

– Pan chyba zwariował – rzekł Mackenzie z mocą. – Nic takiego nie mówiłem, a przynajmniej nic takiego mi pan nie udowodni.

Gallegher powiedział:

– Może byśmy się tak napili. I wtedy porozmawiamy. – Przyszła mu do głowy pewna myśl.

– Wspaniały pomysł.

Gallegher znalazł dwie szklanki i pomajstrował przy organach alkoholowych. Jedną szklankę wyciągnął w stronę Mackenziego, ale mężczyzna potrząsnął głową i sięgnął po drugą.

– To może być trucizna – rzekł. – Ma pan twarz nie budzącą zaufania.

Gallegher zignorował tę uwagę. Miał nadzieję, że wobec dwóch pełnych szklanek tajemnicze brunatne zwierzątko okaże się bezradne. Usiłował wychylić whisky za jednym zamachem, ale poczuł znów męki Tantalą: na język spadła mu jedna kropla. Szklanka była pusta. Opuścił ją i wpatrzył się w Mackenziego.

– Tani trik – rzekł gość stawiając swoją szklankę na stole. – Ja nie prosiłem o whisky, przyzna pan. Ale jak pan to zrobił, że zniknęła?

Wściekły i zawiedziony Gallegher burknął:

– Jestem czarownikiem. Sprzedałem duszę diabłu. Za dwa centy mogę tak zrobić, że i pan zniknie.

Mackenzie wzruszył ramionami.

– Nie boję się. Gdyby pan mógł, już by pan to zrobił. A co do czarów, nie byłbym rzeczywiście taki sceptyczny po tym, jak zobaczyłem tego przycupniętego w kącie potwora. Wskazał trzecie dynamo, które nie było dynamem.

– Co? chce pan powiedzieć, że pan też to widzi?

– Widzę więcej, niż pan sobie wyobraża, panie Gallegher – rzekł tajemniczo Mackenzie. – Jeśli chodzi o ścisłość, idę właśnie na policję.

– Chwileczkę. Nic panu z tego nie przyjdzie.

– Z rozmowy z panem tym bardziej nic mi nie przyjdzie. Skoro pan się tak upiera, to jednak spróbuję wezwać policję. Jeżeli potrafią udowodnić, że Jonas nie żyje, to przynajmniej podejmę jego ubezpieczenie.

– Niech pan chwileczkę zaczeka. Pański współnik był tu rzeczywiście. Chciał, żebym mu pomógł w rozwiązaniu pewnego problemu.

– No i? Pomógł pan?

– Nnnie, ale przynajmniej...

– Nie ma o czy mówić – odrzekł Mackenzie z mocą i ruszył ku drzwiom. – Wkrótce się do pana odezwę.

Mackenzie wyszedł. Gallegher, nieszczęśliwy i zamyślony, padł na kanapę. W pewnym momencie podniósł wzrok i zaczął się wpatrywać w trzecie dynamo. Był to przysadzisty, bezkształtny przedmiot, jak piramida o ściętym wierzchołku, która topniejąc wpatrywała się w niego parą błękitnych oczu. Oczu, agatów czy też pomalowanych na niebiesko kawałków metalu – tego nie był pewien. Stworzenie miało jakieś trzy stopy wysokości i około trzech stóp średnicy w podstawie.

– Joe – odezwał się Gallegher – dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– Myślałam, że sam widziałeś.

– Widziałem, ale nie wiem, co to jest.

– I ja nie mam zielonego pojęcia.

– Skąd to się wzięło?

– Tylko twoja podświadomość może wiedzieć, jakie miałeś wczoraj wieczorem zamiary. Może wiedzą też dziadek i Jonas Harding, ale ich najwyraźniej nie ma.

Gallegher podszedł do wideofonu i zamówił rozmowę z Maine.

– Dziadek mógł jednak wrócić do domu. Mało prawdopodobne, żeby wziął ze sobą Hardinga, ale nie możemy zlekceważyć żadnej ewentualności. Lepiej sprawdzić. Jedno jest pewne: przestały mi łzawić oczy. Co to było za urządzenie, które zbudowałem wczoraj wieczór? –

Podszedł do stołu laboratoryjnego i zaczął studiować tajemniczą zbieraninę. – Ciekawe, po co wbudowałem w ten obwód łyżkę do butów...

– Gdybyś dbał o to, żeby mieć zawsze surowiec pod ręką, Super – Gallegher nie musiałby się zadawać taką partanią – powiedział Joe bezlitośnie.

– Uch... może się upiłem i znów moja podświadomość wzięła górę, nie... tak nie można. Joe, ja już nie mogę. Muszę rzucić picie!

– Ciekawe, czy Dalton miał mimo wszystko rację.

Gallegher warknął:

– Czy musisz tak wytrzeszczać oczy? Potrzebuję pomocy!

– Nie otrzymasz jej ode mnie – odparł Joe. – Sprawa jest zupełnie prosta, tylko trochę porusz głową.

– Prosta? No, to proszę, słucham.

– Najpierw muszę się upewnić co do takiej jednej koncepcji filozoficznej.

– Nie spiesz się. Jak będę gnął w więzieniu, ty możesz cały czas poświęcić na rozmyślania abstrakcyjną. Wyrzaśnij mi piwa! A zresztą nie. I tak nie mógłbym go wypić. Jak wygląda to małe brunatne zwierzątko?

– Zrób wreszcie użytek z głowy – powiedział Joe.

– W tym stanie mogłaby mi posłużyć jedynie za kotwicę – mruknął Gallagher. – Ty znasz odpowiedzi na wszystkie pytania. Dlaczego mi nie powiesz, zamiast pleść bzdury.

– Świat jest poznawalny – rzekł Joe. – Dzisiaj jest logiczną konsekwencją wczoraj. Naturalnie, że rozwiązałeś problem, który postawiły przed tobą Nadnercza z Ograniczoną Odpowiedzialnością.

– Co takiego? Aha. Hardingowi chodziło o jakieś nowe zwierzę czy coś w tym rodzaju.

– No i?

– Mam dwa – oparł Gallagher. – Tego małego brunatnego niewidzialnego alkoholika i to błękitne stworzenie przycupnięte na podłodze. Mhm... ale skąd ja je wziąłem? Z innego wymiaru?

– A bo ja wiem. Skądś je wziąłeś.

– No, musiałem – zgodził się Gallegher. – Może zbudowałem machinę, która należy do innego świata. I może dziadek i Harding są teraz właśnie w tamtym świecie! Coś w rodzaju wymiany jeńców. Nie wiem. Hardingowi chodziło o jakieś zwierzęta, które by nie były niebezpieczne, a jednocześnie stwarzały złudzenie niebezpieczeństwa na tyle, żeby zapewnić klientom dreszczyk. Ale gdzie jest ten element niebezpieczeństwa? – Przełknął. – Oczywiście, sama odmienność tych stworzeń dostarcza iluzji. W każdym razie ja drzę.

– Dopływ adrenaliny do krwiobiegu reguluje cały organizm – wyrecytował gładko Joe.

– A więc najwyraźniej usiłując rozwiązać problem Hardinga złapałem te stworzenia lub wszedłem w ich posiadanie w jakiś inny sposób...mmm. – Gallegher stał naprzeciwko błękitnookiego bezkształtnego dziwoląga. – Hej, ty – odezwał się.

Nie uzyskał odpowiedzi. Mdłe błękitne oczy w dalszym ciągu patrzyły w przestrzeń. Gallegher ostrożnie wycelował palcem w jedno z nich.

Żadnej reakcji. Oko było nieruchome i twarde jak szkło. Gallegher dotknął niebieskawej gładkiej skóry. Przypominała metal. Opanowując strach spróbował podnieść stworzenie z podłogi, ale bezskutecznie. Musiało być albo straszliwie ciężkie, albo mieć u podstawy przysawki.

– Oczy – rzekł Gallegher. – Żadnych innych narządów zmysłów. Nie, to nie o to chodziło Hardingowi.

– To sprytne ze strony żółwia – rzekł Joe.

– Żółwia? Och, coś w rodzaju pancernika, tak? Masz rację. Rzeczywiście. No bo jak zabić albo nawet złapać coś takiego? Pokrywa zewnętrzna twarda. Stworzenie nieruchome, tak, Joe. Takie zwierzę nie musi walczyć ani uciekać. Żółw nie musi. A barakuda chyba by zwariowała usiłując pożreć żółwia. Idealna zwierzyna dla zniewieściałego intelektualisty, któremu potrzebny jest dreszczyk. No, ale co z adrenaliną?

Joe nie odezwał się słowem. Gallegher zamyślił się, ale po chwili sięgnął po jakieś odczynniki i aparaturę. Najpierw spróbował wiertła diamentowego, potem różnych kwasów.

Na wszelkie możliwe sposoby usiłował poruszyć błękitnookie stworzenie. Po godzinie zmagania przerwał jego

wściekle przekleństwa.

– No, i co z tą adrenaliną? – zapytał ironicznie.

– Zamknij się! – wrzasnął Gallegher. – To coś siedzi tylko i gapi się na mnie bez przerwy! Adrenal... co takiego?

– Zarówno złość, jak i strach pobudzają nadnercza, wiesz przecież. Ja myślę, że przez nieustanny bierny opór można doprowadzić do furii każdą istotę ludzką.

– To prawda – przyznał Gallegher, na którego były siódme poty, i na koniec wymierzył dziwnemu stworzeniu kopniaka.

Ruszył w stronę kanapy. – Wystarczy odpowiednio podnieść iloraz utrapienia i można złość zastąpić zdenerwowaniem. Ale co z tym brunatnym zwierzątkiem? Wcale nie jestem na nie zły.

– Spróbuj się napić – zaproponował Joe.

– Zgoda, jestem wściekły na takiego jednego małego złodziejzaka! Powiedziałeś, że porusza się tak szybko, że go nie widać, to jak mam go niby złapać?

– Musi być jakiś sposób.

– To stworzenie jest tak nieuchwytnie, jak tamto niedostępne. Czy mógłbym je unieruchomić przez upicie?

– Problem polega na przemianie materii.

– Za szybko spala, żeby się upić? Możliwe. Ale musi potrzebować bardzo dużo jedzenia.

– Zaglądałeś ostatnio do kuchni? – zapytał Joe.

Z wizją pustej spiżarni przed oczyma Gallegher wstał. Zatrzymał się przed błękitnookim stworzeniem.

– To nie ma chyba w ogóle przemiany materii. Ale przecież musi się czymś żywić. Tylko czym? Powietrzem? Możliwe.

Odezwął się gong u drzwi. Gallegher jęknął: „Ciekawe, kto tym razem” i wpuścił gościa. Wszedł mężczyzna o rumianej twarzy i wojowniczej minie, powiedział Gallegherowi, że jest chwilowo aresztowany, i zawołał swoich ludzi, którzy natychmiast zaczęli przeszukiwać mieszkanie.

– Mackenzie pana przysłał, jak sądzę, tak? – zapytał Gallegher.

– Zgadza się. Nazywam się Johnson. Wydział Kryminalny. Akty przemocy nieudowodnione. Czy chce pan porozumieć się z adwokatem?

– Tak – powiedział Gallegher skwapliwie korzystając z okazji. Zadzwoił do znajomego adwokata i zaczął opisywać tarapaty w jakich się znalazł. Tamten mu przerwał.

– Bardzo mi przykro, ale nie biorę żadnych spraw dotyczących spekulacji. Pan zna warunki.

– A kto mówi o spekulacji?

– Pański ostatni czek jest bez pokrycia. Tym razem gotówka na rękę albo nie mamy o czym mówić.

– Ja... chwileczkę! Skończyłem właśnie dobrze płatną pracę zleconą. Będę miał pieniądze...

– Zanim zostanę pańskim adwokatem, muszę najpierw zobaczyć kolor pańskich kredytów – powiedział niesympatyczny głos i ekran zgasł. Detektyw Johnson poklepał Galleghera po ramieniu.

– Aha, to znaczy, że nie ma pan nic na koncie, tak? Potrzebuje pan pieniędzy?

– To żadna tajemnica. Co nie znaczy, że jestem spłukany, naprawdę. Właśnie skończyłem...

– Pracę. Tak, słyszałem. I nagle stał się pan bogaty. A ile pan zarobił? Czy przypadkiem nie pięćdziesiąt tysięcy kredytów, co?

Gallegher westchnął głęboko.

– Nie odezwę się więcej słowem – powiedział i wrócił na kanapę usiłując ignorować policjantów, którzy wywracali jego laboratorium do góry nogami. Potrzebny mu był adwokat. I to bardzo. Ale nie mógł wziąć adwokata bez pieniędzy. A gdyby się tak zobaczył z Mackenzie...

Zadzwoił do niego. Mackenzie wydawał się radosny.

– Halo – powiedział. – O, widzę, że przyszła policja.

– Co do tej pracy, którą mi zlecił pański wspólnik... – zaczął Gallegher. – Rozwiązałem wasz problem. Mam to, o co chodziło.

– To znaczy ciało Jonasa, tak? – Mackenzie robił wrażenie zadowolonego.

– Nie, zwierzęta, o które prosiliście. Idealna zwierzyna.

– No cóż, szkoda, że nie powiedział pan wcześniej.

– Niech pan tu zaraz przyjeżdża i odwołuje policję – nalegał Gallegher. – Mówię poważnie: mam dla was idealną zwierzynę na polowania.

– Nie wiem, czy będę w stanie odwołać te psy gończe – rzucił Mackenzie – ale już jadę. Tylko niech pan pamięta, że nie zapłacę wiele.

– Masz ci los! – warknął Gallegher i przerwał połączenie. Wideofon zadzwonił. Gallegher dotknął słuchawki i na ekranie ukazała się twarz kobiety, która powiedziała:

– Panie Gallegher, w związku z pańskim telefonicznym zapytaniem o dziadka informujemy, że sprawdziliśmy: nie powrócił do Maine. To wszystko.

Twarz zniknęła. Johnson powiedział:

– A to co znowu? Pański dziadek? Co się z nim stało?

– Zjadłem go – odparł Gallegher wykrzywiając się. – Dlaczego nie zostawi mnie pan w spokoju?

Johnson coś zanotował.

– Pański dziadek. Dobrze... muszę sprawdzić. A, przy okazji, co to jest to coś, co tam siedzi? – wskazał na błękitnookie stworzenie.

– Studiuję dziwny przypadek degenerującego zapalenia szpiku kostnego, które dotyka barokowe głowonogi.

– Aha, rozumiem. Dziękuję. Fred, sprawdź, co jest z dziadkiem tego faceta. Na co się gapisz?

– Na ten ekran. Jest włączony.

Johnson podszedł do magnetofonu audiosonicznego.

– Lepiej go skonfiskować. Prawdopodobnie mnie ma tam nic ważnego, ale... – Dotknął wyłącznika. Ekran pozostał pusty, ale głos Galleghera powiedział: „Już my w tym domu wiemy, jak się obchodzić ze szpiegami, ty ohydny zdrajco”.

Johnson znów nacisnął wyłącznik i spojrzał na Galleghera. Jego rumiana twarz była nieruchoma, kiedy w milczeniu zaczął przewijać taśmę. Gallegher powiedział:

– Joe, daj mi tępy nóż. Mam zamiar poderznąć sobie gardło, a nie chciałbym, żeby mi poszło za łatwo. Przyzwyczailem się do tego, że mam pod górkę.

Ale Joe, zajęty rozmyślaniami natury filozoficznej, nie raczył mu nawet odpowiedzieć.

Johnson zaczął przeglądać zapis magnetofonowy. Wziął jedno z ujęć i porównał z tym, co pokazał ekran.

– O, to jest Harding, w porządku. Dzięki, panie Gallegher, że pan to dla nas zatrzymał.

– Nie ma o czym mówić – odparł Gallegher. – Jestem nawet gotów pokazać katowi, jak ma mi zawiązać pętlę na szyi.

– Ha. Notujesz, Fred? W porządku.

Taśma odwijiała się nieubłaganie. Ale przecież, wmawiał w siebie Gallegher, nie ma na niej nic obciążającego.

Jego złudzenia jednak prysły, kiedy obraz znikł z ekranu – był to moment, kiedy zarzucił na niego koc. Johnson uniósł rękę na znak, że ma być cisza. Na ekranie w dalszym ciągu nie było nic, ale po chwili wyraźnie odezwały się głosy.

– „Ma pan trzydzieści siedem minut czasu, panie Gallegher”.

– „Niech pan poczeka. Za minutę będę gotów. A poza tym, chcę się dorwać do tych pańskich pięćdziesięciu tysięcy kredytów”.

– „Ale...”

– „Spokojnie. Już prawie mam. Jeszcze trochę i będzie po pańskich kłopotach”.

– Czyżbym to ja to wszystko mówił? – zapytał wściekły Gallegher. – Co za idiota ze mnie! Dlaczego nie wyłączyłem mikrofonu, kiedy przykryłem soczewkę!

– „Mordujesz mnie po troszeczkę, ech, ty pętaku!”

– A staremu chodziło przecież tylko o następną butelkę – jęknął pod nosem Gallegher. – Ale bądź tu mądry, człowieku, i zrób tak, żeby ci te gliny uwierzyły! Zaraz... – rozpromienił się nagle. – Może przynajmniej będę mógł ustalić, co się stało z dziadkiem i z Hardingiem. Jeśli ich wystrzeliłem w inny świat, to może będzie jakaś poszlaka.

– „A teraz niech pan uważa – powiedział głos Galleghera z ubiegłego wieczoru. – Wyjaśnię panu jak ja to robię. Aha, chwileczkę. Mam zamiar to później opatentować, więc nie chce żadnych szpiegów. Wam dwóm mogę zaufać, że nic nie powiecie, ale magnetofon jest w dalszym ciągu nastawiony na audio. Gdybym to jutro odtworzył, powiedziałbym sobie: Gallegher, za dużo paplesz. Jest tylko jeden sposób na utrzymanie sekretu: O – i nie ma!”

Ktoś krzyknął. Wrzask został przerwany w połowie. Magnetofon zamilkł. Zapanowała kompletna cisza.

Otworzyły się drzwi i wszedł Murdoch Mackenzie zacierając ręce.

– No to jestem – powiedział ochotczo. – Rozumiem, że rozwiązał pan nasz problem, tak, panie Gallegher? W tej sytuacji może jednak zrobimy interes. Ostatecznie nie ma przecież wyraźnego dowodu na to, że pan zabił Jonasa, a ja odstąpię od oskarżenia, jeżeli pan rzeczywiście ma to, o co chodzi Nadnerczom z Ograniczoną Odpowiedzialnością.

– Podaj mi kajdanki, Fred – zażądał Johnson.

Gallegher zaprotestował.

– Nie możecie mi tego zrobić!

– Błędne twierdzenie – rzekł Joe – które właśnie jest w tej chwili obalane metodą empiryczną. Jacyż jesteście nielogiczni, wy wstrętnei ludzie.

Rozwój społeczny zawsze pozostaje w tyle za rozwojem technicznym. Podczas kiedy w tamtych czasach technika dążyła do uproszczeń, układ społeczny był szczególnie skomplikowany, częściowo jako wynik warunków historycznych, a częściowo ówczesnego rozwoju nauki. Weźmy na przykład prawoznawstwo. Cockburn i Blackwood, i wielu innych, ustanowili pewne ogólne i szczegółowe przepisy dotyczące, powiedzmy, patentów, ale jedno małe urządzenie mogło je pozbawić zastosowania. Integratory mogły rozwiązywać problemy, z którymi mózg ludzki sobie nie radził, i dlatego należało w te półmechaniczne koloidy wbudować różne systemy zabezpieczające. Co więcej, powielacz elektroniczny mógł nie tylko złamać przepisy patentowe, ale także naruszyć prawo własności i wobec tego prawnicy wypisywali tomy na takie tematy, jak na przykład: czy prawo do „nowości” to rzeczywista własność, czy coś, co zostało wykonane na powielaczu, to naśladownictwo, czy kopie i czy

masowa produkcja szynszyli stanowi nieuczciwą konkurencję w stosunku do hodowcy przestrzegającego zasad tradycyjnych. Wszystko to razem nakładało się jeszcze dodatkowo na fakt, że świat, upojony postępem technicznym, rozpaczliwie usiłował utrzymać się w pionie. W końcu cały ten zamęt miał się uładzić. Ale jeszcze nie wtedy.

Ale przecież tak nie można!

W każdym razie nie w świecie, który od tysięcy lat znajdował względne poczucie bezpieczeństwa w sztywnych precedensach stosunków społecznych. Odwieczna tama kultury formalnej zaczęła przeciekać w wielu miejscach naraz i gdyby człowiek zwrócił uwagę, dostrzegłby setki tysięcy małych zaaferowanych postaci miotających się między jednym a drugim przeciekiem i dzielnie zatykających dziury palcami, rękami czy głowami. Pewnego dnia miano dokonać odkrycia, że za tą tamą nie ma wdzierającego się wszystkimi szczelinami oceanu, ale ten dzień jeszcze nie nastał.

W pewnym sensie była to okoliczność szczęśliwa dla Galleghera. Osobistości oficjalne niechętnie się wychylały, ponieważ niesłuszne aresztowanie mogło oznaczać dla nich szalone komplikacje i poważne kłopoty. Uparty Murdoch Mackenzie wykorzystał tę sytuację: porozumiał się ze swoim osobistym adwokatem i wsadził kij w szprychy prawnego koła. Adwokat

rozmówił się z Johnsonem.

Nie ma zwłok. Magnetofon audiosoniczny to niewystarczający dowód, a ponadto nasuwają się poważne zastrzeżenia co do nakazów aresztowania i rewizji. Johnson zadzwonił do Centrali Prawoznawstwa i nad głowami Gallegghera oraz niefrasobliwego Mackenziego rozszalała się istna burza. Finał był taki, że Johnson i jego ludzie wynieśli się zabierając ze sobą dowody rzeczowe i grożąc, że wrócą, jak tylko któryś z sędziów wystawi odpowiednie papiery. Tymczasem, zaznaczył Johnson, przed domem zostaną funkcjonariusze policji. Rzuciwszy Mackenziemu wściekłe spojrzenie opuścił lokal.

– A teraz do rzeczy – rzekł Mackenzie zacierając ręce. – Mówiąc między nami – pochylił się konfidencko – jestem bardzo zadowolony z pozbycia się mojego współnika. Niezależnie od tego, czy pan go zabił, czy nie, mam nadzieję, że się nie odnajdzie. Teraz przynajmniej będę mógł prowadzić interes po swojemu.

– W porządku – odparł Galleggher – ale co ze mną? Zostanę aresztowany, jak tylko Johnson zdobędzie odpowiednie dokumenty.

– Ale nie skazany – podkreślił Mackenzie. – Sprytny adwokat pana z tego wyciągnie. Była kiedyś podobna sprawa, w której adwokat uciekł się do metafizyki i udowodnił, że zamordowany nigdy nie istniał. Słuszność dowodu była pozorna, ale morderca został uniewinniony.

Galleggher powiedział:

– Przeszukałem dom, tak samo zresztą jak i ludzie Johnsona. Nie ma śladu ani Janasa Hardinga, ani mojego dziadka. I mówiąc szczerze, panie Mackenzie, nie mam zielonego pojęcia, co się z nimi stało.

Mackenzie zrobił nieokreślony ruch ręką.

– Musimy przede wszystkim działać metodycznie. Wspomniał pan, że pan rozwiązał pewien problem dla Nadnerczy z Ograniczoną Odpowiedzialnością. Muszę przyznać, że mnie to zainteresowało.

Galleggher w milczeniu wskazał błękitnookie dynamo. Mackenzie przyjrzał mu się z namysłem.

– No i? – powiedział.

– To właśnie to. Idealna zwierzyna.

Mackenzie podszedł do dziwnego obiektu, zastukał w niego i zajrzał głęboko w łagodne lazurowe oczy.

– Jak szybko biega to stworzenie? – spytał przebiegle.

– Nie musi wcale biegać – odparł Galleggher – jest zupełnie nie do ruszenia.

– Ha. Hmm. Gdyby pan mógł wyjaśnić mi ciut więcej... – Ale wyjaśnienie najwyraźniej nie zadowoliło Mackenziego.

– Nie – powiedział. – Jakoś tego nie widzę. Polowanie na podobną zwierzynę nie może dostarczyć żadnego dreszczyku. Zapomina pan, że nasi klienci domagają się podniety, której wynikiem ma być pobudzenie wydzielania adrenaliny.

– Będą to mieli. Złość ma taki sam efekt podniecenia... – Galleggher wdał się w szczegóły.

Ale Mackenzie potrząsnął głową.

– Zarówno strach, jak i złość produkują nadmiar energii, którą trzeba jakoś zużyć. A ze zwierzyną całkowicie bierną jest to niemożliwe. Może spowodować tylko nerwicę. My zaś usiłujemy zwalczać nerwicę, a nie przyczyniać się do ich powstawania.

Zrozpaczony Galleggher przypomniał sobie nagle o małym brunatnym zwierzątku i zaczął się z kolei nad nim rozwodzić.

W pewnym momencie Mackenzie zażądał, żeby mu je pokazać. Galleggher przemknął się nad tym szybko.

– Ha – rzekł w końcu Mackenzie. – To niepewna sprawa. Jak można polować na coś, co jest niewidzialne?

– Och, są przecież wzmacniacze węchu, ultrafiolet... A poza tym to dobry test na pomysłowość.

– Nasi klienci nie są pomysłowi. Nie zależy im na tym. Im jest potrzebna odmiana, odpoczynek od codziennej rutyny, zbyt ciężkiej czy też zbyt lekkiej pracy, słowem relaks. Nie mają zamiaru łamać sobie głowy nad znalezieniem metody złapania czegoś, co porusza się szybciej niż duch, ani uganiać się za czymś, co stracą z oczu, zanim zdążą tego dopaść. Pan jest bardzo łebski facet, panie Galleggher, ale wygląda na to, że najlepiej wyjdę biorąc ubezpieczenie Jonasa.

– Zaraz, chwileczkę...

Mackenzie ściągnął usta.

– Owszem, muszę przyznać, że w tych zwierzątkach coś jest, ale jaki pożytek ze zwierzyny, której nie można złapać. Gdyby pan opracował jakąś metodę na te swoje stworzenia nie z tego świata, to może byśmy ubili interes. Ale na razie nie zamierzam kupować kota w worku.

– Z pewnością znajdę jakiś sposób – obiecał Galleggher z rozpaczą – ale przecież nie w więzieniu.

– Trochę mnie pan zezłościł, panie Galleggher. Zwiódł mnie zapewniając, że pan rozwiązał nasz problem. Czego pan – jak dotąd – nie zrobił. A co do więzienia, to zastrzyk adrenaliny może pobudzić pański umysł na tyle, że znajdzie pan sposób na te swoje zwierzęta. Ale oczywiście i w tej sytuacji nie mogę dawać pochopnych obietnic...

Murdoch Mackenzie uśmiechnął się do Gallegghera i wyszedł zamykając za sobą cicho drzwi. Galleggher zaczął obgryzać paznokcie.

– Świat jest poznawalny – oświadczył Joe z mocą.

Sytuację skomplikowało jeszcze bardziej pojawienie się na ekranie telewizora siwego mężczyzny, który oznajmił, że jeden z czeków Gallegghera okazał się właśnie bez pokrycia. Trzysta pięćdziesiąt kredytów, rzekł, i co dalej?

Galleggher spojrział nieprzytomnie na plakietkę mężczyzny na ekranie.

– Pan jest ze Zjednoczonych Laboratoriów „Nowe Życie”. A co to takiego?

Siwowłosy odpowiedział słodkim głosem:

– Sprzęt biologiczny, medyczny i laboratoria, panie Galleggher.

– A co ja u was zamówiłem?

– Mamy potwierdzenie odbioru sześciuset funtów witaplazmy pierwszego stopnia. W ciągu godziny towar był dostarczony.

– A kiedy...

Siwy mężczyzna przeszedł do szczegółowych wyjaśnień. Na koniec Galleggher złożył kilka kłamliwych obietnic i odwrócił

się od wygasającego ekranu. Rozejrzał się z rozpaczą po laboratorium.

– Sześćset funtów sztucznej protoplazmy – mruknął. – Zamówienie Super – Galleghera. – Znów poczuł się krezusem.

– Została dostarczona – odezwał się Joe. – Podpisywałeś potwierdzenie odbioru tego wieczoru, kiedy zniknęli dziadek i Jonas Harding.

– Ale co ja mogłem z tym zrobić? Używa się tego w chirurgii plastycznej i do wyrobu endoprotez. Sztuczne członki i tym podobne. Ta witaplazma to sztucznie wyhodowana tkanka. Czyżbym jej użył do wyrobu jakichś zwierząt? To biologicznie niemożliwe. Tak myślę. Jak mogłem uformować witaplazmę w małe brunatne zwierzątko, i do tego jeszcze niewidzialne? A co z mózgiem i systemem nerwowym? Joe, sześćset funtów witaplazmy po prostu zniknęło. Gdzie się mogło podziać?

Ale Joe milczał.

W kilka godzin później Gallegher pracował jak szalony.

– Dowcip polega na tym – wyjaśnił Joemu – żebym się jak najwięcej dowiedział o tych stworzeniach. A dopiero potem może będę mógł powiedzieć, skąd pochodzą i jak się znalazły w moim posiadaniu. I na koniec wyjaśnić, gdzie się podzieli Harding i dziadek. A potem...

– Usiądź i zastanów się po prostu.

– Na tym właśnie polega różnica między nami. Ty nie masz instynktu samozachowawczego. Ty byś potrafił siedzieć spokojnie i rozmyślać, podczas kiedy w palcach twoich nóg zachodziłaby reakcja łańcuchowa. Ale to nie ja. Ja jestem za młody na to, żeby umierać. Cały czas myślę o pudle. Muszę się napić. Gdybym tylko mógł wejść na orbitę, to już by moja piekielna podświadomość resztę za mnie załatwiła. Czy jest tu gdzieś pod ręką małe brunatne zwierzątko?

– Nie – odparł Joe.

– No to może uda mi się ukradkiem chlapnąć. – Po nieudanej próbie, która skończyła się całkowitym fiaskiem, Gallegher wybuchnął: – nikt nie potrafi poruszać się aż tak szybko!

– Przyspieszona przemiana materii. Musiało wyczuć alkohol. A może ma jakieś dodatkowe zmysły. Nawet ja je ledwie sensuję.

– Gdybym pomieszczał naftę z whisky, to może wreszcie wtedy ten mały zapijaczony potwór dałby spokój. Ale tego i ja bym nie pił. No dobra, do roboty – mruknął Gallegher bezskutecznie próbując na błękitnookim dynamo odczynnika po odczynniku.

– Świat jest poznawalny – powtórzył irytująco Joe.

– Zamknij się. Ciekawe, czy mógłbym posrebrzyć to stworzenie. To by je z pewnością na dobre unieruchomiło. Ale przecież ono i tak jest nieruchome. Jak ono się odżywia?

– Tak na logikę powiedziałbym, że w drodze osmozy.

– Bardzo możliwe. Ale osmozy czego?

Joe zaklekotał zirytowany.

– Istnieje masa sposobów na rozwiązanie twojego problemu. Instrumentalizm. Empiryzm. Witalizm. Zaczynij od a posteriori i przejdź do a priori. Jest dla mnie absolutnie oczywiste, że rozwiązałeś problem, jaki postawiły przed tobą Nadnercza z Ograniczoną Odpowiedzialnością.

– Rozwiązałem?

– Jasne.

– W jaki sposób?

– Bardzo prosty. Świat jest poznawalny.

– Czy przestaniesz powtarzać ten przestarzały truizm i wreszcie mi pomożesz? A zresztą nie masz racji. Świat jest poznawalny, ale tylko poprzez ludzki rozum i doświadczenie razem wzięte.

– Bzdura. Ignorancja filozoficzna. Jeżeli nie możesz dowieść swojej tezy za pomocą logiki, to przegrałeś. Każdy, kto musi polegać na eksperymencie, zasługuje na pogardę.

– Po co ja tu siedzę i dyskutuję z robotem jakieś koncepcje filozoficzne? – To pytanie nie było skierowane do nikogo w szczególności. – A co byś powiedział, jakbym tak udowodnił, że koniec z twoim myśleniem, gdybym ci tak rozwalił ten twój radioatomowy mózg.

– To mnie zabij – powiedział Joe. – Stracisz na tym ty i ludzkość. Świat zubożeje, kiedy mnie zabraknie. Ale gwałt nie znaczy dla mnie nic. Nie mam instynktu samozachowawczego.

– Słuchaj, Joe – Gallegher postanowił spróbować nowego chwytu. – Jeśli znasz odpowiedź na moje pytanie, to dlaczego mi nie powiesz? Zademonstruj tę swoją wspaniałą logikę. Przekonaj mnie bez uciekania się do eksperymentu. Tylko za pomocą czystego rozumowania.

– A dlaczego miałbym chcieć cię przekonać? Wystarczy mi, że ja jestem przekonany. A poza tym jestem tak piękny i tak doskonały, że nie wyobrażam sobie nic lepszego, jak podziwianie samego siebie.

– Narcyz – warknął Gallegher. – Stanowisz kombinację Narcyza z nietzscheańskim supermanem.

– Świat jest poznawalny – oświadczył Joe.

Dalszy rozwój wypadków przyniósł wezwanie do sądu dla przezroczyściego robota. Tryby w maszynie prawnej zaczęły się obracać – a było to urządzenie napędzane logiką tak pokretną jak logika Joego. Sam Gallegher – przez jakąś dziwną interpretację prawa – pozostawał czasowo, jak się wydawało, poza jego zasięgiem. Ale naczelną zasadą głosiła, że suma części równa się całości. Joe został zakwalifikowany jako jedna z części, których suma równała się Gallegherowi. Tak więc robot znalazł się w sądzie, gdzie przysłuchiwał się polemice z bierną pogardą.

Towarzyszili mu Gallegher i Murdoch Mackenzie w otoczeniu całego zastępu adwokatów. Było to przesłuchanie wstępne. Gallegher nie uważał; cały czas zastanawiał się, jakby tu zażyć krnąbrnego robota, który znał wszystkie możliwe odpowiedzi,

ale nie chciał mówić. Studiował nawet filozofów, żeby pobić Joego jego własną bronią, ale jak do tej pory jedynym efektem jego wysiłków był ból głowy i zupełnie nieznośne pragnienie. Nawet poza obrębem własnego laboratorium cierpiał męki Tantara. Niewidzialne brunatne zwierzątko deptało mu po piętach kradnąc alkohol.

W pewnym momencie jeden z adwokatów Mackenziego zerwał się jak oparzony.

– Protestuję! – wykrzyknął. Nastąpiła krótka utarczka słowna na temat, czy Joe ma być zakwalifikowany jako świadek, czy jako dowód rzeczowy, a jeśli jako to ostatnie, to wezwanie do sądu zostało fałszywie skierowane. Sędzia zastanowił się.

– Tak jak ja to widzę – oświadczył – problem można ująć krótko: determinizm kontra woluntaryzm. Jeśli ten... hmmm... robot ma wolną wolę...

– Ba! – powiedział Gallegher i został uciszony przez adwokata. Zamilkł z buntowniczą miną.

– ...to wobec tego to... czy też on... jest świadkiem. Ale z drugiej strony istnieje taka możliwość, że robot w sprawach pozornie wolnego wyboru jest mechanicznym produktem dziedziczności i środowiska. W miejsce dziedziczności należy podstawić... hmmm... wyjściowy stan mechaniczny.

– Czy robot jest, czy nie jest istotą rozumną, Wysoki Sądzie, nie ma dla nas właściwie znaczenia – odezwał się prokurator.

– Nie zgadzam się. Prawo zasadza się na res...

– Czy mogę coś powiedzieć, Wysoki Sądzie? – odezwał się Joe.

– Twoja zdolność wypowiedzania się niejako automatycznie daje ci to prawo – odparł sędzia studiując robota z zakłopotaniem. – No, proszę.

Joe najwyraźniej znalazł związek pomiędzy prawem, logiką i filozofią. Powiedział radośnie:

– Ja już to wszystko przemyślałem. Myślący robot jest istotą rozumną. Ja jestem robotem myślącym, wobec tego jestem istotą rozumną.

– Co za dureń – jęknął Gallegher, tęskniąc za zdrową logiką elektroniki i chemii. – Stary sylogizm sokratyczny. Nawet ja potrafię wytknąć jego słabe strony.

– Cicho – szepnął Mackenzie. – Wszyscy prawnicy usiłują tak zagmatwać sprawę, żeby już nikt nie był w stanie jej rozwikłać. Pański robot być może nie jest takim idiotą za jakiego go pan uważa.

Wynikła sprzeczka co do tego, czy roboty myślące są w gruncie rzeczy istotami rozumnymi, czy nie. Gallegher zaczął się zastanawiać. Nie wiedział, co o tym sądzić. Sprawa pozostawała niejasna aż do momentu, w którym z labiryntu sprzeczności wyłoniło się założenie robocze, że Joe jednak jest istotą rozumną. Co najwyraźniej ogromnie ucieszyło prokuratora.

– Wysoki Sądzie – oznajmił – dowiedzieliśmy się, że dwa dni temu pan Galloway Gallegher unieruchomił robota, który tu obecnie przed nami występuje. Czy to prawda, panie Gallegher?

Ale ręka Mackenziego przytrzymała mocno Galleghera na miejscu. Jeden z obrońców wstał, żeby odpowiedzieć na pytanie.

– Do niczego się nie przyznajemy – oświadczył. – Jeśli jednak oskarżenie zechce sformułować pytanie teoretyczne, odpowiemy na nie.

Pytanie zostało sformułowane teoretycznie.

– A więc teoretyczna odpowiedź: „tak”, panie prokuratorze. Robota tego typu można dowolnie włączać i wyłączać.

– Czy robot może się sam wyłączyć?

– Tak.

– Ale to nie miało w tym przypadku miejsca? Pan Gallegher unieruchomił robota dwa dni temu w chwili, kiedy przebywał w jego laboratorium pan Jonas Harding?

– Teoretycznie zgadza się. Było czasowe unieruchomienie.

– Wobec tego – rzekł prokurator – chcemy przesłuchać robota, który został zakwalifikowany jako istota rozumna.

– Decyzja w tej sprawie miała charakter roboczy – zaprotestował jeden z obrońców.

– Zgoda. Wysoki Sądzie...

– W porządku – powiedział sędzia, który w dalszym ciągu gapił się na Joego – proszę zadawać pytania.

– Ach... ach... – Prokurator, oko w oko z robotem, zawahał się.

– Mów do mnie Joe – rzekł Joe.

– Dziękuję. Czy... czy to prawda? Czy rzeczywiście pan Gallegher unieruchomił cię w rzeczonym czasie i miejscu?

– Tak.

– Wobec tego – rzekł prokurator z tryumfem – zamierzam wnieść przeciwko panu Gallegherowi oskarżenie o napad i pobicie. Skoro ten robot został wstępnie uznany za istotę rozumną, to wszelkie działanie, któremu towarzyszy zamiar pozbawienia go przytomności lub zdolności ruchowych, jest przeciwko dobremu obyczajom i może być zakwalifikowane jako rozmyślne okaleczenie.

Wśród adwokatów Mackenziego nastąpiło poruszenie.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Gallegher.

Jeden z nich szepnął:

– Mogą zatrzymać pana i tego robota jako świadków. Wstał. – Wysoki Sądzie, nasze oświadczenia stanowiły odpowiedzi na pytania czysto teoretyczne.

– Ale oświadczenie robota było odpowiedzią na pytanie wcale nie teoretyczne – zauważył prokurator.

– Robot nie został zaprzysiężony.

– To się łatwo da naprawić – rzekł prokurator i w tym samym momencie Gallegher poczuł, jak pryskają jego ostatnie nadzieje. Rozmyślał gorączkowo, podczas kiedy sprawa toczyła się dalej.

– Czy przyrzekasz uroczyście mówić prawdę, samą prawdę i tylko prawdę, tak mi dopomóż Bóg?

Gallegher zerwał się na równe nogi.

- Wysoki Sądzie protestuję.
- Naprawdę? Przeciwno czemu?
- Kwestionuję ważność przysięgi.
- Aha! – rzekł Mackenzie.
- Sędzia zamyślił się.
- Poprosimy pana o wyjaśnienie, panie Galleghera. Dlaczego przysięga tego robota miałyby być nieważna?
- Taka przysięga jest ważna tylko u człowieka.
- A dlaczego?
- Ponieważ zakłada istnienie duszy. A przynajmniej teizm, religię osobistą. Czy robot może przysięgać?
- Sędzia przyglądał się Joemu.
- Rzeczywiście coś w tym jest. Joe, czy wierzysz w jakieś bóstwo?
- Wierzę.
- Prokurator rozpromienił się.
- Wobec tego możemy kontynuować.
- Chwileczkę – powiedział Murdoch Mackenzie wstając. – Czy mogę zadać świadkowi pytanie?
- Proszę bardzo.
- Mackenzie wpatrywał się w robota.
- A czy mógłbyś mi powiedzieć, jakie jest to twoje bóstwo?
- Naturalnie – odparł robot. – Takie samo jak ja.

Od tej chwili rozprawa przerodziła się w spór teologiczny.

Kiedy Gallegher, chwilowo wolny, wychodził z Joem do domu, prawnicy debatowali nad żywotnym problemem, ilu aniołów mieści się na łebku od szpilki. Sprawa nie mogła ruszyć z miejsca, dopóki nie zostaną ustalone zasady religijne robota. Przez całą drogę w taksówce powietrznej Mackenzie nalegał, żeby wyłożyć Joemu zalety kalwinizmu.

Pod drzwiami pozwolił sobie na niewielką pogroźkę.

– Nie chciałem pana stawiać w aż tak trudnej sytuacji, pan rozumie – zwrócił się do Galleghera – ale z groźbą więzienia nad głową będzie pan efektywniej pracował. Nie wiem, jak długo uda mi się chronić pana przed aresztowaniem, ale jeśli pan szybko spełni warunki...

– Jakie znów warunki?

– Och, mnie łatwo zadowolić. Na początek ciało Jonasa...

– Ba! – rzekł Gallegher. Wrócił do laboratorium i usiadł ponuro. Wstrzyknął sobie porcję alkoholu, zanim pomyślał o małym brunatnym zwierzątku. A następnie położył się na wznak wodząc wzrokiem od błękitnookiego dynamo do Joego i z powrotem. Wreszcie odezwał się: – Jest stare chińskie powiedzenie, że ten, kto pierwszy poniecha argumentów słownych i zacznie wymachiwać pięściami, przynajmniej do intelektualnej porażki.

– Naturalnie – odparł Joe. – Jest to w pełni uzasadnione: jeżeli do udowodnienia swojej racji potrzebujesz eksperymentu, to znaczy, że jesteś kiepskim filozofem i logikiem

Gallegher znów sięgnął do kazuistyki.

– Pierwszy stopień: zwierzę – wymachiwanie pięścią. Drugi stopień: człowiek – czysta logika. A co z trzecim stopniem?

– Z jakim trzecim stopniem?

– Świat jest poznawalny. Ale przez człowieka, a ty nie jesteś człowiekiem. Twoje bóstwo nie jest antropomorficzne. Trzy stopnie: zwierzę, człowiek i to, co dla wygody nazwiemy superczłowiekiem, chociaż nie musi mieć to nic *z człowiekiem* wspólnego. Zawsze przypisywaliśmy teoretycznej superistocie cechy boskie. Przypuśćmy, że roboczo tę istotę trzeciego stopnia nazwiemy Joem.

– Dlaczego nie? – rzekł Joe.

– W tej sytuacji dwie podstawowe koncepcje logiczne nie znajdują zastosowania. Świat jest poznawalny poprzez czysty rozum, ale również łącznie poprzez doświadczenie i rozum. Ale takie koncepcje drugiego stopnia są tak elementarne dla Joego jak idee Platona były dla Bacona. – Gallegher skrzyżował palce za plecami robota. – Powstaje zatem pytanie: co oznacza dla Joego operacja trzeciego stopnia?

– Boskość? – zapytał robot.

– Pamiętaj o tym, że masz dodatkowe zmysły. Potrafiśz sensować, cokolwiek to znaczy. Czy potrzebne ci są zwykłe metody logiczne? Powiedzmy, że...

– Tak – przyznał Joe. – Owszem, sensuję. Potrafię też kogitować. Hmm.

Gallegher zerwał się nagle z kanapy.

– Co za idiota ze mnie. „Wypij mnie”, oto jest odpowiedź. Zamknij się, Joe, idź do kąta i sensuj.

– Ale ja właśnie kogituję.

– No to sobie kogituj. Wreszcie przyszło na mnie olśnienie. Kiedy się wczoraj obudziłem, myślałem o butelce z etykietką „Wypij mnie” Alicja po napieniu się zmieniła wymiary, prawda? Zaraz, gdzie jest encyklopedia? Szkoda, że jestem taki słaby w technice. Vasoconstrictor... hemostatyczny... o, jest, demonstruje metaboliczne mechanizmy regulujące nerwowego systemu wegetatywnego. Metabolizm. Zastanawiam się...

Gallegher ruszył do stołu laboratoryjnego i obejrzał wszystkie butelki.

– Witalizm. Życie jest podstawową rzeczywistością, a wszystko inne to jej różne przejawy. Zaraz, miałem rozwiązać pewien problem dla firmy Nadnercza z Ograniczoną Odpowiedzialnością. Byli tutaj Jonas Harding i dziadek. Harding dał mi godzinę na wywiązanie się ze zobowiązania. Problem polegał na... na wyprodukowaniu niebezpiecznego, a jednocześnie

nieszkodliwego zwierzęcia. Paradoks. Nie, to nie o to chodziło. Klientom Hardiego zależało na tym, żeby mieć jednocześnie dreszczyk przygody i poczucie bezpieczeństwa. Nie mam w tej chwili do dyspozycji zwierząt doświadczalnych... Joe!

– Co takiego?

– Patrz – powiedział Gallegher. Nalał alkoholu i przyglądał się, jak znikł, zanim go zdążył spróbować. – No i? Co się stało?

– Wypiło go małe brunatne zwierzątko.

– A czy przypadkiem to małe brunatne zwierzątko to nie jest dziadek?

– Owszem – odparł Joe.

Gallegher przypiekl przezroczyście skórę robota siarczystymi przekleństwami.

– Dlaczego mi tego nie powiedziałaś, ty...

– Odpowiedziałem na twoje pytanie – odparł robot zadowolony z siebie. – Dziadek jest brunatny, no nie? I jest zwierzęciem.

– Ale małym?! Ja myślałem, że to będzie stworzenie wielkości królika.

– Jedyne kryterium oceny stanowi porównanie do większości danego gatunku. To jest właściwy miernik. W porównaniu z przeciętnym ludzkim wzrostem dziadek jest mały. Małe brunatne zwierzątko.

– A więc to jest dziadek, tak? – powtórzył Gallegher wracając do stołu laboratoryjnego. – Aha, i on jest po prostu przestawiony na wyższe obroty. Przyspieszona przemiana materii. Adrenalina. Hmm. Teraz już wiem, czego szukać, może...

Zamknął się w sobie. Zapadał wieczór, kiedy wlał do tego szklanki zawartość małej fiolki, wstrzyknął do tego porcję whisky i obserwował, jak mieszanina znika.

Zaczął się migotanie. Coś błyskało to w jednym, to w drugim kącie pokoju. Stopniowo to coś zaczęło się materializować jako prążkowana brunatność, by w końcu przybrać postać dziadka. Dziadek stał przed Gallegherem trzęsąc się jak galareta, w miarę jak ustępowało działanie mikstury przyspieszającej.

– Jak się masz dziadku – powiedział Gallagher uspokajająco. Na twarzy starego malowała się furia. Po raz pierwszy w życiu starszy pan był pijany. Gallegher patrzył na niego w bezgranicznym zdumieniu.

– Wracam do Maine – zapłakał dziadek i padł na wznak.

– Nigdy nie widziałem tylu ślamazar naraz – rzekł pożerając stek. – Rany, ale jestem głodny. Następnym razem dobrze się zastanowię, zanim ci pozwolę wbić sobie igłę. Ile miesięcy byłem w tym stanie?

– Dwa dni – odparł Gallegher starannie mieszając miksturę. – To był specyfik przyspieszający przemianę materii, dziadku. Po prostu żyłeś szybciej, nic więcej.

– Nic więcej! Ba! Ja w ogóle nie mogłem jeść. Jedzenie było dla mnie za twarde. Jedyne, co mi wchodziło, to alkohol.

– O?

– Nie mogłem gryźć. Nawet sztucznymi zębami. A whisky smakowała tak, jakby była rozpalona do czerwoności. Taki stek jak ten byłby po prostu wykluczony.

– Żyłś szybko. – Gallegher spojrzał na robota, który dalej milcząco kogitował w kącie. – Zaraz, chwileczkę.

Przeciwieństwem przyspieszania jest zwalnianie... Dziadku, gdzie jest Jonas Harding?

– O, tam – odparł dziadek wskazując błękitnookie dynamo i w ten sposób potwierdzając podejrzenia Galleghera.

– Witaplazma. Tak, to było to. Dlatego właśnie parę dni temu przysłali mi tyle witaplazmy. Hmm. – Gallegher zbadał gładką, litą powierzchnię rzekomego dynamo. Spróbował zastrzyku podskórnego, ale nie zdołał wbić igły. Wobec tego kapnął odrobinę specyfiku, który osiągnął mieszając zawartości różnych butelek, na skórę stworzenia. Zmiękła. Wbił więc w tym miejscu igłę strzykawki i z zadowoleniem patrzył, jak postępuje zmiana koloru, aż po chwili całe stworzenie stało się jasne i plastyczne. – Witaplazma – triumfował. – Zwykle sztuczne komórki białkowe. Nic dziwnego, że wydawało mi się to takie twarde. Zastosowałem formułę spowalniającą. Wstęp do homeostazy molekularnej. Cokolwiek ma tak powolną przemianę materii, musi się wydawać twarde jak żelazo. – Zbierał garściami surogat i wkładał do pojemnika. Wokół błękitnych oczu coś się zaczęło formować – nabierała kształtu czaszka, szerokie ramiona, tors...

Odarty z witaplazmy, ukazał się przycupnięty na podłodze, milczący jak statua Jonas Harding.

Jego serce nie biło, Harding nie oddychał. Spowalniacz utrzymywał go w stanie nienaruszalnej bierności.

Niezupełnie nienaruszalnej. Gallegher, który już chwycił za strzykawkę, wstrzymał się i spojrzał najpierw na Joego, a potem na dziadka.

Właściwie dlaczego ja to zrobiłem? – zapytał. I zaraz sam sobie odpowiedział:

– Ograniczony czas. Harding dał mi godzinę na rozwiązanie jego problemu. A czas jest względny, zwłaszcza jak ktoś ma zwolnioną przemianę materii. Musiałem dać Hardingowi zastrzyk z mikstury spowalniającej, żeby nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu. Zobaczmy. – Gallegher kopnął czymś na nieprzenikloną skórę Hardinga i patrzył, jak to miejsce mięknie i zmienia barwę. – Mhm. Mając Hardinga zamrożonego w ten sposób mógłbym pracować całymi tygodniami, a kiedy by się obudził, pomyślałby, że upłynęło bardzo niewiele czasu. Ale po co zastosowałem do niego witaplazmę?

Dziadek obalił piwo.

– Po pijanemu jesteś zdolny do wszystkiego – powiedział i sięgnął po następny stek.

– Co prawda, to prawda. Ale Super – Gallegher jest przynajmniej logiczny. Dziwna ta logika, ale zawsze logika. Zaraz, chwileczkę. Wstrzyknąłem Hardingowi miksturę spowalniającą i zrobił się twardy i sztywny. Przecież nie mogłem go w takim stanie zostawić w laboratorium, nie uważacie? Gdyby ktoś przyszedł, pomyślałby, że mam u siebie trupa.

– To znaczy, że on nie jest martwy? – zapytał dziadek.

– Boże uchowaj! Jedyne spowolniony. Wiem! Zakamuflowałem w ten sposób jego ciało. Sprowadziłem witaplazmę, oblepiłem nią Hardinga, a następnie wstrzyknąłem mu miksturę spowalniającą, która działa na żywą substancję komórkową, a ta, spowolniona do tego stopnia, robi się nieprzenikalna i nieruchoma.

– Jesteś stuknięty! – powiedział dziadek.

– Jestem krótkowzroczny – przyznał Gallegher. – A przynajmniej taki jest Super – Gallegher. I pomyśleć, że zostawiłem mu tylko oczy odkryte, żeby mi przypominały, jak się ocknę po pijaństwie, że pod tym wszystkim jest ten facet. Właściwie po co ja zbudowałem ten magnetofon! Logika Super – Galleghera jest jeszcze bardziej fantastyczna niż logika Joego!

– Nie przeszkadzaj mi – odezwał się Joe. – W dalszym ciągu jestem zajęty kogitowaniem.

Gallegher wbił igłę w miękkie miejsce na ramieniu Hardinga i wstrzyknął mu miksturę przyspieszającą. Po chwili Jonas Harding poruszył się, zamrugał swoimi błękitnymi oczami i wstał z podłogi.

– Och – powiedział rozcierając sobie ramię. – Pan mi coś wstrzyknął, tak?

– Wypadek – odparł Gallegher obserwując go pilnie. – Hmm, a co do pańskiego problemu...

Harding przysunął sobie krzesło i usiadł ziewając.

– Rozwiązał go pan?

– Dał mi pan na to godzinę.

– Tak, oczywiście. – Harding spojrzął na zegarek. – O, stoi. No więc?

– A jak pan uważa, ile czasu upłynęło od pańskiego przyścia do mojego laboratorium?

– Pół godziny? – zaryzykował Harding.

– Dwa miesiące – warknął dziadek.

– Obaj macie rację – rzekł Gallegher. – Ja bym powiedział jeszcze co innego i też bym miał rację.

Harding najwyraźniej uznał, że Gallegher jest w dalszym ciągu pijany. Uparcie trzymał się swego.

– No i co z tym zwierzęciem, o które nam chodzi? Ma pan jeszcze pół godziny...

– Nie jest mi to potrzebne – odparł Gallegher, w którego umyśle zapłonęło nagle wielkie, jasne światło. – Mam już dla pana gotową odpowiedź. Ale niezupełnie taką, jakiej się pan spodziewa. – Wyciągnął się wygodnie na kanapie i z zadumą spojrzął na organy alkoholowe. Teraz, kiedy już znów mógł pić, stwierdził, że z upodobaniem przedłuża moment oczekiwania. – Nie spotkałem jeszcze wina, które byłoby tak cudowne jak pragnienie – zauważył.

– Gadanie – rzucił dziadek.

– Klienci Nadnerczy z Ograniczoną Odpowiedzialnością chcą polować. A ponieważ zależy im na dreszczyku, potrzebują zwierząt niebezpiecznych. Wydaje się to czymś paradoksalnym, ale tylko pozornie. Problem polega bowiem nie na zwierzynie, tylko na myśliwym.

Harding zamrugał.

– Co, znów?

– Tygrysy. Krwiożercze ludojady. Lwy. Jaguary. Bawoły afrykańskie. Najbardziej złe, drapieżne zwierzęta, jakie są osiągalne. To tylko częściowa odpowiedź na pańskie pytanie.

– Chwileczkę – rzekł Harding. – Może pan mnie źle zrozumiał. Tygrysy nie są naszymi klientami. My nie dostarczamy zwierzętom klientów, tylko odwrotnie.

– Muszę jeszcze dokonać kilku prób – odparł Gallegher. – Ale główna zasada jest właściwa. Przyspieszacz. Utajony przyspieszacz przemiany materii, z silnie skoncentrowaną adrenaliną jako katalizatorem. Coś takiego... – Gallegher w żywych barwach przedstawił swój pomysł.

Uzbrojony w strzelbę klient przedziera się przez sztuczną dżunglę w poszukiwaniu zwierzyny. Wniósł w firmie opłatę i dostał dożylny zastrzyk przyspieszacza. Ta substancja przeniknęła już do jego krwiobiegu, na razie nie wywierając żadnego skutku – czeka na katalizator.

Z zarośli wynurzył się tygrys. Rzuca się z obnażonymi kłami w stronę klienta jak wystrzelona z katapuły śmierć. W chwili kiedy pazurami dotyka niemal jego pleców, nadnercza klienta wstrzykują do krwi dawkę silnie skoncentrowanej adrenaliny.

Która działa jak katalizator. Utajony czynnik przyspieszający uaktywnił się. Klient nabiera niesłychanej wprost szybkości. Robi unik przed tygrysem, unieruchomionym w pół skoku, i rozprawia się z nim, zanim mikstura przyspieszająca przestanie działać. A kiedy przestaje, wraca do normalnego stanu, ale to wszystko dzieje się już w punkcie firmy Nadnercza itd., gdzie może dostać następny dożylny zastrzyk – chyba, że woli ustrzelić swego tygrysa najmniejszym kosztem.

Prosta sprawa.

– Dziesięć tysięcy kredytów – powiedział uszczęśliwiony Gallegher licząc pieniądze. – Reszta jak tylko opracuję sprawę katalizatora. Ale to drobiazg. Byle chemik da sobie z tym radę. Intryguje mnie jednak perspektywa spotkania między Hardingiem a Murdochem Mackenzie. Kiedy porównają czasy, może być śmiesznie.

– Napiłbym się – oznajmił dziadek. – Gdzie jest butelka?

– Nawet w sądzie potrafiłbym chyba udowodnić, że rozwiązanie problemu nie zajęło mi więcej jak godzinę, a może i mniej. Oczywiście godzinę Hardinga, ale ostatecznie pojęcie czasu jest względne. Entropia, metabolizm – cóż za wspaniały spór prawny mógłby z tego wyniknąć! Ale nie wyniknie. Bo to ja znam przepis na miksturę przyspieszającą, a nie Harding. On zapłaci pozostałe czterdzieści tysięcy, a Mackenzie nie będzie miał z tego nic.

Ostatecznie dają firmie Nadnercza z Ograniczoną Odpowiedzialnością coś, co zadecyduje o jej sukcesie, a czego tak bardzo potrzebuje.

– Tak czy siak, wracam do Maine – oświadczył dziadek zadowolony z siebie. – Chyba, że dasz mi flaszkę.

– Idź i sobie kup – Gallegher rzucił starszemu kilka kredytów. – Kup parę. Zastanawiam się często, co kupują winiarze...

– Hę?

– ...w połowie tak cennego, jak to co sami sprzedają. Nie, nie jestem zalany. Ale będę. – Gallegher zamknął ustnik organów alkoholowych w miłosnym uścisku i zaczął wygrywać na klawiaturze alkoholiczne arpeggia. Dziadek wyszedł ze sceptycznym uśmiechem pod adresem takich nowoczesnych urządzeń.

W laboratorium zaległa cisza. Bełkotka i Monstrum, dwa dynamy, siedziały w milczeniu. Żadne z nich nie miało żywych

błękitnych oczu. Gallagher eksperymentował z koktajlami i czuł, jak jego duszę przenika miłe ciepło.

Joe wyszedł z kąta i stanąwszy przed lustrem podziwiał swoje tryby.

– Skończyłeś już kogitować? – spytał z ironią Gallagher.

– Tak.

– Istota rozumna, zaiste. Ty z tą twoją filozofią. No cóż, mój miły bracie, okazało się w końcu, że jednak obejdę się bez twojej pomocy. Zjeżdżaj.

– Jesteś bardzo niewdzięczny – rzekł Joe. – Jak już wyciągnąłeś korzyści z mojej superlogiki.

– Z twojego... czego? Tryby ci się zacięły. Z jakiej superlogiki?

– Trzeciego stopnia oczywiście. Mówiliśmy o tym przed chwilą. Dlatego właśnie kogitowałem. Chyba sobie nie wyobrażasz, że wszystkie problemy rozwiązałeś swoim słabym mózdzkiem, ukrytym w tej nieprzezroczystej czaszce.

Gallagher usiadł gwałtownie.

– O czym ty mówisz? Logika trzeciego stopnia? Ale przecież ty nie...

– Nie sądzę, żebym potrafił ci to wytłumaczyć. To jest bardziej zawile niż noumenon Kanta, który da się postrzegać jedynie myślą. Żeby to zrozumieć, musiałbyś umieć kogitować, ale... no cóż, to jest właśnie trzeci stopień. To jest... zaraz... demonstrowanie natury rzeczy przez powodowanie, że dzieją się same z siebie.

– Eksperyment?

– Nie. Kogitacja. Sprawdzam wszystkie rzeczy z płaszczyzny materialnej w dziedzinę czystej myśli i dopiero wtedy wyciągam logiczne wnioski.

– Ale... chwileczkę. Przecież coś się działo! Doszedłem do tego, co się stało z dziadkiem i z Hardingiem i opracowałem miksturę przyspieszającą...

– Tak ci się wydaje – rzekł Joe. – Bo ja po prostu kogitowałem. A to jest proces superintelektualny. I potem jak już to zrobiłem, rzeczy nie mogły się nie dziać. Mam nadzieję, że nie uważasz przynajmniej, że działy się same z siebie.

– Kogitacja?

– Tego się nigdy nie dowiesz.

– Ale... ale przecież ty utrzymujesz, że jesteś pierwszą przyczyną... nie, to jest woluntaryzm... logika trzeciego stopnia?

Nie – Gallagher opadł z powrotem na kanapę, wpatrując się w robota. – A co ty sobie wyobrażasz, że co ty jesteś? Deus ex machina?

Joe spojrział na wypełniającą jego klatkę piersiową płataninę trybów.

– A cóż by innego? – odparł zadowolony z siebie.

## Nie patrz teraz.

Mężczyzna w brązowym garniturze przeglądał się w lustrze za barem. Własne odbicie wyraźnie interesowało go bardziej niż napój, który trzymał w rękach. Tylko pozornie zwracał uwagę na wysiłki Lymana zmierzające do podtrzymania rozmowy. Ta sytuacja trwała chyba z kwadrans, zanim wreszcie uniósł szklankę i pociągnął z niej zdrowo.

– Nie patrz teraz – powiedział Lyman.

Mężczyzna w brązowym garniturze przesunął spojrzenie w bok, na Lymana, uniósł szklankę jeszcze wyżej i lknął ponownie. Kostki lodu ześliznęły mu się do ust. Postawił szklankę na czerwono-brązowym kontuarze i skinął na barmana, żeby mu dołał. Po czym westchnął głęboko i popatrzył na Lymana.

– Mam nie patrzeć na co? – zapytał.

– Był tu taki jeden, co siedział obok pana – odparł Lyman mrugając zamglonymi oczyma. – Właśnie wyszedł. Chce pan powiedzieć, że go pan nie widział?

Mężczyzna w brązowym garniturze zapłacił za drinka, a dopiero potem odpowiedział:

– Nie widziałem kogo? – zapytał z subtelną mieszaniną znudzenia, niesmaku i wymuszonego zainteresowania. – Kto właśnie wyszedł?

– A o czym ja mówiłem przez ostatnie dziesięć minut? Nie słuchał pan?

– Oczywiście, że słuchałem. To znaczy... jasne. Mówił pan o wannach, radiach. Orson...

– Nie Orson. H. G. Herbert George. Z Orsonem to było po prostu oszukaństwo. A H. G. wiedział... albo podejrzewał. Ciekawe, może to była tylko intuicja. Nie mógł mieć żadnego dowodu, a jednak dosyć nagle przestał pisać fantastykę naukową, prawda? Założę się, że musiał kiedyś wiedzieć.

– Wiedzieć o czym?

– O Marsjanach. Ale nic nam dobrego z tego wszystkiego nie przyjdzie, jeśli pan nie będzie słuchał. Może zresztą i tak nie przyjdzie. Dowcip polega na tym, żeby znaleźć jakiś sposób i przedstawić dowody. Przekonywające dowody. Nikomu do tej pory nie pozwolono przedstawić dowodu. Ale pan jest reporterem, prawda?

Człowiek w brązowym garniturze, nie wypuszczając z rąk szklanki, niechętnie skinął głową.

– No to powinien pan notować każde moje słowo. Chcę, żeby wszyscy wiedzieli. Cały świat. To ważna sprawa. Piekielnie ważna. Wyjaśnia wszystko. Nie będę bezpieczny, dopóki nie przekażę innym tej informacji i nie sprawię, że ludzie w nią uwierzą.

– A dlaczego pan miałby nie być bezpieczny?

– Z powodu Marsjan, ty głupcze. Oni są właścicielami świata.

Mężczyzna w brązowym garniturze westchnął.

– To by znaczyło, że są również właścicielami mojej gazety – zaproponował – a tym samym, że nie mogę drukować nic takiego, co by im się nie podobało.

– Nigdy o tym nie myślałem – odparł Lyman wpatrując się w głąb szklanki, gdzie dwie kostki lodu stopiły się w zimną litą bryłkę. – Ale oni nie są wszechmocni. I muszą nie być nietykalni, bo po co by się wiecznie ukrywali? Boją się, że zostaną ujawnieni. Gdyby świat miał przekonujący dowód... Niech pan posłucha, ludzie zawsze wierzą w to, co przeczytają w gazetach. Czy nie mógłby pan...

– Ha – powiedział mężczyzna w brązowym garniturze znacząco.

Lyman smętnie bębnił palcami po barze.

– Musi być jakiś sposób – mruknął. – Może gdybym sobie zamówił jeszcze jednego drinka...

Mężczyzna w brązowym garniturze delektował się swoim Collinsem, który zdawał się go ożywiać.

– Ale o co chodzi z tymi Marsjanami? – zapytał Lymana. – Niech pan zacznie od początku i powie mi wszystko jeszcze raz. Chyba że pan nie pamięta.

– Naturalnie, że pamiętam. Mam jak gdyby kompletny film. To coś nowego. Zupełnie nowego. Nigdy przedtem nie byłem do czegoś takiego zdolny. Pamiętam nawet swoją ostatnią rozmowę z Marsjanami. – Lyman obdarzył mężczyznę w brązowym garniturze pełnym tryumfu spojrzeniem.

– Kiedy to było?

– Dziś rano.

– To co z tego? Ja pamiętam swoje rozmowy sprzed tygodnia – rzekł łagodnie mężczyzna w brązowym garniturze.

– Pan nic nie rozumie. Oni sprawiają, że zapominamy. Mówią nam, co mamy robić, a potem my zapominamy o całej rozmowie – sugestia posthipnotyczna, jak sądzę – ale mimo to spełniamy ich polecenia. Podlegamy jakiemuś przymusowi, chociaż wydaje nam się, że to nasze własne decyzje. Och, naturalnie, że oni władają światem, ale nie wie o tym nikt poza mną.

– A jak pan do tego doszedł?

– W pewnym sensie mój umysł został „zbełtany”. Zabawiałem się detergentami naddźwiękowymi, usiłując wyczarować coś chodliwego. Ale przedsięwzięcie się nie udało – to znaczy pod niektórymi względami. Chodziło o fale wysokiej częstotliwości – przechodziły przeze mnie na wylot. Powinny być niesłyszalne, ale ja je słyszałem, czy raczej właściwie w i d z i a ł e m. I to miałem na myśli mówiąc, że mój umysł został zbełtany. Bo po tym wszystkim mogłem Marsjan widzieć i słyszeć. Dostroili się tak, że oddziałują na zwyczajne umysły, ale mój już nie jest zwyczajny. Nie są też w stanie mnie zhipnotyzować. Mogą mi rozkazywać, ale ja ich nie muszę słuchać... teraz. Mam nadzieję, że tego nie podejrzewają. A może zresztą podejrzewają. Tak, chyba tak.

– Po czym pan to poznaje?

– Po sposobie, w jaki na mnie patrzają.

– W jaki sposób oni na pana patrzą? – zapytał człowiek w brązowym garniturze i sięgnął po ołówek, ale się rozmyślił. Zamiast tego wziął do ręki szklankę. – Ale przede wszystkim jak oni wyglądają?

– Właściwie to dobrze nie wiem. Widzę ich, owszem, ale tylko w ubraniu.

– Okay, okay – odparł cierpliwie brązowy mężczyzna. – No więc jak wyglądają w ubraniu?

– Prawie jak każdy. Bo oni się ubierają... ubierają się w ludzkie skóry. Och, oczywiście nieprawdziwe. W imitację. Jak te ludziki w krokodylich skórkach pozapinanych na suwaki. A jak wyglądają rozebrani, nie mam pojęcia. Nigdy nie widziałem rozebranego Marsjanina. Być może wtedy są niewidzialni nawet dla mnie albo po prostu w jakiś sposób zakamuflowani. Jako mrówki czy sowy, szczury czy nietoperze, czy...

– Czy cokolwiek – przerwał Lymanowi pospiesznie brązowy mężczyzna.

– Dzięki. Naturalnie. Czy cokolwiek. Ale kiedy są ubrani jak ludzie... jak na przykład ten, co przed chwilą koło pana siedział, kiedy powiedziałem „nie patrz...”

– Rozumiem, że on był niewidzialny, tak?

– Prawie cały czas są niewidzialni, i to dla wszystkich. Ale od czasu do czasu z jakichś powodów...

– Chwileczkę – zaproponował brązowy mężczyzna. – Niech pan mówi z sensem, dobrze? Ubierają się w ludzkie skóry i tak, ot sobie siedzą niewidzialni?

– No, od czasu do czasu. Te ludzkie skóry to doskonałe imitacje. Nikt nie odróżni. Zdradza ich tylko trzecie oko. Jak go nie otworzą, to nawet nie wiadomo, że je mają. A kiedy chcą je otworzyć, stają się niewidzialni. Błyskawicznie. Jak zobaczę kogoś z trzecim okiem pośrodku czoła, wiem, że jest niewidzialny, i wtedy udaję, że go nie widzę.

– Mhm – powiedział mężczyzna w brązowym garniturze. – To z tego wynika, że ja jestem jednym z tych pańskich widzialnych Marsjan.

– Och, mam nadzieję, że nie! – Lyman przyjrzał mu się zaniepokojony. – Nie sądzę, mimo całego alkoholu, jaki w siebie wlałem. Cały dzień pana śledziłem, żeby się upewnić. To jest oczywiście ryzyko, które podjąłem. Oni się nie cofną przed niczym – dosłownie przed niczym – kiedy chcą, żeby się człowiek zdradził. Zdaję sobie z tego sprawę. W gruncie rzeczy nie mogę nikomu zaufać. Ale przecież musiałem znaleźć kogoś, z kim mógłbym porozmawiać, i wobec tego... – przerwał. Zaległo krótkie milczenie. – Mogę się zresztą mylić – dodał. – Jak to trzecie oko jest zamknięte, to go naprawdę nie widać. Czy mógłby więc pan to dla mnie zrobić i otworzyć swoje trzecie oko? – Utkwił mętne spojrzenie w czole mężczyzny w brązach.

– Przepraszam – rzekł reporter. – Może kiedy indziej. A poza tym nie znam pana. Jak rozumiem, pan sobie życzy, żebym to wszystko władował na pierwszą stronę, tak? Dlaczego pan z tym nie poszedł do redaktora naczelnego? Moje historie trafiają do niego na biurko i dopiero tam są przetwarzane.

– Chcę się moją tajemnicą podzielić z całym światem – powtórzył uparcie Lyman. – Problem polega na tym, jak daleko z tą sprawą zajadę. Wydawałoby się, że mnie zabiją w momencie, otworzę do pana usta, tyle że dopóki tu byli, nie odezwałem się ani słowem. Nie sądzę, żeby nas brali serio, pan rozumie. To musi trwać od zarania dziejów i do tej pory musieli stracić czujność. Fortowi pozwolili na wiele, zanim go załatwili. Ale niech pan zauważy, że nigdy nie dopuścili do tego, żeby wszedł w posiadanie autentycznych dowodów, które by przekonały ludzi.

Brązowy mężczyzna powiedział coś pod nosem na temat historii „dla ludzi” i zapytał:

– A co jeszcze Marsjanie robią poza włóczęgami się po barach w ubraniu?

– W dalszym ciągu staram się sprawę wyjaśnić – rzekł Lyman. – Tylko nie tak łatwo to zrozumieć. Rządzą światem oczywiście, ale dlaczego? – Zmarszczył czoło i błagalnie wpatrywał się w brązowego mężczyznę. – Dlaczego?

– Jeżeli rzeczywiście rządzą światem, to jest wiele do wyjaśnienia.

– Ja też tak uważam. Z naszego punktu widzenia to wszystko nie ma najmniejszego sensu. Robimy różne nielogiczne rzeczy, ale tylko dlatego, że oni nam każą. Wszystko co my robimy... to znaczy prawie wszystko... jest nielogiczne. Absolutnie nielogiczne. „Bies przewrotności” Poe'go, którego można by nazwać na literę M.: mam na myśli Marsjański. Wyjaśnianie, dlaczego morderca chce się przyznać do winy, jest dobre dla psychologów, ale jest to reakcja nielogiczna. Chyba, że każe mu Marsjanin.

– Nie można zostać zahipnotyzowanym tak, żeby robić coś, co narusza nasze poczucie moralności – oświadczył z tryumfem brązowy mężczyzna.

Lyman zmarszczył czoło.

– Przez człowieka nie, ale przez Marsjanina tak. Przypuszczam, że zdobyli nad nami przewagę, kiedy człowiek był na poziomie umysłowym małpy, i tak jest do tej pory. Podlegali ewolucji na równi z nami, ale cały czas byli do przodu. Jak wróbel, który leciał na grzbiecie orła, aż też osiągnął pułap. Wtedy wróbel zerwał się do lotu i pobił rekord wysokości. Zawładnęli światem, ale do tej pory nikt o tym nie wiedział. I przez cały czas tym światem rządzą.

– Ale...

– Weźmy na przykład takie domy. Niewygodne urządzenia. Brzydkie, niezdarne, brudne, nic w nich dobrze nie działa. Ale kiedy ktoś taki jak Frank Lloyd Wright wymknie się spod pantofla Marsjan na tak długo, że zdąży zaproponować coś lepszego, warto zobaczyć, jak ludzie na to reagują. Natychmiast odrzucają taki pomysł. Oni mają od tego swoich Marsjan.

– Ale co Marsjanom może zależeć, w jakich żyjemy domach? Niech mi pan powie.

Lyman zmarszczył czoło.

– Nie podoba mi się nuta sceptycyzmu, która zakradła się do naszej rozmowy – oświadczył. – Owszem, zależy im. Nie mam co do tego wątpliwości. Bo oni m i e s z k a j ą w naszych domach. My przecież nie budujemy dla naszej wygody. My budujemy na ich rozkaz, dla Marsjan i według ich życzeń. Ich bardzo interesuje wszystko, co robimy. A im mniej w tym sensu, tym dla nich lepiej.

Weźmy takie wojny. Wojny z ludzkiego punktu widzenia nie mają żadnego sensu. Tak naprawdę nikt wojen nie chce.

A mimo to stale je prowadzimy. Bo z marsjańskiego punktu widzenia wojny są pożyteczne. Ożywiają technikę i likwidują nadmierną populację. Nie mówiąc o wielu innych skutkach. Na przykład kolonizacja. Ale głównie technika. Jeśli facet wynajdzie napęd odrzutowy w czasach pokoju, to jest on za kosztowny, żeby go wykorzystać na skalę przemysłową. A w czasie wojny udoskonalanie tego wynalazku staje się koniecznością. I wtedy Marsjanie mogą z nim robić, co chcą. Oni się nami posługują jak narzędziami albo częściami ciała. Dlatego nikt nie wygrywa wojen – poza Marsjanami.

Mężczyzna w brązowym garniturze zachichotał.

– To się trzyma kupy – powiedział. – Myślę, że chyba przyjemnie być Marsjaninem.

– Dlaczego nie? Jak dotychczas żaden inny lud nie zyskał władzy nad całym światem. Zwycięzcy mają do wyboru: albo się buntować, albo zasymilować. Kiedy wiesz, że podlegasz cudzej władzy, zwycięzca nigdy nie jest bezpieczny. Ale skoro świat nie wie, a przecież nie wie...

Weźmy na przykład takie radio – ciągnął dalej Lyman zmieniając nagle temat. – Nie ma żadnego rozsądnego powodu, dla którego normalny człowiek miałby słuchać radia. A jednak za sprawą Marsjan słuchamy. Im się to podoba. Albo powiedzmy wanna. Nikt nie powie, że wanny są wygodne – dla nas. Są za to świetne dla Marsjan. Wszystkie niepraktyczne rzeczy, których używamy, nawet jeśli wiemy, że są niepraktyczne...

– Właśnie: taśma do maszyny – rzekł mężczyzna w brązie, którego nagle uderzyła myśl. – Ale przecież nawet Marsjaninowi wymiana taśmy w maszynie do pisania nie może sprawiać przyjemności.

Lyman zbagatelizował to. Powiedział, że wie wszystko o Marsjanach, ale nie zna ich psychiki.

– Nie rozumiem dlaczego zachowują się tak, jak się zachowują. Czasami ich reakcje wydają się tak jak się zachowują. Czasami ich reakcje wydają się zupełnie nielogiczne, a jednak jestem przekonany, że wszystko, co robią, musi mieć jakieś solidne uzasadnienie. Dopóki tego nie rozwikłam, stoję w martwym punkcie. To znaczy dopóki nie uzyskam świadka, dowodu, pomocy – do tego momentu nie mogę ujawnić. I nie ujawniłem się. Robię to, co mi każą robić, zapominam o tym, o czym mi każą zapomnieć, tak żeby nie wzbudzać podejrzeń.

– To właściwie nie ma się pan o co martwić.

Lyman puścił to mimo uszu. Znow zaczął recytować listę swoich pretensji.

– Kiedy do wanny leci woda i słyszę, że Marsjanin się pluszcze, udaję, że o niczym nie wiem. Mam za krótkie łóżko i w zeszłym tygodniu usiłowałem zamówić sobie dłuższe, ale Marsjanin, który w nim sypia, powiedział mi, że bym tego nie robił. Musi być kurduplem, jak większość z nich. To znaczy, tak sobie wyobrażam. Bo przecież nigdy ich nie widziałem rozebranych. I tak jest w koło. Ale, przy okazji, jak tam z pańskim Marsjaninem?

Mężczyzna w brązowym garniturze spojrział na jego bladą twarz odbitą w lustrze.

– Jak to z moim Marsjaninem?

– Chwileczkę. Mogę być trochę pijany, ale nie zatraciłem zdolności logicznego myślenia. W dalszym ciągu potrafię dodać dwa do dwóch. Albo pan wie o Marsjanach, albo nie. Jeśli tak, to niech pan sobie oszczędzi tych numerów „jak to z moim Marsjaninem?”, ja przecież wiem, że pan ma swojego Marsjanina. Mój Marsjanin też wie. Problem polega jedynie na tym, czy *p a n* wie. Niech pan się dobrze zastanowi – nalegał Lyman zaniepokojony.

– Nie, ja nie mam Marsjanina – odparł reporter tyknawszy pospiesznie. Brzeg szklanki zadzwonił o jego zęby.

– Nerwy, rozumiem – zauważył Lyman. – Naturalnie, że ma pan Marsjanina. I podejrzewam, że pan o tym wie.

– A co ja bym robił z Marsjaninem? – zapytał brązowy mężczyzna z pełnym uporem dogmatyzmem.

– Raczej co pan by robił *b e z* niego? To by chyba było zresztą nielegalne. Gdyby pana złapali na tym, że pan nie ma Marsjanina, to by pana wsadzili do pudła. Oczywiście, że ma pan Marsjanina. Tak samo jak i ja. I on, i on, i on, i barman. – Lyman niepewnym palcem wskazywał innych ochlapusów.

– Oczywiście, że mają – zgodził się mężczyzna w brązie. – Ale oni wszyscy wrócą jutro na Marsa, a pan będzie mógł iść do dobrego lekarza. Zresztą, co tam, niech pan sobie gołnie jeszcze jed...

Odwracał się właśnie do barmana, kiedy Lyman, pozornie przez przypadek, pochylił się do niego i szepnął nagłaco:

– Nie patrz teraz!

Mężczyzna w brązowym garniturze spojrział na jego twarz odbitą w lustrze.

– W porządku – powiedział. – Nie ma żadnego Mar...

Lyman kopnął go błyskawicznie w kostkę.

– Zamknij się pan! Właśnie wszedł! – Pochwycił jednak spojrzenie brązowego mężczyzny i z wystudiowaną nonszalancją ciągnął:

– ...więc nie pozostało mi nic innego, jak tylko wleźć po niego na dach. Z dziesięć minut mi zajęło ściąganie go po drabinie, ale kiedy już byłem na dole, wyrwał mi się, wdrapał po twarzy na czubek głowy, a stamtąd skoczył z powrotem na dach, drąc się, żeby go zdjąć.

– Kto taki? – Człowiek w brązowym garniturze wyraził zrozumiałe zdziwienie.

– No, mój kot oczywiście. A pan myślał, że kto? Zresztą nie ma o czym mówić. Niech pan nie odpowiada na tamto pytanie. – Lyman siedział twarzą zwróconą ku brązowemu mężczyźnie, ale widać było, że katem oka śledzi jakąś niewidoczną postać zbliżającą się wzdłuż baru ku stolikowi w głębi lokalu.

– Właściwie po co on tu przylazł? – mruknął. Wcale mi się to nie podoba. Czy pan go zna?

– Czy kogo znam?

– No, tego Marsjanina. A może to przypadkiem jest właśnie ten pański, co? Nie, chyba nie. Pański to był pewnie ten, który przed chwilą wyszedł. Ciekawe, czy wyszedł po to, żeby donieść, a w tym czasie przysłał tego? Możliwe. Niewykluczone. Może pan teraz mówić, ale ściszym głosem. I niech pan się nie kręci. Chce pan, żeby zauważył, że go widzimy?

– Ja go na przykład nie widzę. Proszę mnie w to nie wplątywać. Może pan się sam bawić w tych swoich Marsjan. Zaczyna mnie pan denerwować. A zresztą i tak muszę już iść. – Ale nie ruszył się ze stołka. Przez ramię Lymana rzucał okiem w stronę

stolika w głębi baru, a od czasu do czasu i na twarz swego rozmówcy.

– Niech pan mnie przestanie obserwować – rzekł Lyman. – I jego też. Jeszcze ktoś pomyśli, że pan jest kotem.

– Dlaczego znów kotem? Dlaczego ktoś miałby... czy ja jestem podobny do kota?

– Przecież mówiliśmy o kotach. A koty ich widzą. I to bardzo dobrze. Nawet rozebranych. I nie lubią ich.

– Kto nie lubi czego?

– Kogo. Jedni drugich, i to doprowadza Marsjan do szału. Mam taką teorię, że zanim przyszli Marsjanie, światem rządziły koty. A resztą wszystko jedno. Niech pan zapomni o kotach. To może być sprawa poważniejsza, niż się panu wydaje.

Przypadkiem wiem, że mój Marsjanin odlatuje dziś wieczór i jestem przekonany, że ten, co wychodził jakiś czas temu, to był pański. A zauważył pan, że nikt poza tym nie ma przy sobie swojego Marsjanina? Czy myśli pan... – tu zniżył głos. – Czy nie sądzi pan, że oni mogą czekać na nas na zewnątrz?

– O Boże – jęknął mężczyzna w brązowym garniturze. – Pewnie w zaułku razem z kotami.

– Niech pan się wreszcie odczepi od tych kotów i przez chwilę będzie poważny, dobrze? – powiedział stanowczo Lyman, a następnie przerwał, pobladł i zachwiał się z lekka na stołku. Łyknął szybko, żeby pokryć zmieszanie.

– O co chodzi tym razem? – zapytał brązowy mężczyzna.

– O nic. – Łyk. – O nic. On... on po prostu na mnie *s p o j r z a ł*. Swoim... pan rozumie.

– Zaraz. Wyjaśnijmy sprawę. Rozumiem, że Marsjanin jest ubrany... jest ubrany jak człowiek?

– Naturalnie.

– Ale jest niewidzialny dla wszystkich poza panem?

– Tak. On nie chce być widzialny właśnie w tym momencie. Poza tym... – Lyman zrobił chytrą pauzę. Obrzucił brązowego mężczyznę ukradkowym spojrzeniem i szybko spuścił wzrok na swoją szklankę. – Poza tym, pan rozumie, sądzę, że pan go jednak widzi... przynajmniej troszkę.

Przez jakieś trzydzieści sekund mężczyzna w brązowym garniturze milczał. Siedział bez ruchu i nawet lód w szklance, którą trzymał w ręku, nie zadzwonił. Można było pomyśleć, że nie oddycha. A już z pewnością nie mrugnął.

– A dlaczego pan tak myśli? – zapytał normalnym głosem po upływie owych trzydziestu sekund.

– Ja... zaraz... czy ja coś mówiłem? Przepraszam, nie słuchałem. – Lyman gwałtownie odstawił szklankę. – Ja już chyba pójde.

– Nie, nie pójdzie pan – rzekł mężczyzna w brązie zaciskając palce na przegubie ręki Lymana. – Jeszcze nie w tej chwili. Niech no pan wraca. I siada. Już. O co właściwie chodzi? Dokąd się pan wybiera?

Lyman tępo skinął głową wskazując albo szafę grającą, albo drzwi z napisem „Mężczyźni”.

– Nie czuję się zbyt dobrze. Może za dużo wypilem. Chyba będę musiał...

– Wyśmienicie się pan czuje. Już ja tam panu nie wierzę z tym pańskim niewidzialnym człowiekiem. Zostanie pan tutaj dopóki on nie wyjdzie.

– On już właśnie wychodzi – odparł przytomnie Lyman. Jego bystre oczy towarzyszyły niewidzialnym, ale energicznym krokom zmierzającym do drzwi frontowych. – O, widzi pan, wyszedł. Proszę mnie teraz puścić.

Mężczyzna w brązowym garniturze spojrział ku stolikowi w głębi baru.

– Nie, on nie wyszedł. A pan niech zostanie na miejscu.

Tym razem z kolei Lyman siedział przez dłuższą chwilę bez ruchu, jak gdyby wstrząśnięty. Ale lód w jego szklance zadzwonił, zupełnie wyraźnie. Wreszcie odezwał się. Jego głos zabrzmiał łagodnie i znacznie bardziej trzeźwo niż poprzednio.

– Ma pan rację. Nie wyszedł. Pan go widzi, prawda?

Mężczyzna w brązie zapytał:

– Czy on siedzi tyłem do nas?

– Aha, to potwierdza moje przypuszczenie, że pan go widzi. Może lepiej niż ja. Może jest ich tu więcej, niż myślałem.

Mogą być wszędzie. Mogą sobie siedzieć koło pana wszędzie tam, gdzie pan się akurat znajduje, i nawet pan nie będzie o tym wiedział, dopóki... – Nieznacznie potrząsnął głową. – Chcą mieć *p e w n o ś ć* – powiedział, głównie do siebie. – Mogą nam rozkazywać, a nawet sprawiać, że zapominamy, ale mimo wszystko są granice tego, do czego mogą nas zmusić. Nie mogą na przykład zrobić tak, aby człowiek zdradził samego siebie. Musieliby go wypróbować... dopóki nie zyskają pewności.

Uniósł szklankę i przechylił ją pod kątem ostrym nad twarzą. Lód zsunął się i uderzył go zimną bryłą w usta, ale Lyman trzymał szklankę tak długo, aż ostatni z białych musujących bursztynów wpadł mu do ust. Postawił szklankę na barze i spojrział na mężczyznę w brązach.

– No i? – zagadnął.

Mężczyzna wodził wzrokiem wzdłuż baru tam i z powrotem.

– Robi się późno – powiedział. – Niewielu ludzi wyszło. Poczekamy jeszcze.

– Poczekamy na co?

Mężczyzna w brązie spojrział ku stolikowi w głębi i szybko odwrócił oczy.

– Chcę panu coś pokazać. Tylko żeby tego nie zobaczył nikt inny.

Lyman obrzucił wzrokiem wąskie, zadymione pomieszczenie. Kiedy tak patrzył, ostatni poza nimi gość zaczął grzebać w kieszeniach, położył drobne na ladzie i wyszedł powoli.

Siedzieli w milczeniu. Barman przyglądał im się z flegmatyczną obojętnością. W pewnym momencie jakaś para wstała od stolika i klóćąc się półgłosem opuściła bar.

– Czy został ktoś jeszcze? – zapytał mężczyzna w brązie głosem, który nie mógł dotrzeć do barmana.

– Tylko... – Lyman nie skończył, za to uprzejmie skinął głową w stronę głębi pomieszczenia. On teraz nie patrzy.

Skończmy już z tym wreszcie. Co pan chciał mi pokazać?

Mężczyzna w brązie zdjął ręczny zegarek i otworzył metalową kopertę. Wypadły dwie małe błyszczące fotografie. Mężczyzna rozdzielił je palcem.

– Chcę po prostu coś sprawdzić – powiedział. – Po pierwsze, dlaczego pan sobie wybrał akurat mnie. Stwierdził pan, że pan chodził za mną cały dzień, żeby się upewnić. Nie zapomniałem o tym. I wiedział pan, że jestem reporterem. Może by mi pan tak wreszcie powiedział prawdę, co?

Wierząc się na stołku Lyman ściągnął brwi.

– Bo pan tak patrzył... – mruknął. – Rano w kolei podziemnej... ja pana nigdy przedtem nie widziałem... ale nie mogłem nie zauważyć, jak pan patrzy na różne rzeczy, nie na te co trzeba, na te, których nie było... zupełnie jak kot... i jak pan odwraca wzrok. Pomyślałem sobie wtedy, że pan też może widzieć Marsjan.

– Dalej – rzekł spokojnie mężczyzna w brązowym garniturze.

– Więc zacząłem iść za panem. I chodziłem cały dzień. I cały czas się łudziłem, że pan się okaże kimś, z kim będę mógł porozmawiać. Bo gdybym wiedział na pewno, że nie jestem jedynym, który ich widzi, wiedziałbym, że jest jeszcze jakaś nadzieja. To gorsze niż więzienie. Widzę ich już od trzech lat. Od trzech lat. I udało mi się to utrzymać w tajemnicy nawet przed nimi. A jednocześnie zdołałem się jakoś powstrzymać od samobójstwa.

– Od trzech lat? – zapytał brązowy mężczyzna i wzdrygnął się.

– Zawsze jakaś tam nadzieja była, choćby nikła. Wiedziałem, że nikt nie uwierzy, w każdym razie bez jakiegoś dowodu. A jak tu zdobyć dowód. A ja tu zdobyć dowód? Wobec tego powtarzałem sobie, że może i pan ich widzi, a jeśli pan, to pewnie i inni... wielu innych... wystarczająco wielu, żebyśmy się zebrali i wymyślili jakiś sposób na udowodnienie światu...

Palce brązowego mężczyzny poruszały się cały czas. W milczeniu przesunął jedno ze zdjęć po ladzie. Lyman wziął zdjęcie niepewnym ruchem

– Światło księżycy? – zapytał po chwili. Fotografia przedstawiała krajobraz, a nad nim głębokie, ciemne niebo z chmurami. Drzewa na tle ciemności wydawały się białe i koronkowe. Trawa też była biała, jakby posrebrzona księżycowym światłem, cienie zamazane.

– Nie, to nie było światło księżycy – odparł mężczyzna w brązie – tylko podczerwień. Jestem amatorem. ale ostatnio eksperymentowałem z filmami podczerwonymi. I uzyskałem bardzo osobliwe wyniki.

Lyman gapił się na zdjęcie.

– Pan rozumie, ja mieszkam w pobliżu... – mężczyzna w brązie stuknął palcem w pewien zupełnie pospolity przedmiot, uwidoczniiony na fotografii – ...i coś dziwnego wychodzi mi na tym od czasu do czasu. Ale tylko na filmie podczerwonym. Teraz wiem, że chlorofil odbija tyle światła podczerwonego, że trawa i liście wychodzą białe. A niebo czarne, o, jak tu. Z takim filmem można robić różne sztuczki. Jak się sfotografuje drzewo na tle chmury, to na odbitce nie sposób odróżnić jedno od drugiego. A jak się zrobi zdjęcie przez mgłę, można uchwycić tak odległe przedmioty, że na normalnym filmie by nie wyszły. A czasami jak się nastawi aparat na coś takiego – znów stuknął palec w ów zupełnie zwykły przedmiot – uzyskuje się na filmie bardzo dziwny obraz. O, jak na przykład to. Człowiek o trojgu oczach.

Lyman podniósł odbitkę do światła. Po chwili w milczeniu wziął z kontuaru drugą i zaczął jej się przyglądać. Kiedy odkładał zdjęcia, miał na twarzy uśmiech.

– Wie pan co – powiedział porozumiewawczym szeptem – pewien profesor astrofizyki z jednego z najpoważniejszych uniwersytetów opublikował kilka tygodni temu w niedzielnym „Timesie” bardzo ciekawy artykuł. Autor nazywa się chyba Spitzer. Postawił on mianowicie tezę, że gdyby na Marsie istniało życie i gdyby Marsjanie kiedykolwiek odwiedzili ziemię, nie byłoby jak tego udowodnić. Tym nielicznym, którzy by ich widzieli, nikt by nie uwierzył. Chyba że, powiedział, udałoby się Marsjan sfotografować.

Lyman popatrzył na człowieka w brązowym garniturze z namysłem.

– No i – rzekł – doszło do tego. Pan ich sfotografował.

Mężczyzna w brązie skinął głową. Wziął odbitki i chował je z powrotem do koperty zegarka.

– Ja też tak myślałem – powiedział. – Dopiero dzisiaj wieczorem nabrałem wątpliwości. Nigdy jeszcze nie widziałem Marsjanina w całej okazałości, tak jak pan. To jest nie tyle sprawa zbeltania umysłu przez ultradźwięki, ile tego, żeby wiedzieć, gdzie patrzeć. Ale ja przez całe życie widziałem ich tylko częściami, tak zresztą jak i wszyscy. Jako zaledwie świadomość ruchu, którą też się łapie tylko kątem oka. Jakby coś *p r a w i e* było, a kiedy się na to spojrzy wprost, to tego nie ma. Te fotografie wskazały mi właściwy sposób. Niełatwo się tego nauczyć, ale można. Jesteśmy zaprogramowani w ten sposób, żeby patrzeć wprost na określony przedmiot, na konkretną rzecz, którą chcemy dokładnie zobaczyć, obojętne, co to jest. Być może właśnie jesteśmy tak zaprogramowani przez Marsjan. Kiedy na samym skraju pola widzenia człowiek wyczuje ruch, spogląda w tamtą stronę prawie automatycznie. A wtedy wszystko znika.

– Czy to znaczy, że oni mogą być widziani przez... każdego?

– W ciągu tych kilku dni nie udało się dowiedzieć – powiedział człowiek w brązowym garniturze. – To znaczy od momentu kiedy zrobiłem te zdjęcia. Ale muszę się ćwiczyć. To tak, jakby się patrzyło na zdjęcie trickowe, zdjęcie, które jest w rzeczywistości fotomontażem. kiedy mu się dobrze przyjrzeć. Kamuflaż. Trzeba się po prostu nauczyć, jak to robić. W przeciwnym razie możemy na nich patrzeć przez całe życie i nigdy ich nie zobaczyć.

– Ale kamera widzi.

– Tak, kamera widzi. Zastanawiam się, dlaczego nikt ich nigdy w ten sposób do tej pory nie uchwycił. Ale jak już się ich zobaczy na zdjęciu, nie ma wątpliwości... to trzecie oko.

– Film podczerwony to sprawa stosunkowo świeża, prawda? No i założę się, że trzeba ich łapać na jakimś określonym tle, bo inaczej nie wyjdą. Jak drzewa na tle chmur. To taka chytra sztuczka, i niełatwa. Musiał pan mieć tego dnia akurat właściwe

oświetlenie i ostrość, no i migawka opadła w odpowiednim momencie. Coś w rodzaju małego cudu. Na dobrą sprawę dokładnie ta sama sytuacja może się już nigdy nie powtórzyć. Ale... nie patrz teraz.

Zamilkli, ukradkiem spoglądając w lustro. Ich wzrok prześliznął się wzdłuż baru i pomknął w stronę otwartych drzwi knajpy.

Potem nastąpiła długa, pełna napięcia cisza.

– Spojrzał na nas – powiedział spokojnie Lyman. – Spojrzał na nas i... to trzecie oko!

Mężczyzna w brązowym garniturze znów zastygł w bezruchu. Kiedy się poruszył, to jedynie po to, by przełknąć do końca swego drinka.

– Nie sędzę, żeby mieli jakieś podejrzenia – powiedział. – Dowcip polega na tym, żeby zachować tajemnicę, dopóki nie będziemy mogli sprawy szeroko opublikować. Musi się znaleźć na to jakiś sposób... jakaś metoda, żeby ludzi przekonać.

– Ale przecież istnieje dowód. Zdjęcia. Dobry fotograf powinien dojść do tego, w jaki sposób uchwycił pan na filmie tego Marsjanina, i powtórzyć te warunki. A to już jest dowód.

– Ale dowód może być bronią obosieczną – powiedział brązowy mężczyzna. – Mam w tym wszystkim tylko nadzieję, że Marsjanie nie są skłonni do zabijania, o ile nie muszą. A w każdym razie, że nie będą zabijać bez powodu. Ale... – stuknął w zegarek.

– Ale jest nas w tej chwili już dwóch – rzekł Lyman. – Musimy się trzymać razem. Obaj złamaliśmy najwyższy zakaz: *n i e patrz teraz*.

Barman był właśnie w głębi lokalu i wyłączał szafę grającą. Mężczyzna w brązie powiedział:

– Lepiej, żebyśmy się bez potrzeby nie pokazywali razem. Ale jeśli jutro o dziewiątej wieczorem wpadniemy tu obaj na drinka, to przecież nawet im się to chyba nie wyda podejrzanym.

– Ale może... – zająknął się Lyman. – Może pan by mi dał jedno z tych zdjęć.

– Po co?

– Bo gdyby na przykład jednemu z nas przydarzył się jakiś... powiedzmy... wypadek, to ten drugi przynajmniej zachowa dowód. A to może wystarczyć do przekonania właściwych ludzi.

Mężczyzna w brązowym garniturze zawahał się, skinął krótko głową i otworzył kopertę zegarka. A następnie wręczył Lymanowi jedno ze zdjęć.

– Niech pan dobrze je schowa. To jest dowód. Do zobaczenia jutro. A tymczasem niech pan będzie ostrożny. I nie ryzykuje.

Mocno uścisnęli sobie ręce i spojrzeli sobie w oczy w tej jednej, ostatecznej, decydującej chwili ciszy. Po czym mężczyzna w brązowym garniturze obrócił się na pięcie i wyszedł z baru.

Lyman siedział dalej. Na jego czole pomiędzy pionowymi zmarszczkami coś zamigotało. Powoli rozwinęły się rzęsy i trzecie oko popatrzyło za mężczyzną w brązach.

## W przeciwnym razie.

Kiedy wylądował latający talerz, Miguel i Fernandez strzelali właśnie do siebie niecelnie poprzez szerokość doliny. Kilka nabojów stracili na dziwny pojazd. Pojawił się pilot latającego talerza, przemierzył dolinę i zaczął piąć się w górę ku Miguelowi, który leżąc w niepewnym cieniu cholla i klnąc na czym świat stoi, majstrował gorączkowo przy spuście swojej strzelby. Jej celność, i tak nienadzwyczajna, wyraźnie się pogarszała w miarę zbliżania się nieznajomego. Wreszcie, w ostatniej chwili, Miguel cisnął strzelbę, złapał leżącą obok maczetę i zerwał się na równe nogi.

– Umieraj więc – powiedział i zamachnął się ostrzem. W gorącym meksykańskim słońcu błysnęła stal. Maczeta sprężynując odskoczyła od szyi nieznajomego i wyleciała wysoko w powietrze, wywołując w ramieniu Miguela uczucie mrowienia, jakby go poraził prąd elektryczny. Z drugiej strony doliny nadleciał pocisk z brzęczeniem, jakie mogłoby towarzyszyć użądleniu przez osę, gdyby się je słyszało, zamiast czuć. Miguel padł na ziemię i przeturlał się pod osłonę potężnej skały. Następna kula zaśpiewała cienko i na lewym ramieniu nieznajomego błysnął błękitny ogienek.

– Estoy perdido – powiedział Miguel, uważając się za pokonanego. Leżąc płasko na brzuchu uniósł głowę i warknął na swego nieprzyjaciela.

Ale nieznajomy nie wykonał żadnych wrogich gestów. Co więcej, wydawał się nie uzbrojony. Miguel obszukał go swoim bystrym wzrokiem. Mężczyzna był ubrany w sposób niezwykły. Na głowie miał czapkę z krótkich, lśniących błękitnych piór. Spod czapki wзираła twarz surowa, ascetyczna, nieprzenikniona. Był bardzo chudy i miał bez mała siedem stóp wzrostu. Ale rzeczywiście robił wrażenie nie uzbrojonego. Ten fakt dodał Miguelowi odwagi. Zaczął się zastanawiać, gdzie też mogła upaść jego maczeta. Nie widział jej nigdzie w pobliżu, za to strzelba leżała w odległości zaledwie kilku stóp.

Nieznajomy zbliżył się i stanął nad Miguelem.

– Wstań – powiedział – to porozmawiamy.

Mówił wspaniale po hiszpańsku, tyle że jego głos wydobywał się jak gdyby z wnętrza głowy Miguela.

– Nie wstanę – odparł Miguel. – Bo jak wstanę, to mnie Fernandez zabije. Wprawdzie kiepski z niego strzelec, ale byłbym głupcem, żeby ryzykować. A poza tym to nieuczciwe. Ile Fernandez ci zapłacił?

Nieznajomy zmierzył Miguela surowym wzrokiem.

– Czy wiesz, skąd ja jestem? – zapytał.

– Nie dałbym grosza za tę wiadomość – odparł Miguel, wycierając pot z czoła. Zerknął w stronę pobliskiej skały, pod którą ukrył bukłak z winem. – Z pewnością z los Estados Unidos, tak jak i ta twoja latająca maszyna. Już rząd meksykański się o tym dowie.

– A czy rząd meksykański pochwała zbrodnię?

– To sprawa prywatna – odparł Miguel. – Dotycząca praw do wody, a więc bardzo ważna. Poza tym działam w obronie własnej. Ten cabrón zza doliny usiłuje mnie zabić, a ty jesteś jego najemnym zbir. Bóg ukarze was obu. – Nagle przyszła mu do głowy nowa myśl. – A ile byś wziął za zabicie Fernanda? – zapytał. – Dam ci trzy pesos i ładne koźle.

– Koniec z bójkami – rzekł nieznajomy. – Słyszałeś?

– Idź i powiedz to Fernandezowi – odparł Miguel. – I poinformuj go, że prawo do wody należy do mnie. Bardzo chętnie dam mu spokój. – Kark zdrętwiał Miguelowi od zadzierania głowy na wysokiego mężczyznę. Poruszył się nieznacznie, a w stojącym rozprężonym powietrzu znów świsnęła kula i ze złowieszczym plaśnięciem zaryła się w pobliskiej kępie kaktusów.

Nieznajomy przyglądał błękitne pióra na głowie.

– Najpierw skończymy rozmowę. Posłuchaj mnie, Miguel.

– Skąd wiesz, jak się nazywam? – zapytał Miguel. Przyturlał się bliżej i czujnie usiadł za skałą. – Jest tak, jak myślałem. Fernandez cię wynajął, żebyś mnie rozwalił.

– Wiem, jak się nazywasz, bo potrafię trochę czytać w twoich myślach. Niewiele, ponieważ są bardzo mętne.

– Twoja matka była suką – warknął Miguel.

Nieznajomy ściągnął z lekka nozdrza, ale zignorował tę uwagę.

– Pochodzę z innego świata – powiedział. – Nazywam się... – W umyśle Miguela zabrzmiało to jak Quetzalcoatl.

– Quetzalcoatl? – powtórzył z lekką ironią. – No jasne, a ja jestem święty Piotr, ten który ma klucze do nieba.

Na szczupłą, bladą twarz Quetzalcoatla wystąpił lekki rumieniec, ale jego głos pozostał zdecydowanie spokojny.

– Posłuchaj, Miguel, popatrz na moje wargi. Nie poruszają się, prawda? A mój głos odzywa się w twojej głowie.

Rozmawiam z tobą w drodze telepatycznej, a ty tłumaczysz sobie to, co ja mówię, na słowa zrozumiałe dla siebie.

Najwyraźniej moje imię jest dla ciebie za trudne. Twój umysł odczytał je jako Quetzalcoatl. Ale to wcale nie jest moje prawdziwe imię.

– De veras – rzekł Miguel. – To wcale nie jest twoje prawdziwe imię i ty wcale nie pochodzisz z innego świata. I tak nie uwierzyłbym Norteamericano, nawet gdyby mi przysięgał na kości dziesięciu tysięcy bardzo ważnych świętych.

Pociągnęła, surowa twarz Quetzalcoatla znów się zaczerwieniła.

– Jestem tu po to, żeby rozkazywać – powiedział – a nie przekomarzać się z... Posłuchaj, Miguel. Jak ty sobie wyobrażasz, dlaczego nie mogłeś mnie zabić swoją maczetą, co? I dlaczego kule się mnie nie imają?

– A dlaczego twoja latająca maszyna lata? – zripostował Miguel. Wyjął woreczek z tytoniem i zaczął sobie skręcać papierosa. Wyjrzał zza skały. – Fernandez pewnie się tu do mnie skrada. Lepiej wezmę strzelbę.

– Zostaw ją w spokoju – polecił mu Quetzalcoatl. – Fernandez nic ci nie robi.

Miguel zaśmiał się ochryple.

– I tobie nie wolno go skrzywdzić – dodał z naciskiem Quetzalcoatl.

– Dobrze, wobec tego nadstawię drugi policzek – odparł Miguel – żeby mógł mi strzelić w skroń. Uwierzę w dobrą wolę Fernandez, senor Quetzalcoatl, jak zobaczę, że nadchodzi z drugiej strony doliny z rękami na głowie. Ale nawet i wtedy nie dam mu się zanadto zbliżyć, a to z powodu noża, który nosi z tyłu.

Quetzalcoatl znów przyglądał swoje błękitne pióra. Jego koścista twarz zachmurzyła się.

– Musicie raz na zawsze zaprzestać walki, obydwaj – oświadczył. – Moi ziomkowie patrolują wszechświat. Do nas należy przywracanie pokoju na każdej planecie, którą odwiedzamy.

– Jest tak, jak myślałem – powtórzył Miguel z satysfakcją – Pochodzisz z los Estados Unidos. Ciekawe, dlaczego nie zaprowadzicie pokoju we własnym kraju? Widziałem los senores Humphreya Bogarta i Edwarda Robinsona w los películas. Może mi powiesz, dlaczego w Nueva Jork gangsterzy strzelają do siebie z jednego drapacza chmur do drugiego? I co robicie w tej sprawie? Tańczycie sobie po całym świecie z la senora Betty Grable. O tak, rozumiem doskonale, o co chodzi. Najpierw zaprowadzicie pokój, a potem zabierzecie sobie naszą ropę naftową i drogie kamienie.

Quetzalcoatl ze złością kopnął kamień czubkiem swojej lśniącej stalowej stopy.

– Muszę ci to jakoś wytłumaczyć – powiedział. Spojrzał na nie zapalonego papierosa zwisającego Miguelowi z ust. Nagle podniósł rękę i z pierścienia, który miał na palcu, strzelił rozpalony do białości promień zapalając papierosa. Miguel szarpnął się do tyłu, zaskoczony. A następnie zaciągnął się dymem i skinął głową. Biały promień zniknął.

– Muchas gracias, senor – powiedział.

Wargi Quetzalcoatla zacisnęły się w wąską linię.

– Powiedz mi, Miguel – rzekł – czy Norteamericano mógłby coś takiego zrobić?

– Quien sabe?

– Żadna z istot żyjących na tej planecie nie byłaby do tego zdolna, i ty dobrze o tym wiesz.

Miguel wzruszył ramionami.

– Widzisz ten kaktus, o tam? – zapytał Quetzalcoatl. – Mógłbym go zniszczyć w ciągu dwóch sekund.

– Nie wątpię w to, senor.

– Jeśli już o to chodzi, to mógłbym zniszczyć całą tę planetę.

– Owszem, słyszałem o bombach atomowych – odparł grzecznie Miguel. – Dlaczego wobec tego zawracasz sobie głowę prywatną sprzeczką między mną a Fernandezem o niewielkie źródło, które nie ma żadnego znaczenia dla nikogo, poza...

Koło nich gwizdnął pocisk.

Quetzalcoatl gniewnym ruchem potarł pierścień.

– Bo świat ma przestać wojować – powiedział złowieszczo. – W przeciwnym razie będziemy zmuszeni go zniszczyć. Nie ma żadnego powodu, by ludzie nie żyli w pokoju i braterstwie.

– Owszem jest taki powód, senor.

– Jaki mianowicie?

– Fernandez – odparł Miguel.

– Zniszczę was obu, jak się nie przestaniecie kłócić.

– El senor jest wielkim siewcą pokoju – powiedział grzecznie Miguel. – Chętnie przestanę wojować, jeśli mi powiesz, jak mam uniknąć zabicia.

– Fernandez też przestanie.

Miguel zdjął sfatygowane sombrero, podniósł kij i ostrożnie wystawił kapelusz nad skałę. Rozległ się nieprzyjemny głośny trzask. Kapelusz sfrunął z kija i Miguel złapał go w powietrzu.

– Bardzo dobrze, senor, skoro tak nalegasz, to przestanę wojować. Tylko, że nie wyjdę z tej skały. Naprawdę mam ochotę przestać walczyć. Ale wydaje mi się, że mi każesz coś zrobić, a nie mówisz jak. Równie dobrze mógłbyś ode mnie zażądać, żebym fruwał jak ta twoja latająca maszyna.

Quetzalcoatl zasepił się jeszcze bardziej. W końcu rzekł:

– Miguel, powiedz mi, jak się rozpoczęła wasza wojna?

– Fernandez chce mnie zabić, a z mojej rodziny zrobić swoich niewolników.

– A dlaczego miałoby mu na tym zależeć?

– Bo to zły człowiek – odparł Miguel.

– A skąd ty wiesz, że on jest zły?

– Stąd – logicznie uzasadnił Miguel – że chce mnie zabić, a z mojej rodziny zrobić swoich niewolników.

Zaległa cisza. Koło nich przebiegł ptak – biegus pustylny – i zatrzymał się na chwilę, żeby dziobnąć lśniąca łufę strzelby Miguela. Miguel westchnął.

– Niecałe dwadzieścia stóp stąd jest bukłak dobrego wina... – zaczął, ale Quetzalcoatl mu przerwał.

– Co takiego mówiłeś na temat praw do wody?

– A, o to ci chodzi. To biedny kraj, senor. Woda jest tu cenna. Rok był suchy i nie starczy wody dla dwóch rodzin.

A źródło jest moje. Fernandez chce mnie zabić, a z mojej rodziny zrobić...

– A czy w waszym kraju nie ma sądów?

– Dla takich jak my? – zapytał Miguel i uśmiechnął się grzecznie.

– Czy i Fernandez też ma rodzinę? – zapytał Quetzalcoatl.

– Tak, biedactwa – odparł Miguel. – Biję ich, jak nie chcą pracować, dopóki nie padną.

– A ty bijesz swoich?

– Tylko wtedy, kiedy zasłużą – odrzekł Miguel zdziwiony. – Moja żona jest bardzo tłusta i leniwa. A mój najstarszy, Chco, okropnie pyskawy. To mój obowiązek bić ich, kiedy potrzeba, dla ich własnego dobra. I tak samo moim obowiązkiem jest bronić naszych praw do wody, skoro Fernandez chce zabić mnie, a z mojej...

– Tracimy czas – powiedział zniecierpliwiony Quetzalcoatl. – Muszę się zastanowić. – Znów potarł pierścień. Rozejrzał się dokoła. Ptak znalazł jakiś kasek bardziej łakomy od strzelby. Widać było, jak się oddala ze zwisającym mu z dzioba wijącym się ogonem jaszczurki.

Z błękitnego nieba prażyło słońce. W suchym powietrzu czuć było zapach meskite. Doskonałość kształtu i faktury stojącego poniżej w dolinie latającego talerza wydawała się w tym otoczeniu czymś nie na miejscu, czymś nierzeczywistym.

– Zaczekaj tu – rzekł w końcu Quetzalcoatl. – Porozmawiam z Fernandezem. Jak cię zawołam, to podejdź do mojej latającej maszyny. My tam z Fernandezem zaraz przyjdziemy.

– Jak każesz, señor – zgodził się Miguel. Jego oczy powędrowały w bok

– I nie dotykaj strzelby – dodał stanowczo Quetzalcoatl.

– Jasne, że nie, señor – zapewnił go Miguel. Poczekał, aż wysoki mężczyzna się oddali. Wtedy bardzo ostrożnie podczołgał się po suchej ziemi do swojej broni. Zaraz potem odnalazł maczetę. I dopiero wtedy zainteresował się bukłakiem wina. Był rzeczywiście ogromnie spragniony. Ale nie pił łapczywie. Wymienił magazynek w strzelbie i wsparty o skałę, popijając sobie z wolna czekał.

Tymczasem nieznajomy, ignorując pociski, które od czasu do czasu odpryskiwały błękitnie od jego stalowej osoby, zbliżał się do kryjówki Fernanda. Odgłos strzelaniny ucichł. Po dłuższym czasie pojawiła się wysoka postać i pomachała do Miguela.

– Ya voy, señor! – wykrzyknął przyjaźnie Miguel. Położył wygodnie strzelbę na skale i bardzo ostrożnie wstał gotów uchylić się na pierwszy wrogi gest. Ale takiego gestu nie było.

U boku nieznajomego pojawił się Fernandez. Natychmiast Miguel porwał strzelbę i złożył się.

Coś zasyczało cienko przez dolinę. Strzelba zaczęła parzyć Miguela w ręce. Wrzasnął, upuścił ją i poczuł w głowie całkowitą pustkę.

Umieram z honorem – pomyślał i po chwili nie myślał już wcale.

... Kiedy się ocknął, stał w cieniu wielkiego latającego talerza. Quetzalcoatl opuszczał właśnie rękę, którą trzymał przed twarzą Miguela. Słońce iskrzyło się na jego pierścieniu. Miguel oszołomiony potrząsnął głową.

– Czy ja żyję? – zapytał.

Ale Quetzalcoatl puścił pytanie mimo uszu. Odwrócił się do stojącego obok Fernanda i wykonał przed jego przypominającą maskę twarzą różne dziwne gesty. Z jego

pierścienia ku szklanym oczom Fernanda strzeliło światło. Fernandez potrząsnął głową i mruknął coś ochryple. Miguel rozejrzał się za strzelbą lub maczetą, lecz obie zniknęły. Wsadził rękę za pazuchę koszulki, ale nie znalazł również swojego pocziwego nożyka.

Napotkał wzrok Fernanda.

– Jesteśmy straceni, don Fernandez – powiedział. – Ten señor Quetzalcoatl zabije nas obu. W pewnym sensie żałuję, że ty pójdziesz do piekła, a ja do nieba, bo się już nigdy nie spotkamy.

– Mylisz się – odparł Fernandez na próżno poszukując własnego noża. – Nigdy nie obejrzysz nieba. Tak samo jak i ten wysoki Norteamericano nie nazywa się Quetzalcoatl. Dla swych własnych oszukańczych celów przybrał imię Corteza.

– Te kłamstwa zachowaj dla samego diabła – odrzekł Miguel.

– Uspokójcie się obaj – powiedział ostro Quetzalcoatl (albo Cortez). – Już chyba się z grubsza przekonaliście na co mnie stać. A teraz posłuchajcie, co wam powiem. Na moich ziomków spadł zaszczytny obowiązek dopilnowania, żeby cały system słoneczny żył w pokoju. Jesteśmy ludem wysoko rozwiniętym, o możliwościach, o jakich wam się jeszcze nie śniło. Rozwiązaliśmy problemy, na które wasi ludzie nie znają odpowiedzi, i powinniśmy używać naszej władzy dla dobra wszystkich. Jeżeli chcecie żyć nadal, musicie przestać wojować raz na zawsze i od tej chwili zachować pokój i braterstwo. Rozumiecie mnie?

– O niczym więcej nie marzyłem. – odparł Fernandez, wstrząśnięty. – Ale... pokój, braterstwo? Rozumiesz?

– Dość zabijania – wyjaśnił Quetzalcoatl. – Będziecie żyli w przyjaźni albo zginiecie.

Miguel i Fernandez popatrzyli na siebie nawzajem, a następnie na Quetzalcoatla. – Señor to wielki siewca pokoju – wymamrotał Miguel. – Już to mówiłem. Z pewnością najlepiej znasz sposób na zachowanie pokoju. Ale dla nas sprawa nie jest taka prosta. Żyć w pokoju to rzecz bardzo dobra, zgoda, señor, tylko powiedz nam, jak to zrobić.

– Po prostu przestać się kłócić – odparł zniecierpliwiony Quetzalcoatl.

– Łatwo powiedzieć – zauważył Fernandez. – życie tu w Sonorze nie jest takie proste. Może ono jest proste tam, skąd pochodzisz...

– Jasne – wtrącił Miguel. – W los Estados Unidos wszyscy są bogaci.

– ...ale tu u nas nie jest tak łatwo. Być może w twoim kraju, señor, wąż nie zjada szczura, a ptak nie zjada węża. Być może w twoim kraju starcza jedzenia i wody dla wszystkich i człowiek nie musi walczyć, żeby utrzymać rodzinę przy życiu. Ale tutaj nie jest tak łatwo.

Miguel skinął głową.

– Przyjdzie dzień, w którym wszyscy będziemy braćmi – zgodził się. – Staramy się postępować tak, jak nam każe dobry Bóg. To nie takie łatwe, ale po troszku uczymy się być coraz lepsi. Byłoby bardzo dobrze, gdybyśmy mogli od jednego magicznego słowa stać się wszyscy braćmi, tak jak nam mówisz. Ale niestety... – wzruszył ramionami.

– Nie wolno wam używać siły do rozwiązywania waszych problemów – rzekł Quetzalcoatl z wielką mocą. – Siła to zło. Musicie zaraz zawrzeć pokój.

– Bo w przeciwnym razie nas zniszczysz – dopowiedział Miguel. Wzruszył ramionami i napotkał wzrok Fernanda. – Zgoda, señor, masz argument, któremu trudno się oprzeć. Al. fin, zgadzam się. Co mamy zrobić?

Quetzalcoatl zwrócił się do Fernanda.

– I ja, senor – powiedział ten ostatni z westchnieniem. – Bez wątpienia masz rację. Zawrzyjmy pokój.

– Podajcie sobie ręce – rzekł rozpromieniony Quetzalcoatl – i zaprzysięgnijcie braterstwo.

Miguel wyciągnął rękę. Fernandez uściskał ją mocno i mężczyźni uśmiechnęli się do siebie.

– Widzicie? – powiedział Quetzalcoatl obdarzając ich swoim surowym uśmiechem. – To wcale nie takie trudne. Jesteście przyjaciółmi. I macie nimi pozostać.

Odwrócił się i odszedł do latającego talerza. W lśniącym kadłubie gładko otworzyły się drzwi. W drzwiach Quetzalcoatl odwrócił się jeszcze.

– Pamiętajcie – ostrzegł – będę was obserwował.

– Bez wątpienia – odparł Fernandez. – Adios, senor.

– Vaya con Dios – dodał Miguel.

Gładka powierzchnia kadłuba statku zamknęła się za Quetzalcoatlem. W chwilę później latający talerz wznosił się w górę na wysokość stu stóp nad ziemię. W tym momencie wystrzelił nagle ku północy jak błyskawica i zniknął.

– Tak jak myślałem – rzekł Miguel. – On jest z los Estados Unidos.

Fernandez wzruszył ramionami.

– Była taka chwila, kiedy myślałem, że nam powie coś rozsądnego – rzekł. – Niewątpliwie posiada on wielką mądrość. Rzeczywiście życie nie jest łatwe.

– Och, dla niego jest – odparł Miguel. – Ale on nie żyje w Sonorze, tak jak my. Na szczęście ja i moja rodzina mamy przynajmniej dobre źródło, które nam zapewni wodę. Dla tych, co go nie mają, życie musi być naprawdę ciężkie.

– To bardzo kiepskie źródło – zauważył Fernandez. – Ale jakie by nie było, jest moje. – Mówiąc to zwijał papierosa.

Wręczył go Miguelowi, a sobie zrobił drugiego. Przez chwilę mężczyźni palili w milczeniu. A następnie, również w milczeniu, rozstali się.

Miguel wrócił do swego bukłaka pozostawionego na wzgórzu. Łyknął potężnie, mruknął z zadowolenia i rozejrzał się dokoła. Jego nóż, maczeta i strzelba leżały nie opodal, porzucone niedbale. Pozbierał je i upewnił się, że ma pełny magazynek.

Następnie ostrożnie wyjrzał zza występu skalnego. Kula pacnęła o skałę niedaleko jego twarzy. Strzelił w odpowiedzi.

Na chwilę zaległa cisza. Miguel rozsiadł się i znów łyknął wina. Jego wzrok padł na biegusa pustynnego, który przebiegł w pobliżu z ogonem jaszczurki zwisającym mu z dzioba. Był to prawdopodobnie ten sam biegus z tą samą jaszczurką, która powoli zbliżała się do swego przeznaczenia.

Miguel zawołał cicho:

– Senor Ptak! To nieładnie zjadać jaszczurki. To nawet bardzo nieładnie.

Biegus podniósł na niego swoje paciorkowate oko i pognął dalej.

Miguel złożył się do strzału.

– Przestań zjadać jaszczurki, senor Ptak. Przestań, bo będę musiał cię zabić.

Biegus pustynny wyskoczył mu prosto na muszkę.

– Nie rozumiesz, jak masz przestać? – zawołał łagodnie Miguel. – Mam ci to wytłumaczyć?

Biegus pustynny zatrzymał się. Ogon jaszczurki zniknął całkowicie.

– Bardzo dobrze – rzekł Miguel. – Jak się dowiem, w jaki sposób biegus pustynny może przestać zjadać jaszczurki i mimo to żyć, to ci powiem, amigo. Ale na razie... idź z Bogiem.

Odwrócił się i wycelował strzelbę w przeciwległy brzeg doliny.